

MIESIĘCZNIK
SPOŁECZNO-
KULTURALNY

SLASK

CENA 12 Zł (w tym 5% VAT) ISSN: 1425-3917 NR INDEKSU 33328X www.slaskgtl.pl Nr 10 (349) • ROK XXX • PAŹDZIERNIK 2024



CZAS
ZAKASAĆ RĘKAWY



fot. Tomasz Bienek



Położona w samym sercu Katowic superjednostka z biegiem lat stała się jednym z symboli miasta. Posiadanie mieszkania w tym budynku było i pomimo upływu dekad nadal jest uznawane za prestiżowe, pomimo niezbyt wielkiego metrażu tych lokali. Z unikatowym blokiem związanych jest też wiele ciekawostek, a nawet legend miejskich. To także sztandarowy przykład wcielenia w życie idei Le Corbusiera – wybitnego architekta urodzonego jako Charles-Édouard Jeanneret-Gris.

Szczegóły str. 28

fot. Tomasz Bienek



Jesienią 1944, po upadku Powstania Warszawskiego aglomeracja częstochowska była obszarem, na który kierowano transporty ludności cywilnej ze zniszczonej Warszawy. Pojawianie się w mieście tysięcy warszawiaków było kolejnym przesiedleńczym epizodem w historii miasta. Lata okupacji przyniosły Częstochowie już od samego początku wojny wiele wysiedleń i przesiedleń, na co duży wpływ miał fakt, iż miasto stanowiło dla okupanta ważny węzeł kolejowy. Na zdjęciu historyczny baner upamiętniający wywózki ludności żydowskiej na terenie zrujnowanej stacji Częstochowa-Warta.

Szczegóły str. 44

fot. Arkadiusz Gola



Uczestnicy 26. Letniego Ogrodu Teatralnego na zakończenie tegorocznej edycji tej imprezy mieli okazję obejrzeć sztukę wyreżyserowaną przez Roberta Talarczyka – *Kocham Cię proszę pana*. Jak przyznają krytycy, reżyser ten ostatnio tworzy spektakle kameralne, lubi bliskość świetnych artystów teatralnych, niweluje dystans między sceną i widzem, zaś sztukę, której prapremiera miała miejsce w ostatnim dniu sierpnia, określono mianem utworu na jednego aktora i nieprzewidywalną publiczność.

Szczegóły str. 49

fot. Janusz Plewniak



Skandynawia to fascynująca kraina, przyciągająca podróżników jak magnes. Surowa przyroda szokuje pięknem krajobrazów, a skomplikowana historia tego obszaru – splecione losy Szwecji, Danii, Norwegii i Finlandii – zaskakuje. Na zdjęciu charakterystyczna zabudowa norweska wiejska – malowane na czerwono domy.

Szczegóły str. 77

Nr 10 (349). Rok XXX. PAŹDZIERNIK 2024

WYDAWCA
GÓRNOŚLĄSKIE TOWARZYSTWO
LITERACKIE W KATOWICACH

WSPÓŁWYDAWCA

MARIAN KISIEL
Redaktor naczelnyTOMASZ BIENIEK
Sekretarz redakcjiMARIA KORUSIEWICZ
SztukaJAROSŁAW STYPA
KulturaKRYSTIAN WĘGRZYNEK
RegionTOMASZ KOWALSKI
Redaktor technicznyKATARZYNA DZIUBAŁA
KorektaBOGUMIŁA CYROŃ
Kierownik biuraStali współpracownicy:
EWA BARTOS
ANDRZEJ JARCZEWSKI
JAROSŁAW KAPSA
WOJCIECH LIPOWSKI
ZBIGNIEW LUBOWSKI
KATARZYNA NIESPOREK-KLANOWSKA
JERZY PASZEK
KS. HENRYK PYKA
BOGNA SKWARA
PIOTR SKOWRONEK
GRZEGORZ SZTOLER
AGNIESZKA ZIELIŃSKAFelietoniści:
TOMASZ BOCHEŃSKI
MARIAN G. GERLICH
PIOTR GRELLA-MOŻEJKO
RYSZARD JASNORZEWSKI
KRZYSZTOF KORWIN-PIOTROWSKI
KRZYSZTOF ŁĘCKI
JAN MALICKI
JAN MIODEK
TOMASZ SŁUPIKADRES REDAKCJI
40-036 Katowice, ul. J. Ligonia 7
slask.miesiecznik@gmail.comDruk: Zakład Poligraficzny Moś i Łuczak Sp. j.
ul. Piwna 1, 61-065 Poznań tel. 61 633 71 65Materiałów niezamówionych nie zwracamy.
Redakcja zastrzega sobie prawo skrótów, poprawek i zmian
tytułów w tekstach przyjętych do druku oraz skracanie
korespondencji. Wydawca nie przewiduje honorariów
za publikowane tekstyWarunki prenumeraty:
Wpłaty należy dokonywać na konto:
GTL – redakcja miesięcznika „Śląsk”
Santander Bank Polska S.A.
35 1090 1186 0000 0001 3487 3929Prenumerata roczna – 144 zł, półroczna – 72 zł, kwartalna
– 36 zł. Pismo w prenumeracie jest dostarczane pod
wskazany adres bez dodatkowych opłat.Cena egzemplarza – 12 zł (w tym 5% VAT)
ISSN: 1425-3917 Nr indeksu: 33328XEgzemplarze archiwalne
slask.miesiecznik@gmail.comCzasopismo
„Śląsk. Miesięcznik społeczno-kulturalny”
dostępne w wersji elektronicznej na www.sbc.org.pl
oraz na www.slaskgtl.pl
Nakład: 1000 egzemplarzy

W NUMERZE

PUBLICYSTYKA

- 2 Marian Kisiel CZWARTA NAD RANEM
4 Marian Kisiel TRZEBĄ ŻYĆ TYM, CO NIESPODZIEWANE. ROZMOWA Z KS. ABP. SENI-
REM DR. DAMIANEM ZIMONIEM
16 Jarosław Stypa, Marian Kisiel WYDZIAŁ
18 Krystian Węgrzynek MOJE FILMY TO PRAWDZIWE ZMYŚLENIA. ROZMOWA Z MACIE-
JEM PIEPRZĄ, REŻYSEREM FILMOWYM I WYKŁADOWCĄ SZKOŁY FILMOWEJ IM.
KRZYSZTOFA KIEŚŁOWSKIEGO W KATOWICACH
21 ARCHIWA PISARZY. WILHELM SZEWCZYK DZIENNIK 1937 (8) Z rękopisu opracował
Marian Kisiel
26 CZYTELNI JEDNEGO WIERSZA Mirosława Szott MISTRZ MIRON I PANI GOŚĆ. ROZ-
MOWA Z JÓZEFEM BARANEM
28 Michał Spurgiasz DUCH SZWAJCARA NAD GÓRNYM ŚLĄSKIEM. LE CORBUSIER
30 Zbigniew Lubowski MUZYKA JEST SENSEM MOJEGO ŻYCIA. ROZMOWA
Z SOPRANISTKĄ ANITĄ MASZCZYK
32 FESTIWAL PRZESTRZEŃ SŁOWA Bartłomiej Majzel DZIKOŚĆ
44 LISTY CZĘSTOCHOWSKIE Jarosław Kapsa BARAKI MIGRACYJNE
49 TEATR Wojciech Lipowski WCIĄŻ SIĘ NA COŚ CZEKA
53 Henryk Szczepański LITYMBRION I WITKACY
60 PO-GWARKI PROFESORA Jerzy Paszek ANNALISTYCZNE ZASOBY I ZASADZKI
77 PODRÓŻE PO SKANDYNAWII Janusz Plewniak KRAINA TYSIĘCY WYSP
80 REFLEKSJE NA KONIEC NUMERU Mirosław Tyl CZYTAJĄC KSENOFONTA

PLASTYKA, MALARSTWO, FOTOGRAFIA

68 GALERIA: SUSANNE SZOMBARA – MALARSTWO

POEZJA I PROZA

- 3 WIERSZ NA OTWARCIE Jacek Okoń DO ŚWIĘTEJ PAMIĘCI
8 Marek Sołtysik MALTRETOWANIE UCZUĆ
14 Jacek Okoń WIERSZE
40 Juliusz Wątroba SPÓŹNIONY POSPIESZNY
43 Wojciech Brzoska WIERSZE
73 Agnieszka Ginko WIERSZE
74 Emilia Marniok PROZA

FELIETONY

- 34 MIĘDZY CISZĄ A HAŁASEM Marian Gerlich PIEŚNI GÓRNICZE W STREFIE NIEPAMIĘCI
36 ŚLĄSKA OJCZYŻNA POLSZCZYŻNA Jan Miodek KAROL DANIEL KADŁUBIEC – NIE-
STRUDZONY BADACZ I PIEWCA ŚLĄSKA CIESZYŃSKIEGO
37 JĘZYK W STRUNACH Piotr Grella-Możejko ŁABĘDZI ŚPIEW ŁÓDZIAN
38 ZAPISKI REZONERA Krzysztof Łęcki PAT
39 WYZNANIA GÓRNOŚLĄŻAKA Tomasz Słupik SOLDATESKA PUTINA, CZYLI POCZĄ-
TEK KOŃCA
47 MAŁE NARRACJE Tomasz Bocheński HYBRYDY (14)
48 NOTATNIK SPORTOWY Ryszard Jasnorzewski MYŚLENIE NIEBIESKIE
57 Andrzej Jarczewski ŚLĄSKI PROBLEM NUMER 2
58 BIAŁE KRUKI Jan Malicki MAŁA, ZATARTA, NIEBIESKA PIECZĄTKA, CZYLI O TZW.
„ZBIORACH ZABEZPIECZONYCH”

KSIĄŻKI

- 62 Piotr Skowronek UMYKA ŻYCIE PO TROSZECZKU
63 Jerzy Stasiewicz POŁUDNICA POSZUKUJĄCA DUCHA
64 Ryszard Bednarczyk USTA JAK CUKIEREK
65 Andrzej Juchniewicz PRÓBA OPORU
66 Bogumił Grott RZEŻ WOLI

Na okładce: Susanne Szombara NO I DOBRZE

Pismo wspierane
finansowo przez:Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa NarodowegoWojewództwo
ŚląskieKATOWICE
dla odmianyDofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących
z Funduszu Promocji Kultury – państwowego funduszu celowego.



Czwarta nad ranem

1

Animae dimidium meae. — Ilu z nas może powiedzieć o przyjacielu tak, jak Horacy w przejmującym *propemptikonie*, pieśni trzeciej z ksiąg pierwszych? Lucjan Siemieński nadał jej tytuł *Na odjazd Wergilego do Aten*. Okrętowi, który płynął z autorem *Eneidy* w niebezpieczną podróż, Horacy nakazywał: „navis, [...] et serves animae dimidium meae”, co tłumacz oddał słowami: „okręcie, [...] ochraniaj duszy mojej połowę” (*Ody Horacyusza w przekładzie Lucyana Siemieńskiego, ze wstępem Kazimierza Morawskiego, nakładem Karola Sechorza, druk W.L. Anczyka i Spółki, Kraków MCMXVI, s. 18*). — Józef Birkenmajer ten sam nakaz przełożył wiernie, lecz gubiąc najważniejszy niuans: „okręcie: / najdroższego z przyjaciół [...] / Strzeż go, jak oka w głowie” (Kwintus Horacjusz Flakkus, *Dzieła wszystkie*, t. 1, *Ody i epody*, [...] wyboru przekładów dokonał [...] Oktawiusz Jurewicz, Ossolineum, Wrocław 1986, s. 68). — Niezwykle jest to horacjańskie określenie przyjaciela jako „animae dimidium meae”. — Najpiękniej ową metaforę nierozłączności dwojga dusz zinterpretował św. Augustyn w przejmującym płaczu po śmierci przyjaciela. W *Wyznaniach* przeczytamy: „Trafnie to ktoś powiedział o przyjacielu: «Połowa duszy mej». Odczuwałem to tak, że jego i moja dusza były jedną duszą w dwóch ciałach. Dlatego też przerażało mnie życie, bo nie chciałem przez nie kroczyć, będąc tylko połową siebie. Może też właśnie dlatego tak bardzo bałem się umrzeć, aby ze mną umarł już cały ten, którego tak kochałem” (św. Augustyn, *Wyznania*, tłum. Zygmunt Kubiak, Znak, Kraków 1998, s. 95).

2

Mądrość Syracha. — Syrach żył albo w IV/III, albo III/II w. przed Chrystusem. Jak nie wiemy dokładnie, kiedy żył, tak nie wiemy, które z jego imion jest prawdziwe. I kim był: podróżnikiem, kapłanem, uczonym? Na pewno był mędrce, pozostawił bowiem wiele myśli, które nazy-

wamy „mądrościami” i wkładamy je do tzw. deuterokanonicznych „ksiąg mądrościowych” Starego Testamentu. — Mądrość, którą tutaj przywołam, złożona jest z dwóch zdań (Syr 9,10). Pierwsze jest moralne: „Nie porzucaj starego przyjaciela; nowego nie można postawić wyżej niego”. Drugie jest warunkowe: „Wino nowe, przyjaciel nowy — jeśli się zestarzeje — z przyjemnością wypijesz”. Tu ważny jest czasownik zwrotny dokonany: „zestarzeć się”, a nie czasownik niedokonany: „starzeć się”. Aspekt dokonany, jak pamiętamy, mówi nam o tym, że coś się zakończyło, dobiegło celu; niedokonany natomiast, że trwa, jest w rozwoju. Przyjaciel, który się zestarzał, zna już miarę rzeczy, osiągnął stan mądrości; przyjaciel starzejący się, wciąż jest podatny na zmianę, jeszcze nie jest pewny rzeczy świata tego. Zestawiając zdanie pierwsze z drugim, widzimy, że okoliczność zestarzenia się, wspólnego nabycia doświadczenia, osiągnięcia miary rzeczy jest niezbywalnym warunkiem przyjaźni prawdziwej. — Horacy w pieśni jedenastej z ksiąg pierwszych radził Leuconoe: „vina liques”, cedź wino, a my w sugestii poety odczytujemy nie tylko to, by Rzymianka nie ufała babilońskim wróżbom, nie bała się ani gniewu Jowisza, ani groźnego jutra, ale także to, by cieszyła się dniem, chwytając jego migotliwą radość i pielęgnowała czas, bo w jego upływie kryje się miara rzeczy. Nie darmo poeta mówi do niej: „sapias”, bądź mądra.

3

Droga do prawdy. — Konfucjusz: „Są trzy drogi do poznania prawdy. Droga rozmyślań jest szlachetną drogą. Droga naśladowania jest najłżejszą ze wszystkich. Droga doświadczeń jest najbardziej gorzką”. — Konfucjusz nie sugeruje, która z dróg dojścia do prawdy jest najważniejsza, nie podpowiada, którą z nich wybrać. Każda z nich prowadzi do tego samego celu, choć nie jest tą samą drogą. — Intensywność rozmyślań, lektura dzieł filozofów i poetów, którzy wypełniają naszą pamięć, akademicka umiejętności wydobycia, przyswajania i odrzucania różnych myśli, jest czynnością szlachetną i zapewne godną pochwały. Nic tak nie kształtuje dystynkcji, nie służy nabywaniu rozmyślań, jak obcowanie z dostojeństwem myśli i godnym mędrce. Ta droga jest trudna, żmudna, lecz może dać zadowolenie umysłom niespokojnym, krnąbrnym, dociekliwym, które prawdy poszukują w zasadach, pewności twierdzeń i znajomości rzeczy. — Ale jest inna droga, mówi Konfucjusz, mniej wymagająca, droga naśladowania, imitacji, przy-

jęcia za swoje tego, co już jest pewne i nie wymaga potwierdzenia. Tak matka uczy dziecko, nakłaniając je, by przyjęło powszechnie aprobowany system prawd i zasad: „to jest dobre, a to złe”, „to jest mądre, a to nie”, „to cnotliwe, a to występne”. Naśladując wzór, nie kwestionujemy prawdy i wcale nie obiecujemy sobie, że droga naśladowania nie będzie wyboista. Konfucjusz mówi, że jest „najłżejszą ze wszystkich”, ale my wiemy, że jest to pozorna lekkość. Żeby przyjąć znany już wzorzec moralny czy estetyczny, trzeba zrezygnować z buntu, zaufać mocy tego wzorca, a następnie tylko wytrwale go pielęgnować, by nie uległ deformacjom, wynaturzeniu i rozsypce. Ta „najłżejsza ze wszystkich” dróg do prawdy, wymaga heroizmu wytrwałości, ponieważ rezygnacja z raz przyswojonych zasad naruszy życie spokojne i ufne, wprowadzi w nie niepokój i rozpacz. — Jest wreszcie trzecia droga — „najbardziej gorzka” — droga „doświadczeń”, która odnosi się do nas samych tylko, nie można jej doznać przez naśladownictwo, ani poznać dzięki rozmyślaniam. To droga zwycięstw i jeszcze większych porażek, odnajdywania właściwego kierunku przez błądzenie, nabywania pewności przez odrzucanie złudzeń. Nie bez powodu Konfucjusz mówi o niej na końcu swojej myśli moralnej o trzech drogach do poznania prawdy. Trzecia nich, ta najbardziej gorzka, jest bowiem jedyną, której nie można wykoncypować ani powielić. I dlatego jest drogą doświadczenia.

4

Pomoc w radzie. — Konfucjusz: „Udzielaj rady tylko tym, którzy szukają prawdy i nie kryją się ze swoją niewiedzą”. — Są poszukiwacze prawdy i ci, którzy uznają się za jej depozytariuszy. Poszukiwacze wiedzą z doświadczenia, że najtrudniej jest odnaleźć się w gmatwaniu dróg i ścieżek. Każdy wybór jest możliwością pomyłki. Depozytariusze dowodzą, że jest tak, a nie inaczej, ponieważ inaczej nie będzie niż jest. Nie uznają pomyłki, a możliwość wyboru uznają za zgodę na relatywizm. Pierwsi wiedzą, że nie wiedzą, dlatego każde z nimi spotkanie jest odkrywaniem nieznanego, dzieleniem się wątpliwościami, a udzielanie rad nie jest wywyższaniem się, ale wspólnym poszukiwaniem prawdy. Inaczej podczas spotkania z depozytariuszami wiedzy pewnej, niepodważalnej i jedynej: udzielanie im rady jest otwarciem sporu, ponieważ ten, który wie, czuje się urażony sytuacją, kiedy ten, który nie wie, ośmiela się wejść na jego teren.

Marian Kisiel

Do świętej pamięci

Wszystko spada
jak spadało
za czasów świętej pamięci
ojca

Książka
z górnej półki
Klaser na znaczki

Sięgasz po płaszcz
spada
szalik

Po marynarce –
to samo

Spada gwiazda
gdy sięgasz po szczęście

Trzeba się schylić
niestety
żeby podnieść gwiazdę
ucałować
tę kruszynę
chleba
(przez uszanowanie
dla darów nieba
czy jakoś tak)

Stroma jest droga
do świętej pamięci

Tylko kamień
z serca
pod górę toczony
za grzechy
jeszcze teraz
nie spada



rys. Bogna Skwara

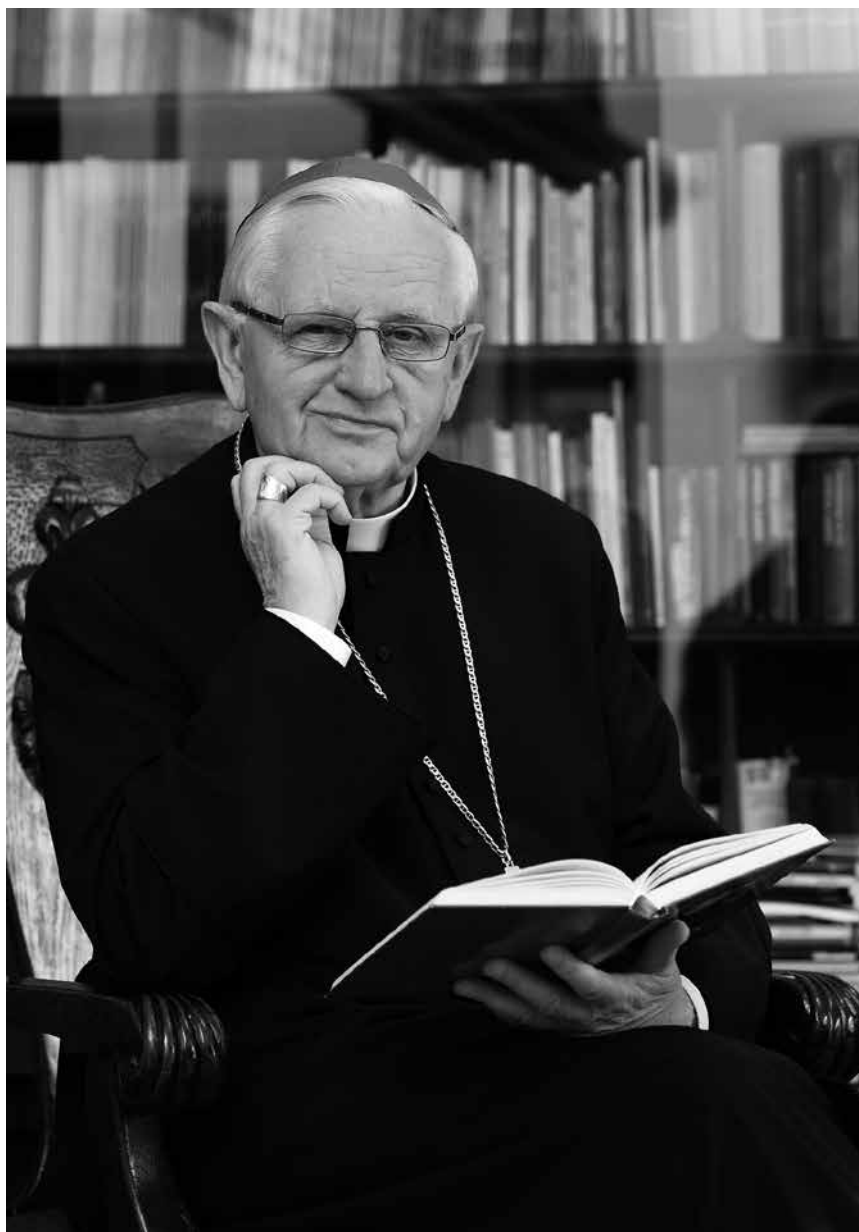
Bardzo dziękuję Księdzu Arcybiskupowi za zgodę na tę rozmowę. 25 października kończy Ksiądz 90 lat, 21 grudnia przypada rocznica 67-lecia święceń kapłańskich, a w przyszłym roku, 3 czerwca jubileusz 40-lecia święceń biskupich. Ledwo żyję, ale jeszcze oddycham (*śmiech*). Dziękuję Bogu za wszystko. Nie spodziewałem, że tak mi życie poleci. Trzeba żyć tym, co niespodziewane.

Skąd decyzja, żeby zostać księdzem? Ktoś na nią wpłynął?

Stało się to, już kilka razy o tym mówiłem, przy pierwszej komunii świętej. Taka przyszła myśl po komunii, nie wiem, dlaczego przyszła, wcześniej tego nie było. Nikt mnie do kapłaństwa nie zachęcał, ani nikt mi w tym nie przeszkadzał. Moja rodzina była pobożna, zwyczajna, w parafii Najświętszego Serca Pana Jezusa w Niedobczycach, dzisiaj w Rybniku. Było nas sześcioro, ja byłem najstarszy. Po pierwszej komunii myśl o kapłaństwie jakoś odeszła. Ale przyszła przed maturą. Po maturze byłem na rekolekcjach w Kokoszykach. Tam zdecydowałem, że pójdę do seminarium. Pięć lat seminarium, potem różne parafie.

1952 rok to nie był czas łatwy dla Kościoła...

Bardzo trudny. Przede wszystkim biskupów katowickich wydalono, bo się upomnieli o katechezę w szkole, uwieczono Prymasa ks. kard. Wyszyńskiego, a w 1954 roku zlikwidowano Wydział Teologiczny na Uniwersytecie Jagiellońskim. Musieliśmy oddać legitymacje, ale zachowaliśmy indeksy tej poważnej uczelni. Tam byli wybitni profesorowie, np. ks. prof. Ignacy Różycki od dogmatyki, ale przede wszystkim Karol Wojtyła. Był doktorem, jeszcze przed habilitacją. W tamtym czasie wszystko było czarno-białe. Człowiek wiedział, co jest dobre, a co złe. Dzisiaj to się wszystko skomplikowało. Byłem w różnych parafiach, aż w końcu zostałem proboszczem. Wcześniej jednak do roku 1975 byłem wicerektorem w seminarium w Krakowie. Rektorem był późniejszy abp Stanisław Szymecki, a metropolią krakowskim kard. Wojtyła. Przychodził do naszego seminarium, mieliśmy bardzo dobre kontakty. Lubił Ślązaków. Po dziesięciu latach proboszczowania w parafii Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Maryi Panny zastała mnie nominacja biskupia. Piątym biskupem katowickim byłem przez 26 lat. Spotkania z młodzieżą, wizytacje w parafiach, komunizm... Ale myśmy się nie bali komunistów. Komunisci, by tak powiedzieć, swoją prekatechezę wprowadzili przeprawdzali, ale myśmy starali się to wszystko ogarnąć po swojemu.



for. Henryk Przędzono

Trzeba żyć tym, co niespodziewane

Z ks. abp. seniorem dr. DAMIANEM ZIMONIEM
rozmawia MARIAN KISIEL

Księdza Arcybiskupa nazwano „konsekratorem świątyni”, Ksiądz zaś zwykły powtarzać, że w komunizmie kościoły nie budowano z próżności, lecz z potrzeby i z ogromnym poświęceniem kapłanów i wiernych.

Tak, budowaliśmy kościoły, poświęciłem ich ponad sto. Komunisci zakazywali budowy. Oczywiście czasem nie są

one jakoś architektonicznie doskonałe. Chodziło o to, żeby w ogóle był kościół, a ludzie mogli się gromadzić wokół Ewangelii.

Biskupstwo to jest wielka odpowiedzialność za wspólnotę.

W tym czasie najważniejsze było dla mnie biskupstwo. Kończył się jeden

wiek, zaczynał kolejny, a jednocześnie upadał komunizm i rodziła się demokracja. Politycznie wszystko było bardzo skomplikowane, panowało olbrzymie bezrobocie.

Ksiądz Arcybiskup powiedział, że kiedyś biskupi więcej uwagi poświęcali administrowaniu diecezjami, a dzisiaj częściej koncentrują się na głoszeniu Ewangelii, „przepowiadaniu Chrystusa”. Tak brzmi moje hasło: *Praedicamus Christum Crucifixum* – Głosimy Chrystusa Ukrzyżowanego.

Proszę powiedzieć, co to znaczy: przepowiadać Chrystusa?

To jest pierwszy obowiązek biskupa: „przepowiadać”. Wiara jest ze słuchania, więc człowiek „przepowiada”. Myślę, że byłem do tego przygotowany, mój doktorat dotyczył uczestnictwa wiernych we Mszy świętej na ziemiach polskich w XIX wieku. Obierając za hasło biskupie słowa św. Pawła, położyłem mocny nacisk na nauczanie, w duchu pastoralnym. Na Zachodzie, gdzie wiara się pomniejsza, nie było katechezy. Wydziały Teologiczne są, ale skrzyły w lewo. Ja dbałem o katechezę i dzisiaj mamy świetnie wykształconych katechetów. Jeśli jakiś polityk mówi, że nie mamy przygotowanych katechetów, to jest to nieprawda. Nie wiem, dlaczego używają takich argumentów, przecież Ewangelia jest dla wszystkich. Ale to inny temat.

Czy dlatego Księdzu Arcybiskupowi jest tak bliski nasz Wydział Teologiczny?

Wydział Teologiczny zawsze mi leżał na sercu. Kiedy powstał Uniwersytet Śląski w 1968 roku, bp Herbert Bednorz ustanowił Kryptę Akademicką i powołał Śląskie Studia Historyczno-Teologiczne. Myśmy przygotowywali się przez lata, żeby taki Wydział powstał. I wreszcie na początku nowego wieku, w roku 2000, po licznych trudnościach, udało się go powołać.

Rektorem był wtenczas prof. Tadeusz Sławek, który stale powtarza, że nie ma pełnego uniwersytetu bez teologii. Przypomniawszy nam to również papież Jan Paweł II, kiedy byliśmy mu podziękować za lata wsparcia. Powiedział nam wtedy, że uniwersytet zawsze musi iść drogą *fides et ratio*, aby cieszyć się swoją pełnią.

Czy Ksiądz Arcybiskup musiał mocno przekonywać stronę kościelną, by nie oponowała przeciwko powstaniu Wydziału?

Nie. A dlaczego? Bo papież był za tym. Jan Paweł II mówił: nie siedzicie w swoich środowiskach, idźcie na uniwersytety, głoscie Ewangelię, przepowiadajcie. On najbardziej przyczynił się do powstania teologii na uniwersytecie.

Nową strukturę zawsze można powołać, ale nie byłoby to możliwe, gdyby nie wcześniejsze zaplecze intelektualne, w tym istniejące czasopisma naukowe. Tak. O teologii akademickiej myślano już przed wojną, wspomnę choćby ks. Stanisława Maślińskiego, którego pod koniec życia byłem adiutorem. A po wojnie były stałe o to starania. Sądzę, że istotą rozwoju Kościoła na Śląsku jest to, że ma swój Wydział Teologiczny.

Jak Ksiądz Arcybiskup przekonał wybitnych teologów do pracy na nowym Wydziale?

Nad wszystkim czuwa Opatrzność. Pierwszy organizator Wydziału, ks. prof. Wincenty Myszor, Ślązak, wybitny uczony, wcześniej dziekan i prorektor Akademii Teologii Katolickiej w Warszawie, doskonale wiedział, czym jest uniwersytet. Na początku brakowało nam profesorów tytularnych i doktorów habilitowanych, ale

dzięki autorytetowi i umiejętnościom ks. Myszora udało się tę trudność pokonać. Pierwszą kadre stworzyli profesorowie z uczelni warszawskich i krakowskich, urodzeni na Śląsku. Nie wszyscy chcieli przyjść, ale to pominęmy milczeniem. Z KUL przyszedł ks. prof. Jerzy Szymik, niedawny doktor *honoris causa* Uniwersytetu Papieskiego Jana Pawła II.

Prawdziwy uniwersytet miejsca jest wtedy, kiedy zaczynają w nim uczyć jego absolwenci...

Co najmniej połowa Wydziału Teologicznego to nasi absolwenci. Jest się z czego cieszyć.

Niedawno przetoczyła się na łamach naszej prasy dyskusja o miejscu teologii w Uniwersytecie Śląskim. Że, upraszczając, teologowie nie dorównują w swojej refleksji filozofom. Napisałem wówczas na łamach „Śląska”, że troska o logoss



for. Henryk Przędzino

jest wspólna wszystkim, którzy poważnie podejmują refleksję nad światem i miejscem w nim człowieka.

Ja przez dwa i pół roku byłem studentem Wydziału Teologicznego Uniwersytetu Jagiellońskiego, zanim komuniści go zlikwidowali. Miałem świadomość, czym od czasów św. Jadwigi był Wydział Teologiczny na Uniwersytecie Jagiellońskim. Po wtóre: nasi najstarsi księża, kiedy powstała diecezja katowicka, studiowali we Wrocławiu. Tam, na Uniwersytecie Wrocławskim też był Wydział Teologiczny. Ta tradycja więc była. Skąd więc te dzisiejsze obawy, może nawet złośliwe? To jest relikwety myślenia komunistycznego, kiedy uważano, że teologia nie jest nauką. W kontekście tej dyskusji pięknie o teologii napisał Artur Sporniak na łamach „Tygodnika Powszechnego”. Musimy szerzej patrzeć. Pozostałości myślenia po czasach komunistycznych redukują naukę humanistyczną do jakichś norm przyrodniczych, a przecież bez refleksji nad duchem nie ma prawdziwej wiedzy o człowieku. Mówiono mi, że jest Wydział Teologiczny w Opolu i w Krakowie, po co kolejny w Katowicach? Odpowiadałem: na Śląsku jest największe zagęszczenie ludności, potrzebujemy dobrze pojętej humanistyki. O Górnym Śląsku pisano: „kraj węgla i stali”, trzeba było to myślenie i ten stereotyp przełamać. Tu mieszkają zwyczajni ludzie, potrzebują głębi duchowej, temu ma służyć Wydział Teologiczny.

Wspomnieliśmy już, że bez teologii nie ma pełnego Uniwersytetu.

Ale nie zawsze wszyscy wiedzą, czym jest teologia, zwłaszcza po Soborze Watykańskim II. Teologia to jest przede wszystkim biblistyka, Pismo Święte. Mamy liturgię w językach narodowych, zwykli ludzie czytają Stary i Nowy Testament, rozważają zawarte w nich prawdy, starają się żyć według poznanych zasad. Teologia to także literatura pierwszych wieków, Ojcowie Kościoła – Augustyn, Atanazy, wielu innych... Dla nas dzisiaj to jest niezwykle odczytanie tajemnicy Jezusa. Warto korzystać z tamtych doświadczeń zmagania się o prawdę, o Tróję Świętą, o duchowość. Teologia dzisiaj ma przede wszystkim wymiar ekumeniczny. Dlaczego mamy się ciągle zmagać z różnicą, różnością? Tendencja do jedności w Kościele jest powszechna, kolejni papieże ten temat podejmują. Ekumenizm wypływa z teologii. No i wreszcie teologia jest bliska ekologii. My się ekologią zajmujemy naprawdę.

O ekologii – za chwilę. Pomówmy wpięrow o środowisku śląskim. Książd jest synem tej ziemi, ciągle powtarza, że tutaj mieszkają ludzie pracy. Ale dzisiaj inaczej się pracuje niż kiedyś, znika dawniej naturalne otoczenie: kopalnie, fabryki, huty...

Teologia ma taką dziedzinę, która się szczególnie mocno rozwija w skali ogólnokościelnej, a u nas specjalnie – „nauka społeczna Kościoła”. Zawsze dbałem o to, aby profesorowie na naszym Wydziale byli ze Śląska, ponieważ oni czują ten problem. Kiedy pisałem list o bezrobociu na Śląsku [D. Zimoń, *Kościół katolicki na Śląsku wobec bezrobocia*, Katowice 2001], nie spodziewałem się, że będzie miał tak wielkie społeczne oddziaływanie. Kiedy go ogłosiłem, było 70 kopalń, dzisiaj jest ich oczywiście mniej. Nauka społeczna Kościoła to jest nasza specjalizacja. Zawsześmy – i bp Bednorz, i ja – dbali o swoją obecność w Piekarach. 100 tysięcy ludzi – i kobiet, i mężczyzn... Pięćdziesiąt razy wchodziłem na ten szczyt. Jak człowiek stanie wobec ludzi pracy, to się naprawdę czuje mały. Zacząłem pielgrzymowanie do Piekar w czasie mojej posługi biskupiej. Poprosiłem bp. Bednorza, żebyśmy razem na nowo ukoronowali obraz piekarski. To było w roku 1985. O społecznej roli Kościoła Katolickiego mówiłem po otrzymaniu tytułu doktora *honoris causa* Uniwersytetu Śląskiego. O nadziei, która płynie ze sprawiedliwości, z zainteresowania się człowiekiem biednym.

Więc – ekologia. Dzisiaj postawy ekologiczne są i modne, i nośne, i konieczne, i budzą różnego rodzaju opór. Książd Arcybiskup był chyba pierwszym ekokrytykiem w naszym środowisku. W roku 1992 Książd powiedział tak: „Nierozumne korzystanie z dóbr naturalnych spowodowało na nasz rejon klęskę ekologiczną, uczyniło go najbardziej zatrutym terenem w Europie, na którym choroby i śmierć zbierają najobfitsze żniwo. Niestety władze centralne nie chcą zrozumieć, że walcząc o środki na ekologię, walczymy nie o przywileje, lecz o elementarne prawo do życia dla nas i przyszłych pokoleń. [...] Więc dziś wołamy głośno: Wy, którzy Rzeczpospolitą władacie, pomóżcie nam żyć w czystym powietrzu, pić czystą wodę, siać na nieskażonej ziemi!”.

W 1986 roku powstał pierwszy list o ekologii na Górnym Śląsku, a w 1989 roku pierwszy list pasterski Episkopatu na temat ekologii w Polsce, który propagowali również na Śląsku. Poza bezrobociem, ekologia jest dla nas niezwykle ważna. Jak się przejeżdżało z Katowic do Gdańska, przez te piękne małe miasteczka, to tam było inne życie niż na Śląsku. O to walczyłem, z tym się zmagalem. Doradca prezydenta USA do spraw ekologii mówi, że najważniejszą kwestią nie są takie czy inne posunięcia, ale to, by ludzie przestali patrzeć na świat egoistycznie, żeby myśleli społecznie. Ale my nie umie-

my tego robić. Więc stąd biorą się enckliki papieskie, jak *Laudato si'* Ojca Świętego Franciszka.

Kościół ma wiele do zrobienia w świecie dzisiejszym w wymiarze społecznym, a nie tylko teologicznym. Teologia jest podstawowa, ale ważne jest to, by Kościół był społecznie zorganizowany, jak u nas. W roku 1992 był wielki strajk w Tychach, trwał ponad 50 dni, nasz Kościół był mediatorem między robotnikami i pracodawcami. W czasie strajków w kopalniach – podobnie. Próbowaliśmy jednoczyć, łączyć. Kościół ma do spełnienia wielką rolę pozareligijną, społeczną. Stale powtarzam za Janem Pawłem II, że świat sobie nie poradzi bez Ewangelii, bo w niej jest przestrzeń prawdy i fundament moralny.

Nazwano Książd Arcybiskupa „promotorem kultury i nauki”, ale nie tylko z uwagi na wyjątkową pozycję Wydziału Teologicznego, ale dlatego, że od początku podejmował Książd działania łączące ludzi z różnych obszarów. Wspomnijmy tu nagrodę *Lux ex Silesia*.

Ja się zdumiewam, że ta nagroda robiła taką karierę. Bardzo żyłem się z Katowicami, to jest piękne miasto, a region jest bogaty w tradycje kulturalne. Pamiętać trzeba o kulturze muzycznej. Akademia Muzyczna to była pierwsza uczelnia wyższa, jaka powstała tutaj po odzyskaniu niepodległości. Medycyna to jeden z fundamentów na Śląsku. Mamy wiele do ofiarowania światu. Nagrodę przyjęli znakomici uczeni, kompozytorzy, lekarze. Cieszę się, że Kościół miał tu coś do powiedzenia.

Przeglądałem kalendarz Książd Arcybiskupa w różnych latach. Nie było dnia niezapełnionego.

Były dni, kiedy wszystko odkładałem i jechałem do Kokoszyca, żeby mieć niedzielę. Niedziela to jest dla biskupa dzień pracy i to takiej większej niż w tygodniu. W Kokoszycach mam mały pokój, tam jest dom rekolekcyjny, park. Trzeba czasami odpocząć, bo inaczej człowiek by się wykończył. To, że jeszcze w 90. roku żyję jako tako przytomny, to jest kwestia racjonalizmu.

A kiedy był czas na narty?

Różnie, zazwyczaj w lutym. Jechaliśmy z grupą współpracowników, oni się bardzo szybko uczyli. To też było potrzebne.

Kościół na Śląsku to także stała obecność w odmiennym otoczeniu językowym. Jaki jest stosunek Książd Arcybiskupa do języka śląskiego, który znów stał się powodem do akcentowania politycznych różnic między Polakami i Ślązakami.

Z językoznawczego i kulturowego stanowiska kwestię języka śląskiego objaśniały mi prof. Helena Synowiec i prof. Dorota Symonides. Zbyt wiele jest zakazów, jeżeli ktoś chce mówić po śląsku, ma do tego prawo. U nas w domu mówiło się po śląsku, ale teraz miałbym z tym pewną trudność. Dziwię się, że robi się z tego polityczną sprawę. Zostawmy to ludziom, ich potrzebie komunikowania się tak, jak chcą. Nie jestem za tym, żeby w Kościele mówić gwarą. W małej grupie – proszę bardzo, ale do tłumaczenia Biblii i liturgii zabrakłoby odpowiednich słów. Tym jednak, którzy mówili, że zgody na uznanie języka śląskiego domagają się rzecznicy „ukrytej opcji niemieckiej”, to ja im nieraz nagadałem...

Często spotykał się Ksiądz Arcybiskup z przedstawicielami władzy?

Każdy z premierów chciał się spotkać z biskupem. Spotykałem się głównie po to, żeby im coś powiedzieć o Śląsku. Pamiętam, że Leszek Miller, kiedy mu mówiłem o konieczności wydłużenia urlopu macierzyńskiego, odpowiedział, że kobiety chcą pracować. Byli i Tusk, i Kaczyński. Odwiedziłem Edwarda Gierka, kiedy już był bardzo chory, prosił, żeby ratować robotników przed wyrzuceniem z pracy. To było ciekawe spotkanie. Nie przypuszczałem, że funkcja biskupa ma taki wymiar społeczny i gospodarczy nawet. Ja nigdy nie chciałem być w polityce. Dla mnie najważniejsze było duszpasterstwo, głoszenie Słowa Bożego. Ale jesteśmy dla wszystkich, dlatego ze wszystkimi rozmawiałem. Nikomu nie broniłem do siebie dostępu, ale czasami były śmieszne sytuacje. Był pewien kilkudniowy polityk, który chciał mieć zdjęcie z biskupem, zanim go następnego dnia odwołał. Przekonałem się, że polityka czasem nie ma dobrej kadry. Tak się narzeka na tych biskupów, ale jak się porówna wykształcenie, obycie, znajomość języków... Zdarzają się wyjątki – skoro papież tyle diecezji ustanowił, to może zdarzył się ktoś nieodpowiedni. Dobrze, że o tym możemy teraz mówić. Za moich pierwszych czasów nie wolno było krytykować władzy. Jaruzelskiego nie wolno było. Jak napisałem list pasterski w 1986, to w swoim przemówieniu powiedział coś ostro o ambonie, myśląc o nas. A kiedy przyjechał na kopalnię „Wujek”, zaprosił mnie, to poszedłem się pomodlić za górników. Później zaprosił mnie na obiad, poszedłem, a jego interesowało tylko jedno (tam było pełno ludzi, a on tylko ze mną rozmawiał): skąd do Piekar przychodzą ludzie, czy tylko z naszej diecezji. Odpowiedziałem, że przychodzą zewsząd. Czasami byłem zmęczony tymi kontaktami, ale skoro biskup nosi krzyż, to nie po to, żeby dobrze wyglądać... Ja się starałem



jednak przede wszystkim nie narzekać. Wszyscy narzekają, ja próbuję tego nie robić, choć nie zawsze mi się to udaje.

W 1992 roku został Ksiądz arcybiskupem metropolitą katowickim.

Powiedział mi o tym dwukrotnie przy stole papieskim kard. Stanisław Dziwisz. To było pragnienie Jana Pawła II. Już była gotowa bulla *Totus tuus Poloniae Populus*, a papież powiedział: jeszcze dwie metropolie – Katowice i Lublin. I tak się stało. Ja za bardzo nie wiedziałem na początku, co to jest metropolia. Tyle nam dobra przekazał, że jest mu za co dziękować.

Mówi Ksiądz Arcybiskup o Janie Pawle II zawsze z wielką czułością.

Wychowywał mnie, kiedy byłem klerykiem i kiedy byłem przełożonym w seminarium krakowskim. Wychowywał mnie też, kiedy został papieżem. Moje pierwsze spotkanie jako biskupa było z nim w Castel Gandolfo w 1985 roku. To jest człowiek mojego życia. Ileż było

tych spotkań w Watykanie! Jak się było w Rzymie, dzwonił abp Dziwisz: proszę przyjść na obiad, na kolację.

A w przyszłym roku minie 20 lat od śmierci papieża.

Młódzież go już nie zna...

Księżę Arcybiskupie za rok będziemy obchodzić rocznicę 100-lecia powstania diecezji katowickiej, a już teraz jubileusz 90-lecia urodzin Księdza... Dużo zdrowia na przyszłe lata!

No tak, to się może w każdej chwili skończyć. Jestem przygotowany. Nie mam z tym problemu. Wiem, gdzie będę pochowany; wiem, jak liturgia wygląda, kiedy biskupa chowają; wszystko wiem. Nie wiem tylko, co będzie potem. Ale jedno do czego jestem przekonany, to jest wiara. Wiara trzeba mieć. Z domu się ją wnosi. „Wiem, komu zawierzyłem”. To jest istota wiary.

Bardzo dziękuję za rozmowę.

Maltretowanie uczuć

MAREK SOŁTYSIK

Maks zainkasował zaliczki i przed wyjazdem z Monachium do kraju podmalował dwa duże płótna: jedno dla londyńskiego kupca Wallisa za 90 funtów szterlingów, drugie dla kupca wiedeńskiego Keuslera – za 1000 florenów. Już się nauczył przeliczać pieniądze, nieśmiało je lokować, odkładać na procenty. W Warszawie taki elegant, w nowiutkim cylindrze, a chodził z dużym szkicownikiem i z kasetą farb wodnych, ze składanym krzeselkiem, takim dla wędkarzy, pracował ostro nad Wisłą, szkicując i malując przystań na Solcu z kilku stron, za ulki na ulicy Rybaki, potem szedł dalej, Starówka, Kamienne Schodki, wszystkie te akwarele z gwaszem żywe, drgające powietrzem i słońcem. Nie miał czasu wykańczać ich w domu, ponieważ popołudniami był gościem państwa Tomaszewiczów; pani domu, żona oficera carskiego, była jego korespondentką, powiernicą, trzymała w tajemnicy sekret uczucia, jakim będąc tam, w Monachium, darzył jedną z jej córek, Paulinę. Teraz dawał jej do zrozumienia, że choć artysta, należy obecnie do grupy tych, którzy nie mają problemów finansowych, wręcz przeciwnie – a słowa jego, o czym donoszą gazety, rośnie – poza tym miał wrażenie, że to on miał robić wszystko, żeby rozkochać w sobie tę pannę, tymczasem ona rozkochała go w sobie. Tego nie przewidział. Oprócz nie takiej znowu starszej oficerowej Tomaszewiczowej i oprócz świętej pamięci matki, której stygnącą rękę trzymała na swym sercu opiekująca się nią w krótkiej chorobie pani Tomaszewiczowa, wszystkie pozostałe niestare i młodziutkie niewiasty traktował Maks jako bardziej lub mniej skomplikowane zabaweczki, coś więc się w nim zająknęło, gdy wreszcie zrozumiał, że Paulina, myśląca, potrafiąca nie tylko współczuć, lecz i myśleć krytycznie, jest osobą tak samo wymagającą głębokiego szacunku jak jej matka.

Jadwiga Tomaszewiczowa z Kołaczkowskich, czterdziestoletnia w czasie starań Maksu o rękę jej córki, była żoną oficera żandarmerii rosyjskiej i... żarliwą patriotką. Mężowi, Władysławowi, codziennie przypominała, że jest z urodzenia Polakiem, że wprawdzie służy Rosji w poddanym Królestwie Polskim, bo taki jest jego fach i taki los, ale ma wobec Polski tym większy dług do spłacenia. Tomaszewiczowie żyli z dala od kolonii Rosjan w Warszawie i w Królestwie, mąż nie mógł liczyć na lukratywne awanse; Maks, były powstaniec, dziś przedstawiciel cyganerii, ale w cylindrze i w błyszczących półbutach, szukał czystości i sprawiedliwości, a znowuż przyłgał do środowiska osób dziwnie gdzieś przybrudzonych.

Paulina nie mogła się napatrzyć pejzaży Maksu, odnajdywała szczegóły, znane jej z autopsji, w nadwiślańskich motywach, dopytywała o szczegóły techniczne, o to, czy gwasz wprowadza się już po wyschnięciu akwareli, czy można na lekko jeszcze wilgotny papier. Co jakiś czas prosiła Maksu o pozostawienie u niej kilku prac w różnych stadiach szkicu, w tajemnicy przed wszystkimi usiłowała je potem kopiować. Oczywiście, nic z tego; trzeba dużo umieć, żeby kreski i plamy ożyły, żeby stały się bardziej prawdziwe niż obserwowana natura. – Gdyby tak do tej przystani na Solcu wprowadzić postacie ludzkie... – zawahała się patrząc na artystę ciemnymi oczami, przysłoniętymi gestwą rzęs. – O, proszę, upewniła mnie pani – odparł. – Chodził mi po głowie podobny zamiar, proszę zobaczyć, o, jest tutaj zarys nawet kilku postaci, ale skupiony na murach i chmurach – tu się uśmiechnął – zaniedbałem ludzi, tym samym odbierając akwarelce sporo życia. Przypomniały mi się teraz krakowskie i lwowskie krajobrazy Stanisława Tondosa, garbatego herosa, którego codziennie można spotkać, jak wspaniale maluje z natury – to na Wawelu, to na podwórzu murszejącej kamienicy, tuż przy

śmietniku. Tondos jest mistrzem w oddawaniu właśnie murów, cegieł, spatynowanych szmaragdowo hełmów wież, ale pozostaje bezradny wobec postaci ludzkich. Umówili się z Julkiem Kossakiem – Julek w trymiga domalowuje mu pyszne postacie w tych pejzażach, dyliżanse, sanki, konie – i bardziej żywych akwarel nie widziałem. Krytykują, że cukierkowe... ale nie samym sosem człowiek żyje!

– To wydaje się takie proste – powiedziała – ale bez talentu ani rusz.

– To może ja spróbuję dać pani jakieś podstawy, przyniosę gipsowy odlew, pani będzie spokojnie rysowała, ja co drugi dzień zrobię korektę.

– Co drugi dzień? A nie można każdego wieczora? My pana Maksu zapraszamy codziennie.

Puścił to mimo uszu. – Zobaczymy, co z tym talentem – dokończył kwestię, którą mu była przerwała. – Zobaczymy, czy warto.

Wracając od Tomaszewiczów zdumiony własną nieustępliwością, chłodem, pod którym były rozmażane łzy. Gdyby był mocny, zrobiłby w tył zwrot, zastukałby ponownie do drzwi miłych gospodarzy, zapewniłby Paulinę, że jeśli ona zechce, będzie jej robił korektę nawet dwa razy dziennie. Ale dlatego, że takie postępowanie tu i teraz uznał, przeciwnie, za objaw słabości, nie zawrócił, lecz zrobił kilka energicznych kroków w stronę bramy do Ogrodu Saskiego, zwolnił, w świetle latarni zrobił przegląd łatwych dziewcząt w zgrabnych pantofelkach i wyzywających kapeluszach, dał się jednej z nich, ładnej, czarnobrewej, błękitnookiej i najmniej umalowanej, poprowadzić do dorożki, jak do tańca. – Inaczej się nie da – mruknął. – Rozwaliłaby mnie ta cholerna wrażliwość na kałki od środka.

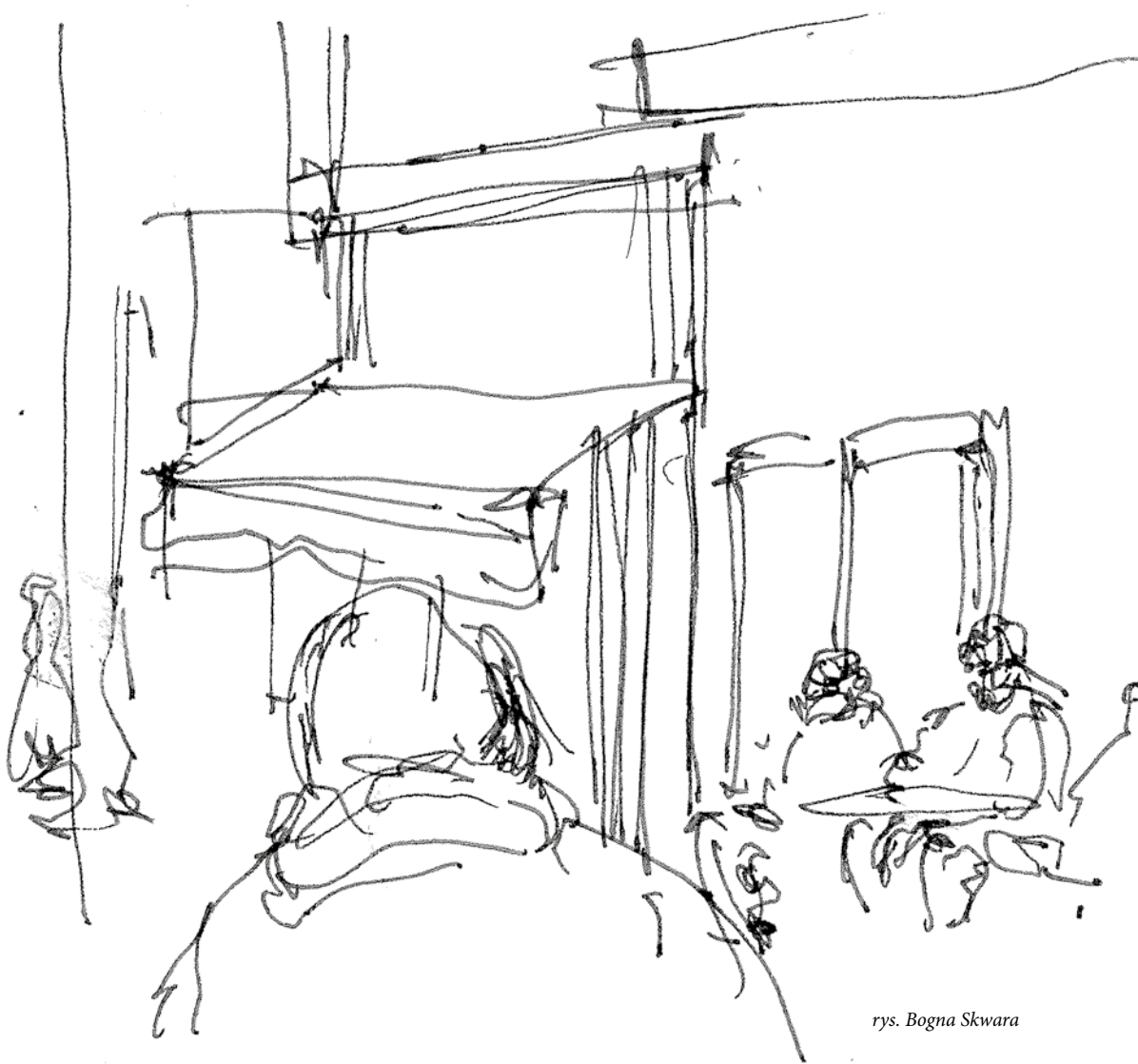
Paulina – niby mimochodem – zwróciła mu uwagę na rolę sztafażu. Do tej pory Maks „robił nastrój” zaznaczając tylko postacie w pogrzebach, które malował (oprócz *Pogrzebu mieszczanina* powstał także *Pogrzeb młodej dziewczyny*, zakupiony anonimowo w dniu, w którym zawisł na wystawie w Kunstvereinie), nie widział potrzeby portretowania osób współtworzących w obrazie nastrój. W piątek wieczorem zawędrował na Powiśle, słuchając twardych, a jednocześnie melodyjnych głosów mężczyzn, rysował postacie, poszczególne, zapamiętał ich układ, pejzaż już miał, ten brzeg rysował kilka-krotnie. Po powrocie do Monachium namalował duże płótno, pełne dramatyzmu, zatytułował *Modlitwa Żydów w dzień sabatu*, sprzedał na pniu. Zdobył wreszcie zdjęcie dorożki, uzupełnił dużą kompozycję *Zima w małym miasteczku*, sprzedał. Gdy jeden obraz wysychał, a na sztalugach podmalowany był drugi, na trzecim blejtrami Maks przenosił rysunek ze szkicu. *Kozacy w pochodzie idący przez miasteczko* to jeszcze był obraz, można by rzec, rodzajowy, ale już kompozycja, która powstała z jego wizji będącej reminiscencją wokół powstańczych wspomnień, w miarę tworzenia nabierała mocy metafizycznej. *Patrol powstańczy*, tchnący wytworną powagą skromnej gamy kolorystycznej, z odważnym, wręcz ryzykownym podziałem na ziemię i niebo, gdy się go oglądało z dystansu dziesięciu kroków, stwarzał wrażenie iluzjonizmu, po podejściu bliżej i jeszcze bliżej zdumiony widz zobaczył byle jak kładzione grudy i grudki ugrów i szarości, ani śladu efekciarstwa mistrzowskiego pędzla; wszystko zrobione jak gdyby w mozołach i co... byle jak? Nie. Bo przecież efekt. Ten obraz, scena wymiany kilku zdań zdeorientowanych powstańców z dziadem-przechodniem, zanurzona w ożywczym powietrzu sandomierskiego pejzażu, przykuwał uwagę, budził tęsknotę za

tym, co mogło być, lecz zostało zabłażanione, zaprzepaszczone, zdławione. Naszkicował olejno tęgą scenę *Powstańcy przed dworkiem w nocy*, rozpoczął dużą rzecz: *Alarm w obozie powstańczym*. Dał od siebie, co mógł, spłacił dług i jeszcze na tym zarobił, mierzył się teraz z innym tematem, tym razem bez szlachetnych intencji, z myślą natomiast o zabezpieczeniu bytu Klotyldy, pozostającej pod opieką państwa Tomaszewiczów. Ojciec owdowiawszy stawał się z dnia na dzień coraz bardziej opuszczony, okazało się, że nie zadbał o finanse, nie, żeby roztrwonił, ot, wszystko wydawał na bieżąco, imponowały mu wieczorki z udziałem sławnych ludzi, ten domowy okrutnik był w gruncie rzeczy marzycielem; można go było wziąć w karby, lecz kto miałby to zrobić; żona była zbyt subtelna, no i nie chciała go pozbawić tej powagi przewodnika stada.

Informując Epplera, przyjaciela od serca, o sukcesach Olesia, który w Akademii dostał w formie premium na najlepszą kompozycję malarską na zadany temat nagrodę 350 guldenów z obowiązkiem namalowania dużego obrazu przeznaczonego na Wystawę Wiedeńską. Jest więc Maks świadkiem malowania przez Olesia tej słynnej potem kompozycji na kanwie dramatu Szekspira *Kupiec wenecki*.

Przed oczami widza jawi się kulminacyjny moment akcji *Kupca weneckiego* pierwszej sceny drugiego aktu dramatu Szekspira. Brodaty Shylock, z wekslem Antonia, klęczy przed Dożą, władcą Wenecji, całym w złocistościach. Żąda spełnienia warunków umowy – czyli funta mięsa dłużnika, wyciętego z miejsca, gdzie się znajduje serce. Dłużnik to Antonio – stoi za Shylockiem z uniesioną ręką. Dalej jego przyjaciele (dla jednego z nich Antonio zaciągnął dług). Za nimi grupa weneccjan, wyróżniona niejako czerwienią płaszcza pierwszego i zielenią płaszcza piątego mężczyzny. Na pierwszym planie młodzieniec – pisarz sądowy, podczas swej czynności siedzi *en trois quarts* w płaszczu złożonym z tonów zielonych z elementami czerwieni. W pobliżu senatorów stoi Porcja, bogata dziedziczka, która w przebraniu doktora prawa z Rzymu poprowadzi proces z wyrokiem korzystnym dla Antonia.

Sam Maks, wodząc oczyma po długim na prawie dwa i pół metra płótnie brata, widząc dobre wpływy Carpaccia, którego obrazy, a także Cimabuego, Belliniego, Masaccia, studiowali tygodniami w muzeach weneckich, utyskuje: „Karnawał przeszedł nam podle, ani jednego pikniku, nawet szklanki ponczu nie wypiliśmy”. Nawet nie ma ochoty jeździć z Brandtem w rajstzuli. Powody – oprócz intensywnej pracy twórczej?



rys. Bogna Skwara

– „panują tutaj choroby, każdemu coś dolega, najwięcej jednak żołądek. Dziewczyny nie mam teraz żadnej, muszę więc korzystać z ulepszeń wprowadzonych tutaj przez Prusaków, a tymi są bord... i dziewczyny z kartami policji. Jest więc nareszcie i tu Bauer”, znaczy dom schadzek, działający na identycznej zasadzie jak u Jana Bauera w Warszawie przy ulicy Bednarskiej. Romansami więc sobie głowy Maks nie zawracał, wyprztykiwał się dla zdrowia psychicznego, tak to określał, z pewną gwarancją policyjno-medycznej kontroli posiadaczek ciał, z których czerpał chwilową rozkosz. Gdy wracał, Oleś patrzył na niego zdecydowanie spoode łba, ale milczał.

Monachium, 14 marca 1873. Oszklone okno pracowni przy Marsstrasse 5, ze światłem północno-wschodnim, z widokiem z trzeciego piętra na ulicę z niewielkim ruchem, przysłonięte jest z dwóch stron ciężkimi kotarami w kolorze burgunda. Maks, wychudzony, żółtki i z kilkoma, jednym na drugim, swetrami pod szlafrokiem, w szapoklaku na głowie, półleży na sofie, z nogami na fotelu. Pisze ołówkiem:

„Oleś jutro wystawia swój obraz w Kunstvereinie: *Kupca weneckiego*. Słaby jestem i nie powinienem wychodzić, ale muszę jednak pójść i przed wystawieniem zobaczyć. Gdy pan na pierwszy lub drugi raz na bal się wybiera, dobrze jest, aby matka i ciotka dobrze jej toaletę obejrzały”.

Jest bardzo chory od czterech miesięcy. Teraz już niby nieco lepiej, lecz jeszcze przed tygodniem, choć już mniej kaszlał i febra przestała trząść całym ciałem do tego stopnia, że nie mógł wziąć do ręki ołówka ani łyżki, to jednak nie mógł chodzić, bo nogi miał jak z waty, omdlewał nawet na siedząco, a gdy leżał, przerażało go echo bijącego nierównomiernie serca. Lęk o stan płuc, obawa, że zamkną go w domu wariatów. „Zdawało się już – zwierzał się, lecz tylko pisemnie, przyjaciele-

lowi z Warszawy – że traciłem wiedzę o sobie, a myśl ta zimnym potem mnie oblewała, błędem jak ściana”.

Znużony przestał nawet bywać w swej ulubionej cukierni u Tambosiego. Mówił, że najweselej mu w domu, gdy jest sam. Gra na fortepianie, czyta książki. Wchodzi w literaturę piękną, zachwycając się Turgieniewem. Przeżył w gruncie rzeczy niewiele, w wieku dwudziestu siedmiu lat czuje przesyt.

Od jesieni 1872, kiedy wyjechał z Warszawy, do lutego 1873, kiedy choroba wytrąciła mu siłę z mięśni i pędzel z ręki, zdołał namalować duże i starannie wykończone obrazy na Wystawę Światową w Wiedniu: *Alarm w obozie powstańczym*, *Patrol powstańczy*, *Kozacy w pochodzie*, *Droga wiejska w nocy*, *Módlitwa Żydów w dzień sabatu*. Czekał na planowane 1 maja otwarcie wystawy na terenie Prateru, z terminem zrazu odłożonym na czerwiec, potem z przywróconym terminem majowym. Nerwy.

Tymczasem, jak na ironię, gdy ciało mdle i znów daje o sobie znać napadowy kaszel, przychodzi zamówienie na cztery duże obrazy: sceny z osiemnastowiecznych polowań w pejzażu; panowie konno, we frakach, wypudrowani, w jasnych perukach z zopfami, rozśpiewane ogary, piękny czas, łagodny klimat i nikt nie kaszle. Tak, czy inaczej, trzeba to będzie robić.

Kto zamawiał, dawał zaliczki i kupował? Marszandzi głównie z Anglii. Dlaczego właśnie jego obrazy, skoro w samej polskiej kolonii artystycznej w Monachium żyło od lat i pracowało kilkudziesięciu bardzo dobrych malarzy?

Stanisław Witkiewicz, który sam bardzo dużo się nauczył w Monachium w sensie warsztatu, kompozycji i sposobów malarskich pomagających uwieść widza, oddając pierwszeństwo Józefowi Brandtowi i Maksowi Gierymskiemu, których sława była wówczas ewidentna, zauważy – i utrwali mu się to po latach jako pewnik – że „Maks Gierymski był bezwzględnie oryginalnym i nic z otaczającym go Monachium wspólnego nie mającym zjawiskiem. Prawda kompozycji pejzażu, zupełne usunięcie tego wrażenia, że natura odwraca się najpiękniejszą lub najbardziej interesującą stroną do widza, stosunek do niej figur ludzkich, przypadkowość ich znajdowania się wśród pejzażu; usunięcie wszelkiego konwensu, wszelkich resztek akademizmu w kompozycji, a ponad wszystkim cudowna prawda i harmonia koloru, wyrażająca stany natury, pory roku, pory dnia, roku, wszystkie nastroje pogody, z zupełnym zatraceniem farby”... A przede wszystkim:

„Charakter tych obrazów był tak bezwzględnie różny od tego, co je otaczało, że kiedy się je widziało na ścianach wystawy wśród obrazów niemieckich, zdawało się, że ściany się rozstąpiły i ukazała się równina mazowiecka, tak uboga w kształty i biorąca cały swój urok i wyraz barw i oświetlenia”.

Blejtramy może zamówi już w Warszawie.

I te plany – żeby obrazy malować latem nie tu, w rozprazonym, ciasnym Monachium, lecz w Warszawie! Oto Rosen-garten, urzędnik zarządzający Zamkiem Królewskim, przyobiecował mu solennie na lato pracownię w zamkowej „Bacciarellówce”, udostępnianej głównie, a może tylko tym polskim malarzom, którzy wykazują się lojalnością względem namiestnika. Liczył na to, a wiadomość trzymał w sekrecie, w obawie, że któryś z kolegów mógłby go uprzedzić. Pisał do dyskretnego Epplera: „Mając wygodne w Warszawie atelier, będę mógł śmiało aż do zimy zabawić i kilka obrazów przez ten czas dla Berlina namalować”.

Nie polityka więc, tylko sztuka. I możliwość bliższych spotkań z Pauliną.

Czasu jest mało, trzeba się wykurować.

W kwietniu już był w Meranie. Wcześniej lekarze, jak to bywa, leczyli go, ale nie na główną chorobę, której nie dostrzegli. Miły i ciepły warszawski lekarz leczył go mianowicie na febrę. Ból w boku, na który się chory skarżał, określił jako reumatyzm, kaszel przypisywał katarowi, a krótki oddech i zmęczenie złożył na karb małego zapalenia oskrzeli. Jako szczupłego i wysokiego, czyli ze skłonnością do chorób płucnych, skierował Maksa do Meranu. Dwa dni po

przyjeździe chory udał się do tamtejszego lekarza, a gdy już nie mogąc mówić, pokazywał mu na migi, co mu dolega, do-wiedział się prawdy, mianowicie: „że mam zapalenie w straszny sposób rozwinięte, że jedna połowa górnej części ciała pełna wody, że jedno skrzydło płuc nie funkcjonuje i jest podobne do wyciśniętej gąbki lub do zmiętej szmaty”. Doktor w Meranie dziwił się, że pacjent, którego miejsce jest w łóżku, w ogóle przedsięwziął podróż.

Tym razem Maks zwierzał się pani Jadwidze Tomaszewiczowej. Dał jej wprawdzie do zrozumienia, że w tej sytuacji nie wolno mu myśleć o staraniu się o rękę panny Pauliny, wciąż jednak liczył na to, że kuracja w Meranie przywróci go do ludzi w miarę normalnie funkcjonujących w trzy, cztery tygodnie, że potem wróci do Monachium, a stamtąd, po małym wypoczynku, ruszy na północny wschód i w połowie lipca będzie już, jak planował, w Warszawie.

Tymczasem nagle poczuł się tak, jakby z jego pokoju wypompowano powietrze. Miał wrażenie, że ktoś z tyłu złapał go za szyję i dusi. Dowłókił się do dzwonka, przybiegła dziewczyna z sanatoryjnej służby; pomogła mu dowlec się do łóżka, podłożyła mu pod plecy i pod głowę wszystkie możliwe poduszki z otomany; była przy nim i krzyknęła na kogoś, żeby biegł po doktora i po drodze zawiadomił brata tego pana, który powinien być w swoim pokoju.

Diagnoza. Pleura – zapalenie opłucnej. Maks postanawia, gdy (albo jeśli) już wyzdrowieje, wynieść się na dobre z Monachium z powodu niekorzystnego klimatu. Będzie mieszkał we Włoszech, nie opuszcza go jednak jeszcze myśl o tym lecie w Warszawie, po którym wiele sobie obiecuje. W Meranie wiatr przyniósł deszcz. Niedobrze. Miał się kurować wdychaniem świeżego ciepłego powietrza. Na szczęście – dobrze zaopatrzona księgarnia. „Dosyć już zapachu farb, dosyć słońca malowanego, przy którym, tak mało widać gorejącym, nabawiłem się reumatyzmów nieznosnych”. Nie pojedzie do Wiednia, gdzie ma tyle wystawionych obrazów – dla utrwale-nia sławy, nie dla pieniędzy, bo przecież sprzedane wszystkie w ostatnim roku. Martwi się, czy *Kupiec wenecki* Olesia, mający świetną recenzję w „Allgemeine Zeitung”, zostanie ekspozowany w Wiedniu. Londyński kupiec Wallis, który już jest jego właścicielem, zapewnił, że pośle płótno na wystawę. Tak też się stanie. Tymczasem Maks znów sięga po gazetę, odczytuje fragmenty z recenzji Friedricha Pechta. Inteligentny krytyk zauważył, że obraz namalowany jest w sztucznie naiwnym, modnym stylu, naśladowującym początki malarstwa nowożytnego, z ich pierwszą świeżością. Postacie malowane subtelnie, ich portrety określają trafnie psychologię postaci, ruchy natomiast są zaznaczone raczej umownie. Utalentowany artysta wprawdzie odrzucił współczesne rozwiązania i sztuczki formalne, co nie znaczy, że nie skorzystał z niewątpliwych ułatwień, jakie przyniosła fotografia. Pecht, jeden z najwybitniejszych krytyków swojego czasu, nazwał *Kupca weneckiego* obrazem osobliwym, o bardzo subtelny i urzekającym, oryginalnym uroku.

To był ten obraz, za którego pomysł, z obowiązkiem namalowania wykończonej kompozycji pod nadzorem profesora Piloty’ego, po posiedzeniu jury Akademii monachijskiej przez dwa dni w styczniu 1872 roku główne premium w wysokości 300 florenów otrzymał Aleksander Gierymski, wraz z pieniędzmi na opłacenie modeli i z możliwością sprzedaży obrazu, a więc na doskonałych warunkach. Drugie premium, pomniejsze, otrzymał Niemiec Ferdinand Barth. Srebrny medal przyznano Władysławowi Czachórskiemu. Kryteria były ostre. Czachórski trafił do pracowni Carla Theodora von Piloty’ego, doskonałego malarza koni. Piloty dysponował pracownikami przy Akademii, co kilka tygodni robił wśród swoich bardziej lub mniej oficjalnych studentów przegląd powstających prac malarskich. Co więcej – przyprowadzał ze sobą żonę, która ma gust, bardzo interesuje się sztuką i – jak pisał do rodziców Czachórski – „uchodzi za ‚sehr geistreiche Frau’” [za bardzo dowcipną kobietę]. I dalej:

„W parę dni po wprowadzeniu się do Akademii dostałem inne atelier, o wiele większe i z lepszym światłem, sąsiaduję z Gierymskim, dziura w parawanie służy nam do konwersacji. Wczoraj byli u nas obywatel Gierymscy, Maksymilian i Aleksander. Wieczór przeszedł z pożytkiem, ja grałem na czterech rękach z Maxem G. (który gra koncertowo) *Simphonie Tragique* Schuberta, *Eroique* Beethovena i tegoż 5. *Simphonie*, co z przerwami trwało od 8 do jedenastej; pierwszy to był wieczór muzyczny i nieźle się udał. Gierymski dał mi nuty i trochę się przygotowywałem – Schubert najtrudniejszy, okropnie nas zmordował – bośmy całą symfonię za jednym tchem przegrali, nasi słuchacze byli bardzo zbudowani. Gierymski kupił sobie doskonałe pianino stuttgardskie i w atelier dużo grywa – ma masę nut, między innymi doskonałe układy na 4 ręce z oper Wagnera, którego muzyki jesteśmy obydwaj zaścigłymi obrońcami”.

Próbował pocieszać przyjaciela, Kazia Epplera, na wieść o śmierci jego brata. Sam cierpiący fizycznie i chyba już krańcowo wycieńczony (liczył jeszcze na krzyk medycznej mody: kurację winogronową), chcąc kolegę pocieszyć, rozdrapał ranę, otworzył niedogojone tkanki:

„Ty wiesz, że Cię kocham – coś Ci powiem więcej? Czy to, że ja też widziałem siostrę wyciągniętą na łóżku z pół otwartymi szklanymi oczami, żółtą jak wosk gromnicy, nieczułą i zimną na uściski moje, brata, który ją tak kochałem, jak może żaden inny brat nie kocha; czy, że Ci to powiem, ulżę Twemu sercu?”

Jak żaden brat nie kocha.

„Duszy nie ma? – nie sądzę. Lecz czy jest nieśmiertelna – wątpię”.

„Sam jestem i dla siebie. Wątpię, czy mógłbym kochać”. Teraz żałuje, że zapisywał takie złe słowa. Pasma sukcesów najwzyczajniej zawróciło mu w głowie. Od trzech lat sprzedawał na pniu swoje obrazy, jedyne zmartwienie to nadążyć z zamówieniami, płynącymi z Wiednia, Berlina, Hamburga, Londynu. Musiałby sprostać wszystkim obstalunkom, żeby móc objąć lukratywne stanowisko nadwornego malarza na dworze sułtana tureckiego. Maks żywił nadzieję na resztę życia w dobrobycie, profesor Franz Adam, który mu tę posadę zaferował, ponieważ sam nie bardzo mógł jechać do Turcji ze względu na rodzinę i małe dzieci, w końcu jednak zebrał się w sobie i sam objął tę posadę. Zawód wynagradza Maksowi zakup kilku dużych obrazów przez marszandów szwajcarskich, a także zakup do zbiorów Franciszka Józefa *Rekonsansu huzarów austriackich* wprost z wystawy Kunstlerhausa – z rezultatem finansowym mniej niż średnim (cesarz z zaskakującą nie przepłacał), ale za to prestiż olbrzymi.

Ostatnim dziełem, które mimo wszystko posłał na wystawę w Towarzystwie Przyjaciół Sztuk Pięknych w Krakowie, była *Wieczornica ukraińska*. Obrazy Maksymiliana Gierymskiego pojawiają się w monachijskim Kunstverein, wiedeńskim Österreichs Gesellschaft bildender Künstler, na XLII wystawie Królewskiej Akademii Sztuk Pięknych w Mochachium jesienią oraz na wystawie zimowej w londyńskiej French Gallery. Tam w końcu 1870 roku odniósł sukces wystawiając *Pochód ułanów*, zamówiony przez Henry’ego Wallisa, właściciela tamtej galerii. Współpraca z berlińskim marszandem Rudolfem Lepke zaowocowała nowymi tematami. Reminiscencje z letniego pobytu w Warszawie zawarł w *Modlitwie Żydów w szabas*, którego nastrojowość budzi ogromne wrażenie, a ten duży olejny obraz kupuje do swoich zbiorów przemysłowiec Heinrich Liebig w Reichenbergu. Po powrocie z Wielkopolski, gdzie jako przedstawiciel polskiej kolonii w Monachium uczęstniczył w pogrzebie Seweryna Mielżyńskiego, a w drodze powrotnej odwiedził w Krakowie Juliusza Kossaka, wyprawił huczne przyjęcie dla licznie zgromadzonych kolegów z okazji kolejnego sukcesu – małego złotego medalu otrzymanego za *Rewizję nocną*, *Przejażdżkę konną w lesie* i *Zimę w małym miasteczku*, obrazy wystawione w berlińskiej XLII

Wystawie Sztuki Królewskiej Akademii Sztuk Pięknych.

Ciężko zachorował na przełomie lutego i marca 1873, był bliski śmierci, dopiero jednak, gdy zaczynał przychodzić do siebie, ojciec w połowie sierpnia dowiedział się o tych jego perypetiach. Nie postawiła go na nogi – stan bowiem wyglądał na beznadziejny – wiadomość o kolejnym medalu, tym razem na Weltausstellung – wiedeńskiej wystawie światowej. Sześć obrazów artysty – rodzajowych oraz o tematyce powstańczej – utrwalała jego sławę. Oleś, Klocia, pani Tomaszewiczowa z córkami i mężem, wszyscy bliscy, którzy wiedzieli o chorobie Maksa, a nawet odwiedzali go bez względu na trud podróży, potrafili zachować dyskrecję, żeby nie narażać starego pana na wstrząs. Prasa dopiero podała, że Maksymilian Gierymski chory. Maks prosił, żeby ojciec do niego nie przyjeżdżał, skorzystał z okazji, by go ucieszyć wiadomością o medalu, który mu przyznali na tej wielkiej wystawie w Wiedniu, gdzie się właśnie wybiera, żeby zobaczyć arcydzieła współczesnych mistrzów, głównie uwielbianego przez się od lat i – jak to nazwał – Meissoniera i – jak się wyraził – cyrku Gerome’a. Teraz, po dramatycznych przejściach zdrowotnych, w Reichenhall istotnie czuł się lepiej, lekarze opowiadali rozlane zapalenie osierdzia, a teraz pacjent leczył skutki zapalenia opłucnej, korzystając z nowości – aparatu pneumatycznego, dzięki którego działaniu powiększała się objętość zapadniętego płuca. „Księżniczka Teresa, córka księcia Luitpolda [regenta bawarskiego] odbywa też posiedzenie o tej, co ja godzinie, tylko w osobnej kamerze – pisał do Olesia. – Poznała mnie, rozmawiałem z nią; odtąd właściciel aparatu stał się dla mnie gehorsamer Diener [posłusznym sługą]; ci, z którymi siedzę – uprzedzają”.

W wiedeńskim Kunsthalle zrobił spore wrażenie, nie można go nie było nie dostrzec, ponieważ przez cztery dni nieprzerwanie oglądał obrazy, poruszając się na fotelu na kółkach. Wraz z młodą towarzyszką niedoli z Reichenhall. Ich wehikuły cierpienie były pchane przez umysłowych. „Próbowałem pierwszego dnia chodzić, ale sił brakło” – westchnął w liście do znajomego.

Lubił oglądać obrazy pełne przepychu, z dużą dozą dekoracyjności i dbałości o upodobania nie tylko wysmakowanego widza, sam malował obrazy przygaszone kolorystycznie, szlachetnie wyważone, przyciągające uwagę widzów o wyrobionym guście. Czego szukał u tych znakomicie sprzedających twórców iluzji, prześcigających się w rzeczywistości doskonale zastosowanych efektach i efekciach? Czego? Najprawdopodobniej drogi do najzamożniejszego widza. Miał cel – czy zbożny? Zbierał na posag dla Kloci. To może nieco infantylne – ale przyrzekł Bini, w kaplicy, gdy już leżała w trumnie, że musi to zrobić. Dla jej, Bini, pamięci. Potem się dowiedział, że myśli przekazywał jej, jeszcze żywej, leżącej w ciężkiej zapadłości. Później – ale za późno. Pisał: „ja, co bez łez nie mogę dobyć z pamięci wizerunku siostry...”

– Pozwolisz, że ją sobie odepnę – Adam Chmielowski spojrział na protezę.

– Czuj się, jak u siebie – westchnął Maks i zapytał: – Obciera?

– Nie, tam wszystko jest solidnie wyłożone filcem, cielecą skórką i czym tam jeszcze. Robił ją najlepszy z najlepszych w Paryżu. Ale rozumiesz: ciało obce nigdy nie przylgnie naturalnie do własnego, w dodatku uciętego. Człowiek to nie drzewo, które można szczepić. Nałaziłem się dzisiaj. Co za kolacja! Ach, sprzedałeś kolejny wielki *Wyjazd na polowanie!*

Maks patrzył, jak Adam, położywszy się na sofie, metodycznie rozciera sobie kikut. Gapił się, ale jego mózg nie rejestrował przedstawianych czynności. – Ci, co kupują obrazy, nie potrzebują ich – szeptał – potrzebują tylko modnego ubrania, salonu, lub potrzebują galerii, dlatego że galerie inni urządzają.

– Moda może udawać, że idzie w parze ze sztuką.

– Zrozumiałeś, bardzo się cieszę. Słuchaj więc. Posiadaczem twego obrazu nie będzie kto inny, tylko Żyd z bogactw. A ty, twórca? Nie zobaczysz więcej twego dzieła, ani go

nie zobaczy nikt spośród tych, którym by oglądanie pociechę dla duszy przyniosło...

– Grottiger sprzedął ten cudny powstańczy cykl rysunkowy *Polonia* zamożnemu Węgrowi, który zamknął te rysunki w zamku i sam je ogląda...

– Nic nie trwa wiecznie, nawet zachłanność widza – Maks zaśmiał się boleśnie i dodał: – Na szczęście przed sprzedażą rzutki przedsiębiorca zrobił dokładne fotografie wszystkich dzieł w kompozycji i dał z nich zrobić heliograviury, do złudzenia przypominające oryginały. Krążą w handlu antykwarecznym i tak będzie dopóty, dopóki właścicielowi ktoś nie doniesie o procederze. Ale już będzie za późno, na szczęście dla sztuki.

– Ja maluję tak mało – mruknął Chmielowski – że nawet nie mogę marzyć o sprzedaży. Może kiedyś. Na razie mam kłopoty z rysunkiem.

– Ale prześcigasz nas wszystkich w Monachium jako kolorysta! Nauczysz się jeszcze dobrze rysować. Jeśli się zdobędziesz na cierpliwość i przysiądziesz fałdów.

– Marzę o takim obrazie, który byłby do tego stopnia całkiem mój, że nie mógłbym go opuścić. Nigdzie bym się bez niego nie ruszał, zabierałbym go w podróże... Zawsze z farbami w pogotowiu.

– Całymi latami pracowałeś nad nim?

– E tam! Przez całe życie! Wybacz, w malowaniu i pozbywaniu się tego namalowanego za pieniądze jest jakieś okrucieństwo.

– Może jeden z takich bogaczy moim prze frymarchoznym obrazem wypełni pustkę ducha. Oni, bogaci, ci, na których pracują ciężko tysiące biedaków, bawią się gwałtem. Skaczą, hałasują, turkoczą dorożkami, aby prędzej, aby głośniej zatrzeć tę złą godzinę nędzy moralnej, A tą nędzą moralną jest chwila teraźniejsza. Zagłuszyć ją, prędzej, prędzej! Prędzej tylko, jak można najprędzej, niech żyje Offenbach! Parodia stała się rzeczywistą sztuką!

– A czy ty sam siebie nie parodiujesz, powtarzając nie tylko tematy, ale wręcz całe układy swoich zopków?

– A jeżeli traktuję zopfy jako sztukę dekoracyjną, bliską rzemiosłu?

– Jeżeli tak, to niepotrzebnie tracisz siły. Nie zgodziłeś się na malarza pokojowego.

– Chyba się nie rozumiemy, Adamie. Posłuchaj. Jeżeli kochasz się w pięknościach natury, jeśli badasz serce ludzkie z jego pięknej strony, jeżeli włożyłeś duszę w harmonię tonów, jeśli z wzrastaniem dźwięków, rozszerzaniem tonów, rośnie ci w piersiach serce, jeżeli jesteś autentycznym artystą, chwilami to, co robisz, robisz tylko dla siebie. Nikt nie przyłoży ucha do twoich piersi, aby usłyszeć, z jakiej to głębi dobyłeś. Dostajesz gromkie brawa, jeśliś muzyk, a kupią obraz, jeśliś malarz – wszystko to, każde dzieło, potem może zginąć. A gdyby na przykład zginęło wcześniej, nikt by nawet straty nie odczuł.

– Mylisz się. Jeśli tak, to to nie jest prawdziwe dzieło. Dzieło musi tak zapaść nie tylko w widza, ale w samego twórcę, żeby jeden i drugi strzegli go jak oka w głowie. A do powtórek zopków powinieneś mieć ucznia. Ty byś tylko wprowadzał ostatnie, mistrzowskie pociągnięcia pędzla.

– Ale je nie mogę nikogo obcego dopuścić do moich powstałych obrazów!

– Dlaczego? Przecież to powtórki.

– Repliki autorskie, a nie kopie! To kolosalna różnica. Poza tym, mój drogi Adamie, ja malując gadam sobie po cichu z kolorem.

– Jak kiedyś, gdy malowałeś pejzaże wiejskie, zapamiętane z Polski, z kompozycją jak gdyby przypadkową, ale oddającą prawdę do tego stopnia, że badyłe, które drażniło zasłanianą widoczność, choć nagryzmolone pędzlem z resztkami suchej farby, wpływają na urodę dzieła. I te cztery twoje pory roku w małym miasteczku, w jakimś Grodzisku, a może Karczewie. Mazowieckie równiny i światło. Wiem, że wtedy gadałeś z kolorem.

– Adamie, to nie takie proste. Nie chodziło mi o same tylko gry barwne. Najważniejsze to wydobyć prawdę. Bez tego nie ma malarstwa.

– I dlatego nie mogłeś ruszyć dalej z robotą dopóty, póki ci nie przywieźli z Warszawy fotografii dorożki, wozu drabiniastego...

– I babskich znoszonych spódnic – wyszeptał Maks, ale wywód dokończył za niego gwałtowny atak kaszlu. Opadł na poduszki, dyszał, dopiero po kilku minutach oprzytomniał i zobaczył ze zdziwieniem, że Adam Chmielowski nadal pólży na kanapie i spokojnie masuje sobie kikut. Znaczący, niby nic się nie stało.

– Gdy tu przyjechałem, ile to było, dwa i pół roku temu?, malowałeś dużo.

– Ale dzięki tobie zyskałem świadomość tego, co robię i tego, czego robić nie powinienem. Wybór należał wprawdzie do mnie, ale to ty pokierowałeś moim talentem. To nie było łatwe. Powstrzymywałem się, żeby nie cisnąć w ciebie butem, tak mnie drażniłeś, tak naciskałeś, żebym ci powiedział, dlaczego zamierzam malować pięknie przystrzyżony trawnik, czemu go pędzlem nie podepcę ochrą, jakimś kolorem gówna, po to, żeby grało prawdą, a nie uwodziło fałszywą przymilanką. Słowem – przypominałeś mi, że skoro rzuciłem regularne studia w Akademii, to zrobiłem to dla dochodzenia do prawdy artystycznej, a nie po to, żeby samemu znów spętać duszę szkolarstwem i komunafami.

– Przesada – odrzekł Chmielowski. Owinąwszy flanelką kikut, przytracał protezę. – Zjawiłem się w twoim życiu jako ponury drogowoskaz. Co ze mnie za przykład? Ja prawie w ogóle nie maluję. Może kiedyś.

– Trzeba, żebyś wziął się poważnie do pracy. Z twoim matematycznie wiernym poczuciem tonu...

– No, no, moja szkoła! – Uradowany Chmielowski zrobił taneczne pas.

– A ty mnie jak zwykle zadziwiasz.



rys. Bogna Skwara

– Maluj chociażby tylko dla siebie, ale maluj! Nie widzisz siebie malującego? Wykreśl z myśli tego profana, który potem będzie się wypowiadał o twoim obrazie. Bądź u siebie i twórz! Przecież sztuka rozwija się wbrew wszelkim teoriom i niezależnie od całej ich nicości. Sztukę tworzą talenty, nie teorie.

Hotel Burhut.

„Ta podróż – pisał Maksymilian do ojca – na Kłocię bardzo dobry, zdaje mi się, wpływ wywrze; widzę ją ożywną, śpiącą dotąd jej imaginacja rozbudzona widokiem tych dziwnych miejsc, na każdym kroku znaczonej jakimś historycznym wypadkiem. Ocierając się też tu mimo woli o ludzi różnych, siadając za stołem w hotelu obok pań z różnych stron świata, widzi ich zachowanie, słyszy rozmowy w różnych językach. To wszystko, zdaje się, wpłynąć musi na chęć do pracy, a szczególnie nabywanie języków, których potrzebę tu dobrze uczuć mogła”.

Fragment powieści *Zazdrosny talent. Bracia Gierymscy*. Książka ukaże się w roku 2025 nakładem Wydawnictwa LIRA.

about 1/2 in. diameter, about
warm glass, with red wire, other
colored walls, mottled

Żniwa

Mój ojciec nauczyciel
ostrzy kosę
jak śmierć
przed pracą

Sam ostry z natury

Interesują go dawne dzieje
które przepowiada w technikum górniczym
Teraz jednak ma dwa miesiące wakacji
Wieki całe
dla podratowania zdrowia

Wychodzą z ojca
jak słoma z butów
przodkowie
Tylu świętych tu ojcu pomaga!

Bez dobrej rady
nie dałby rady
Tak łatwo o szkolny błąd

Widzę go więc na tle świętych
obcowania

Zaraz zabierze te żniwa
w przeszłość
szczęśliwą

ze mną na miedzy

Dobroć

Nie ma czasu
na pisanie

wierszy dobrych
jak Wieszczy

Trzeba zdążyć
opisać
jak było

w świecie
gdzie wszyscy
wiedzą jak
powinno być
być

a nie było

Wiersz dobry
jak Wieszczy
mają tu tylko
za wiersz
o dobroci
Wieszcza

A Dobroć –
by się zmartwychwstało

dobdają

Kolej rzeczy

Koleją rzeczy
wieziony
zawsze dociera tam
gdzie
wie
że nic nie wie

Już po drodze
pytany o bilet
też mówi że nie wie

W porządku
odpuszcza kontroler
skoro tak
to nie było tematu

Było
Nie było

Ulgowo
potraktowany

przedmiotowo
jak bilet

Ostatnie pożegnanie

Ostatnie pożegnanie
krótka trwa

Nikt nie woła

Odchodzi
pospiesznie
na Częstochowę

przez Zawiercie
Myszków

Poważnie chory
na serce
Polski

Jak wielu słabych
i słabowitych
poetów
przed nim

Komu bije dzwon

Ugina się
pod krzyżem
kawalerskim

Spiżowe serce
Zygmunta
bije tak szybko
tak szybko

Jakby chciało
wyskoczyć
z piersi mocarnej
pancernej

na jakąś tam znowu
Wolność

Swojska kuchnia

Gdzie są ruskie pierogi – pytam czasem
gdzie jest podwórko z Lubańskim
i cóż to tak pędzi gdy zima za pasem
na pstrym koniu jak łaska jaśniepańska

A to jest moja miłość z fasonem
co w żurnalu się przegląda jak w lustrze
Krzywo na nią patrzyła Matka Boska kupiona
w siedemdziesiątym pierwszym na odpuszcie

– W kłopoty mi tu za to – mówi – pójdziesz
na krótko
w takie czyścicowe, niby sybirskie zesłanie
(Nie chce się miłości tam iść absolutnie
ale w końcu miłość zrobi to dla Niej)

Żegnaj swojska kuchnio z dzieciństwa
tam gdzie chochla nad piecem zwisa
z brody kapie barszcz ukraiński
upływa życie jak krew z urwisa

Z mamą w górach

Gwiazdy spadają
z gór

gdy nie widzę

Tak bawią się
ze mną

Patrzę na nie
przez palce

Czekam tylko
na ostatnią

bo chłodno już

i

*we wsi gdzieś
szczekają psy*

Ostatnia sprawdzi
wodę gaz
czy zakręcone

drzwi
czy zamknięte na zamek
pacierz wieczorny
na amen

Ostatnia
zgasi światło

Szyfrowe prace

Daremnie synku
daremnie
się trudzisz

Nie przekonasz
nie pokonasz
tych ludzi

I przejrzawszy na oczy
wyżej nich
nie podskoczysz

Kamień zadany
w dół się potoczy

W grobowy
dół

I tylko Bóg
twój

i wszystko
twoje

Tak sobie

czasem

Mów

To tutaj

Zatrzęsienie
tego

tu

To
jest pożywne

Będą z tego
wiersze

Udane
wreszcie

Na paszę

Psu
na budę

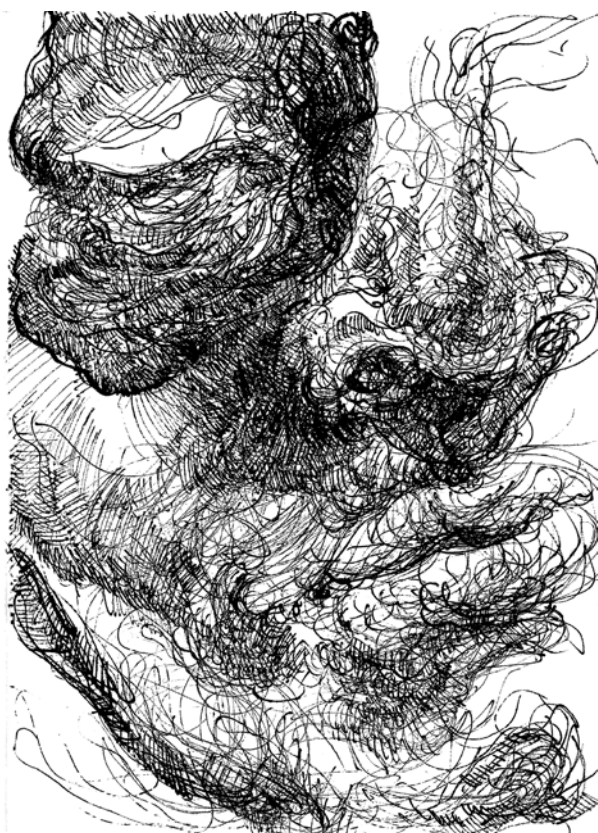
Ważne

Katedra bez Boga

Rzecz
w tym

w czym

powinien być
Duch



rys. Bogna Skwara

W bocznej nawie

Modląc się gorąco przez całe życie,
dokonywał wciąż błędnych wyborów,
co potwierdzą źródła i świadkowie.

Uprosiwszy u Ducha Świętego dar mądrości,
nadal szokował świat swą żenującą tępotą
wypisaną na twarzy, przeto nie budzącą wątpliwości.

Prosząc nieustannie Archaniola Michała,
by tenże przeciw zasadzkom złego ducha był jego obroną,
dał się jednak ograć, zrobić w konia, wpuścić w kanał.

Raz nawet usłyszał,
że
– Gra skończona.

A ten stoi tu nadal
i wciąż
jak ten kolek.

Pewny swego.

To prawdopodobnie rok 2016 był przełomowy dla Wydziału. Wtedy właśnie przypuścił on zmasowany atak, niemalże nalot dywanowy na polskie kino.

Oczywiście i wcześniej zdarzały się prestiżowe sukcesy. Było wyróżnienie w Cannes i Europejska Nagroda Filmowa dla *300 mil do nieba* Macieja Dejczerza (1989), sensacyjne zwycięstwo debiutanckich *Pręg* Magdaleny Piekorz na festiwalu w Gdyni (2004), te same Złote Lwy i dziesiątki innych nagród dla Andrzeja Jakimowskiego za *Sztuczki* (2007), oscarowa nominacja dla dokumentu *Królik po berlińsku* Bartosza Konopki (2010) czy Grand Prix topowego wówczas festiwalu w Montrealu, zdobyte przez *Chce się żyć* Macieja Pieprzycy (2013). Ci i inni absolwenci katowickiej szkoły od początku mocno sygnalizowali swoją obecność nie tylko w rodzimym kinie. Mocno, czasem spektakularnie – ale jednak incydentalnie. Katowice wciąż były postrzegane jako ubogi, prowincjonalny krewny Łódź. I tak też się czuły. Tam hojny mecenas Ministerstwa Kultury oraz legendarne schody, na których w przerwach między zajęciami siadywali późniejsi klasycy: Polański, Wajda, Munk, Zanussi, Skolimowski. Tu – rozpaczliwa walka o przetrwanie w latach 80., a dekadę później dramatyczna zapaść finansowa. I kurczowa pamięć o pierwszych, „złotych” latach 1978-82, o fascynujących zajęciach u Kieślowskiego czy Kutza.

Sytuacja zaczęła się zmieniać z początkiem nowego wieku. Na Wydziale pojawiły się większe pieniądze, studenci – zamiast, jak wcześniej, kreślić hipotetyczne filmy kredą na tablicy – nareszcie zaczęli kręcić etiudy, ściągnięto kolejnych renomowanych wykładowców. Nadto – wraz z powstaniem Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej (2005) i Studia Munka (2008) – branża coraz bardziej się porządkowała, cy-



Wydział

JAROSŁAW STYPA, MARIAN KISIEL

Pierwotnie Wydział Radia i Telewizji Uniwersytetu Śląskiego, dziś Szkoła Filmowa im. Krzysztofa Kieślowskiego, nadal w strukturze UŚ. A dla ludzi z nim związanych po prostu Wydział.

wilizowała, pojawiło się więcej demokracji i więcej możliwości. Skorzystało z tego nowe pokolenie absolwentów Wydziału, które zaczęło mocniej rozpychać się na rynku. Krótkie metraże ujawniły talenty m.in. Marcina Wrony, Marka Lechkiego, Adriana Panka, Kuby Czekaja – ludzi, którzy jakiś czas potem mieli wnieść do polskiego kina powiew autorskiej świeżości, już na równych prawach z łódzianami.

Aż w końcu nadszedł wspomniany rok 2016. Na 41 Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni Złote Lwy zgarnął debiutant Jan P. Matuszyński

za *Ostatnią rodzinę* (zdjęcia – Kacper Fertacz), Srebrne – film *Jestem mordercą* Macieja Pieprzycy (wyróżnionego również za scenariusz), zaś trzecią pod względem ważności Nagrodę Specjalną Jury – Marcin Koszałka i jego *Czerwony pająk*. Do tego laury za muzykę i scenografię dla *Szczęścia święta* Michała Rosy (ze zdjęciami Koszałki) i wisienka na torcie: najlepszy film studencki, *Szczękościsk* Kordiana Kądzieni. Katowice po prostu pozamiatały. A przy okazji wyszło na jaw, jak wielu wydziałowych twórców związanych jest z regionem: Matuszyński to katowiczanie, podobnie autor zdjęć do *Jestem mordercą* Paweł Dyllus, Pieprzyca pochodzi z Tychów, Rosa urodził się w Zabrze (nagrodzone filmy dwu ostatnich dzieją się zresztą na Śląsku, z jego historycznymi meandrami, koloritem i gwarą).

No i ruszyło z kopyta. Rok później w Gdyni triumfuje *Cicha noc* Piotra Domalewskiego (to znów pełnometrażowy debiut, który później zdobędzie jeszcze rekordowe 10 Orłów, nagród przyznawanych przez kolegów z branży), a konkurs studencki praktycznie monopolizują Damian Kocur, Jakub Radej i Aleksandra Terpińska. 2019 to trzecie już Srebrne Lwy dla Pieprzycy (tym razem *Ikar. Legenda Mietka Kosza*). 2021 – srebro Matuszyńskiego (*Żeby nie było śladów*) i najlepszy debiut Terpińskiej (*Inni ludzie*). 2022 – zwycięstwo *Silent Twins* Agnieszki Smoczyńskiej



Stara siedziba Wydziału przy ul. Bytkowskiej (teren OPT)

i ważne nagrody dla rodowitych katowicz – Beaty Działowicz (*Strzępy*) i Kocura (*Chleb i sól*). Niezwykłą pasję Wydziału kończą na razie ubiegłoroczne Złote Lwy *Kosa*, zaledwie drugiego pełnometrażowego filmu w dorobku Pawła Maślony.

Co więcej, wybitni wychowankowie masowo wracają do Katowic w roli wychowawców kolejnych pokoleń. Do Pieprzycy, Rosy, Koszałki czy Działowicz, dziś już szacownych profesorów uczelni, dołączyli w ostatnich latach Matuszyński, Domalewski i Maślona, od nowego roku akademickiego zajęcia ze studentami prowadzić ma także Smoczyńska. Kto wie, może właśnie tworzy się coś, co nie będzie już tylko katowicką szkołą, ale „szkołą katowicką”?

Posiadanie w swojej okolicy tak renomowanej uczelni filmowej (a wspominamy tu jedynie o reżyserach, pomijając liczne osiągnięcia absolwentów operatorów i organizacji produkcji) jest niezwykle rzadkie, a tym samym bardzo cenne. Jednak w świadomości mieszkańców regionu Wydział, z jego poświadczoną nagrodami rangą, praktycznie nie istnieje. Choć nie, nie całkiem – istnieje, ale w sposób przewrotny.

Temat kompletnie przesyiają regionalne media. Chwalebny wyjątkiem jest tu katowicki oddział TVP, z liczącym kilkadziesiąt odcinków cyklem „Kadry śląskiej Filmówki”. Ale już najpopularniejsze tytuły prasowe, chcące wszak uchodzić za opiniotwórcze i mające autorów piszących o kulturze, jeśli w ogóle wartość Wydziału dostrzegają, to niemal wyłącznie w zupełnie innej kategorii.

„Dziennik Zachodni” w styczniu 2018 publikuje wprawdzie rozmowę z Pawłem Maślona po jego kinowym debiucie *Atak paniki* (pomysł taki nie powtórzył się już, gdy reżyser swoim drugim filmem wygrał gdyński festiwal), ale poza tym: – Centrum Katowic zyskało nieprzeciętny budynek (03.11.2017).

– Wydział wśród finalistów Nagrody Architektonicznej „Polityki” (18.04.2018).

– Drugie miejsce w konkursie Bryła Roku dla nowego Wydziału (18.05.2018).

– Katowicka ikona architektury otrzymuje Grand Prix od Stowarzyszenia Architektów Polskich SARP (23.05.2018).

– Wydział, jako jedyny w Polsce, ma szansę na Mies Van Der Rohe Award, architektonicznego Oscara! (17.01.2019).

– Nowe budynki Wydziału otrzymują Wienerberger Brick Award 2019 (14.03.2019).

– Najpiękniejszy ceglany budynek na świecie jest w Katowicach! Brick Awards 2020 (24.09.2020).

Podobnie – choć znacznie skromniej – „Gazeta Wyborcza. Katowice”. Poza anegdotyczną informacją, że obchody urodzin UŚ uświetnili Pieprzy-



Nowa siedziba Wydziału przy ul. św. Pawła

ca i Piekorz, odciskając dłonie przed Rektoratem (czerwiec 2015), interesuje ją głównie:

– Grand Prix Nagrody Roku SARP dla Wydziału Radia i Telewizji UŚ (23.05.2018).

– Grand Prix Brick Award dla Wydziału Radia i Telewizji w Katowicach (17.03.2019).

Niczego nie ujmując architektonicznym walorom nowej siedziby, trudno nie odnieść wrażenia, że proporcje są tu mocno zachwiane. Trudno też dziwić się dziennikarzom, spojrzawszy na stosunek samej Alma Mater do swego uzdolnionego dziecka.

Oto 8 kwietnia 2019 Uniwersytet Śląski donosi na swojej stronie us.edu.pl: „Budynek nowej siedziby Wydziału Radia i Telewizji (...) otrzymał nagrody w trzech kategoriach: kubatura, wnętrza publiczne oraz Grand Prix w Plebiscycie Polska Architektura XXL 2018 (...). Po raz pierwszy w historii konkursu jeden budynek zdobył aż trzy nagrody”. Zaś 5 listopada tego samego roku – niespełna dwa miesiące po festiwalu w Gdyni – uczelnia uznaje za stosowne zaktualizować informację o nagrodach dla Wydziału: „Siedziba Wydziału Radia i Telewizji (...) została doceniona w takich konkursach, jak: Nagroda Architektoniczna „Polityki” 2017, Bryła Roku i Grand Prix Nagrody Roku 2018 Stowarzyszenia Architektów Polskich SARP czy Najlepsza Przestrzeń Publiczna. Budynek znalazł się także (...) na krótkiej liście kandydatów do tegorocznej nagrody Mies van der Rohe, czyli najbardziej prestiżowego wyróżnienia architektonicznego, przyznanego przez Komisję Europejską, Parlament Europejski oraz Fundację Miesa van der Rohe. Projekt siedziby Wydziału Radia i Telewizji to efekt współpracy trzech pracowni: BAAS architektura, Grupa 5 Architekci oraz Małecy Biuro Projektowe”.

Samorząd? Na stronach śląskiego Urzędu Marszałkowskiego nazwa szkoły przewija się niemal wyłącznie w kontekście kolejnych edycji Ogólnopolskiego Konkursu Dziennikarskiego im. Krystyny Bochenek – za sprawą obecności w kapitule wieloletniej dziekan Wydziału, prof. Krystyny Doktorowicz. Jedna krótka notatka z marca 2017 odhacza sukces Pieprzycy i Dyllusa. Dwa lata później Urząd chwali się – jakże by inaczej – architektoniczną Nagrodą Marszałka dla nowej siedziby. Wszystko.

A samo miasto? Byłby znakomity powód, bo w środowisku filmowym Wydział funkcjonuje od zawsze pod skrótowym hasłem „Katowice”: studenci kończą Katowice, Katowice coś pokazały albo wygrały itd. Wydaje się, że taką darmową promocję w bardzo medialnej przestrzeni należałoby wspierać i dopieszczać. Owszem, 24 września 2020 prezydent Marcin Krupa na swoim profilu społecznościowym docenia artystyczną placówkę, zlokalizowaną w jego mieście: „Serdeczne gratulacje (...) za zdobycie głównej nagrody w międzynarodowej odsłonie konkursu Wienerberger Brick Award 2020. Wielkie brawa dla projektantów: Baas Arquitectura, Grupa 5 Architekci i Małecy Biuro Projektowe”. I to jedyny widoczny ślad zainteresowania tematem.

Postanowiliśmy zatem, na naszą skromną miarę, przywrócić społecznej świadomości filmowy wymiar Wydziału. Także uzmysłowić lokalnym decydom, gdzie leżą niemal nietknięte promocyjne konfitury. Pokazać, że efekowna architektura nie stoi pusta, a pracujący i studiujący w jej wnętrzu ludzie swoim dorobkiem artystycznym i znaczeniem dla polskiej kultury spokojnie mogą konkurować z Grupą 5 Architekci czy Małecy Biuro Projektowe.

Jak się pracuje u Kieślowskiego?

Bardzo dobrze! I to tyle lat! Jako student jestem tu już od roku 1990. A kiedy skończyłem szkołę, to dziekan zaproponował mi pracę, co było pewnie związane z sukcesem mojego szkolnego filmu.

Od dokumentu *Inna* z 1992 roku chyba wszystko się zaczęło?

Ten film został wysłany do Włoch na festiwal, gdzie dostał pierwszą nagrodę i nawet jakieś pieniądze. Wtedy płacono w dolarach i to było dosyć dużo dla biednego studenta. Ale początek lat 90., dla tych którzy studiowali w szkołach filmowych, to był najgorszy czas i w Katowicach, i w Łodzi. Po zmianie ustroju padł istniejący model finansowania szkół filmowych, a nowego jeszcze nie było – brakowało pieniędzy na wszystko. A przecież żeby reżyser się czegoś nauczył, to musi po prostu robić filmy, popełniać błędy, wyciągać wnioski, ale przede wszystkim robić.

Właśnie przed chwilą skończył pan zajęcia z przyszłymi reżyserami. Czy Pan przede wszystkim prezentuje tutaj swój warsztat, czy to w większym stopniu okazja do wymiany doświadczeń?

Kiedys ktoś powiedział, że samemu się człowiek najwięcej nauczy, ucząc innych. I ja również, ucząc studentów, czerpię od nich. Myślę, że reżyserzy, a może i wszyscy artyści, są swego rodzaju wampirami, którzy szukają nowych doładowań. Szkoła filmowa jest dobrym miejscem na taki obopólny proces.

A Pana jako reżysera ktoś szczególnie uformował?

Opanowywanie tego zawodu, czy raczej rzemiosła, bo to przede wszystkim jest rzemiosło, to było jednak samokształcenie. A jeśli chodzi o osoby, z którymi zetknąłem się tutaj, to wpływ wywarli na mnie z pewnością Wojciech Marczewski, Andrzej Jurga i Joanna Krauze. Jednak niewiele brakowało, że zaraz po szkole poddałbym się i wycofał z zawodu. Ale ta nagroda za pierwszy film na tyle mnie zmotywowała, że postanowiłem dalej je robić. Wcześniej byłem dziennikarzem. Specjalizowałem się w pisaniu recenzji filmowych. Byłem stałym współpracownikiem „Dziennika Zachodniego”.

Była jeszcze szkoła scenariuszowa.

Wtedy to się nazywało studium scenariuszowe. To były dwuletnie studia w Szkole Filmowej w Łodzi i ja je kończyłem równoległe z dziennikarstwem. Taka była moja droga do reżyserii. A do tego zawodu ludzie trafiają z różnych kierunków, często przez jakieś rodzinne tradycje artystyczne. Ja akurat nie wywodzę się z rodziny artystycznej, a raczej inżynierskiej.

I chyba także nauczycielskiej?

Tak, bo mój dziadek był nauczycielem. I mój tata też, ale potem nie pracował



Moje filmy to prawdziwe zmyślenia

Z MACIEJEM PIEPRZYCĄ, reżyserem filmowym i wykładowcą Szkoły Filmowej im. Krzysztofa Kieślowskiego w Katowicach, rozmawia KRYSTIAN WĘGRZYNEK

już w zawodzie. Ale rzeczywiście, tradycje nauczycielskie w rodzinie są silne. Teraz ja jestem nauczycielem.

A jeśli mówimy o takim kręgu formującym, to czy ukształtował pan Górny Śląsk, jeszcze zanim pan został reżyserem? Czy u Pana w domu celebrowano Barbórkę, czy chodził Pan na mecze Górnika Zabrze, czy godoł Pan na placu..?

Chyba zawsze tak jest, że to, skąd się wywodzimy, jest naszym atutem. Gdzieś z tego czerpiemy, czy świadomie, czy podświadomie. Pochodzę, po ojcu, ze śląskiej rodziny, takiej z tradycjami powstańczymi. Mój dziadek, który uczył w szkole na Wesołej [od 1975 dzielnica Mysłowic], był powstańcem śląskim. Kiedy Niemcy weszli tutaj w 1939 roku, to mieli już gotową listę polskiej inteligencji, przyszli do domu i zaraz go aresztowali. Zginął w obozie koncentracyjnym w Sachsenhausen. Moi wujkowie także byli powstańcami. Z kolei moja mama jest z Krakowskiego – przyjechała do pracy na Śląsk i wtedy moi rodzice się poznali. Wychowałem się w Tychach, bo tam tata dostał pracę. A to jest, jak pan wie, takie miasto dla ludzi, którzy tu przyjechali, by podjąć pracę. W rodzinie ojca zawsze mówiło się po śląsku, ale ja gwary nie używałem, bo na podwórku i w szkole przebywałem z kolegami z rodzin, które na Śląsk przybyły. Gdybym mieszkał, tak jak mój tata, w Mysłowicach, to z pewnością bym czym innym

nasiąkł. Tychy to jest miasto blokowisk, dlatego też mój pierwszy film pełnometrażowy, *Inferno*, opowiada o takim świecie. Potem przyszedł czas na śląskie tematy. W 2005 wyreżyserowałem telewizyjny film *Barbórka*. To był mój pomysł, który sam proponowałem, a bardzo dobrze mieścił się w telewizyjnym cyklu *Święta polskie*.

Nie budziła pana orkiestra górnicza 4 grudnia o świcie pod blokiem?

W Tychach akurat nie, ale *Barbórka* była zawsze świętem dla całej dzielnicy.

Czyli zgodziłby się Pan z tym, co mówił Kieślowski, że nie można uciec od siebie przy robieniu filmów?

Absolutnie, nie można uciec od siebie i to w wielu wymiarach, bo to jest sprawa świata, który się wchłaniało, ale też tego, jacy jesteście. Kieślowski jest mi bliski jako twórca bardzo wyczułony na realizm, choć bliskie są mi i jego późniejsze metafizyczne obrazy.

A nie jest tak, że wy obaj od dokumentu przechodziliście do fabuły, a z niej gdzieś w kierunku metafizyki?

Można mówić o pewnym pokrewieństwie. Ja też zaczynałem od realizacji dokumentów. Faktem jest, że wszystkie moje filmy dokumentalne zrobiłem tak, jak filmy fabularne i Kieślowski też tak robił – rozpisывał swoje historie dokumentalne jak fabuły.

Dla mnie taka droga do fabuły jest dobra – najpierw obserwujemy człowieka i jego otoczenie, zbieramy materiały, dokumentujemy... Ale z biegiem czasu Kieślowski zaczynał się wahać: mówił, że nie chce zmieniać ludziom życia i dopiero potem zaglądał do tej duszy, ale już w fabule...

Krzysztof Kieślowski z czasem zdał sobie sprawę, że wchodząc prawdziwym ludziom w życie, z kamerą, pewnych rzeczy nie jest w stanie dotknąć. Jednocześnie miał problem etyczny z tym, że za bardzo ingeruje w ich życie, przez to, że chce zrobić o nich film. Ja bardzo przeżyłem mój ostatni film dokumentalny, *Jestem mordercą*. Wtedy też zdałem sobie sprawę, że trzeba koniecznie szukać szansy na to, by móc opowiadać historie fabularne.

Zatrzymajmy się przy tym temacie, który Pan drążył prawie dwie dekady. *Jestem mordercą*, film dokumentalny z 1998 roku, potem film telewizyjny z serii *Kryminalni* z 2006 roku i dziesięć lat później obraz kinowy. Czy właśnie dlatego unikał Pan autentycznych nazwisk, żeby nie komplikować życia pierwowzorom tych postaci, ich rodzinom?

Ta historia jest bardzo skomplikowana i wielowątkowa, a ja chciałem wydobyć to, co jest w niej najistotniejsze – manipulację, w wyniku której z niewinnego człowieka zrobiono mordercę. Dlatego musiałem dokonać pewnych korekt. Wiedziałem też, że dzieciom Zdzisława Marchwickiego niełatwo było żyć z piętnem ojca wampira. Zetknąłem się z nimi, kiedy robiłem film dokumentalny, poznałem ich dramat...

Chcieli się przed Panem otworzyć?

Nie było to łatwe. Ale udało mi się ich nagrać. Jeżeli chodzi o Zbyska, syna, może było łatwiej. Z kolei z jego siostrą, czyli z córką Zdzisława Marchwickiego było trudniej, bo ona się najpierw zgodziła, potem wycofała, bo nie chciała do tego wracać. W końcu udało mi się ją namówić. To były dla nich bardzo bolesne wspomnienia.

Ale to niezwykle, bo to osiemnaście lat dzieli te projekty. Ma pan kondycję długodystansowca.

Wie pan, chodzi o to, że trzeba było zrobić inne rzeczy, żeby móc ten film wyreżyserować.

Na tym przykładzie też widać, że fabuła jest także po to, by pokazać emocje bohaterów. Taka jest scena w sądzie z dziećmi w obrazie kinowym, takie jest drugie spotkanie policjanta z córką rzekomego mordercy w *Kryminalnych*...

Najważniejsze w pracy reżysera i w przedstawianiu historii, przynajmniej dla mnie, jest opowiadanie o emocjach. Moje filmy, także seriale, to zazwyczaj taki emocjo-

nalny *rollercoaster*. Po prostu lubię tak opowiadać i lubię filmy, które są właśnie tak opowiadane.

A te emocje są przeróżne. Moją uwagę zwróciły relacje ojciec-syn: i w *Jestem mordercą* i w innych pana filmach, w *Barbórce*, w *Chce się żyć*, w serialu *Kruk*. To są ojcowie, którzy po prostu znajdują, a nawet mają czas dla swoich dzieci. Niezwykle!

Często tak jest, że jak coś robimy, to się nam jakoś nieświadomie to ostatecznie układa. Myślę, że to w moich filmach nie jest wyspekulowane. Odnoszę wrażenie, że jakoś podświadomie do czegoś takiego wracam, do takiej figury ojca. Mój ojciec bardzo dużo pracował, często nie było go w domu, ale kiedy przychodził, to był ważną postacią w moim życiu i starał się swoją nieobecność nadrobić.

Generalnie rodzina jest w Panach filmach taką ostoją.

To jest przecież, jak pan wie, bardzo śląskie – rodzina, praca, jeszcze może religia. To są pewne wartości, którymi się nasiąka w domu.

Mimo to pana bohaterem jest człowiek ze skazą czy z bliźną, osadzony w jakimś konkretnym miejscu, którego pan w swojej opowieści broni. Nawet jeśli to jest przestępca, to pan podąża za tym bohaterem nie po to, żeby go oskarżyć, tylko żeby go zrozumieć, tak?

Nie znoszę czarno-białego podejścia do postaci na ekranie, bo to jest dla mnie po prostu nieprawdziwe. Ludzie nie są tylko skończonym dobrem, ani skończonym złem. Trzeba się im przyjrzeć w ich złożoności psychologicznej. Może takich czarno-białych ludzi gdzieś znajdziemy, ale oni mnie nie interesują, także w literaturze czy w filmach. Chyba, że to jest James Bond, którego akurat lubię, ale za nim stoi silna gatunkowa konwencja.

Wyobraża pan sobie superbohatera opowiadającego o koszmarze sieroćnicy, w którym dzieci molestowano seksualnie – nawiązując do serialu *Kruk* oczywiście – wyobraża Pan sobie takiego Bonda?

Myślę, że superbohaterowie chyba jeszcze nie są na tym etapie. (*Śmiech*) No ale bondowski *Skyfall* to także przejmująca opowieść o traumie rodzinnej. To nie jest tak drastyczne, jak w *Kruku*, absolutnie, ale jest dalekie od komiksu. A co do moich bohaterów, to jakiś recenzent zauważył kiedyś z przekąsem: „Wiedziałem, że mogę się spodziewać takich niejednoznacznych postaci u Pieprzycy, jak zawsze”. Dla mnie to jest super komplement.

Przyjrzyjmy się Jasińskiemu, postaci wzorowanej na Jerzym Grubie. Gdyby

pan miał opowiedzieć o całej jego karierze, o tym, że jemu podlegały jednostki ZOMO, które pacyfikowały kopalnię Wujek, że to on kierował zespołem do spraw tuszowania śledztwa w sprawie zbrodni na Grzegorz Przemysku. Mielibyśmy niesłychanie zawiłą opowieść, prawda?

Trudno byłoby to wszystko zmieścić w jednym. Film nie jest z gumy. Jerzy Gruba to była bardzo złożona postać. Nie poznałem go osobiście, bo kiedy zacząłem robić dokument o sprawie Marchwickich, już nie żył. Ale spotkałem się z wieloma osobami, które go знаły, były w tej sprawie, widziałem nagrane wywiady z nim. Ta sprawa raz na jakiś czas odżywa, mówi się o doprowadzeniu do kasacji wyroku. Sądzę, że to już teraz jest chyba prawie niemożliwe, bo tak wiele osób nie żyje, ale wtedy, kiedy przygotowywałem mój dokument, to świadkowie żyli. Nawet, w pewnym momencie, kiedy wracała ta sprawa, to mój film i to, co zgromadziłem, stało się materiałem dowodowym.

I to jest siła prawdziwego dokumentu! A jak w ogóle wpadł pan na pomysł zrobienia tego filmu?

Inspiracją do filmu fabularnego była rozmowa, która nagrywałem do dokumentu, z panem Gontarzem, nie poimnę już imienia. On był zastępcą Gruby w grupie „Anna”, powołanej do złapania „Wampira”, w fabule *Jestem mordercą* gra go Michał Żurawski. Oni byli przyjaciółmi, razem studiowali w szkole milicyjnej. W końcu został odsunięty od sprawy, bo miał inne zdanie co do winy Marchwickich, a Gruba przetrącił mu karierę. I właśnie on mówił, że Gruba był świetnym młodym śledczym, i że jeśli ktoś miałby wtedy w Polsce złapać tego mordercę kobiet, to właśnie on. Tylko że potem coś się z nim porobiło... I te zdania mnie najbardziej zaintrygowały.

Trochę to wyczuwałem w tych końcowych scenach, kiedy otwiera wystawę poświęconą tej akcji. Nawet fizycznie się to wyczuwało, że to już ktoś inny.

Muszę powiedzieć, że ja i tak go obrobiłem, bo w pierwszej wersji scenariusza była taka scena pokazująca, że został karykaturą samego siebie. W rzeczywistości pierwszy zawał serca miał w dniu, w którym powieszono Zdzisława Marchwickiego.

Coś takiego!

Tego nie ma akurat w tym filmie, ale to prawda.

Ale na końcu pokazał pan coś innego.

Tak, bo myślę, że są dwie ofiary w tej historii: nie tylko Zdzisław Marchwicki, ale i Jerzy Gruba. Nie chcę tutaj gloryfikować tej kontrowersyjnej postaci, ale w tej konkretnej sprawie był też ofiarą.

A wracając do Michała Żurawskiego... On kiedyś wspomniał, że chciał grać po śląsku, ale musiał to z panem negocjować. Moim zdaniem kwestie wypowiedziane przez Żurawskiego brzmią bardzo autentycznie!

Już nie pamiętam szczegółów, ale zawsze jest ten problem przy gwarze, żeby to było zrozumiałe dla ludzi, którzy tej gwary nie znają. Poza tym musi pan wziąć pod uwagę, że zwłaszcza w latach siedemdziesiątych gwara śląska uważana była za taki język plebsu. Nie obrażając nikogo, oczywiście. Ludzie, którzy byli na stanowiskach, także oficerowie milicji, nawet jak znali gwara, to raczej nie używali jej w pracy.

A spójrzmy szerzej na koloryt lokalny w pana filmach, bo myślę tu też o Podlasiu, które w serialu *Kruk* jest takim ważnym kontekstem. Ale czasami to tylko taki ornament, tak jak katowickie migawki w *Chce się żyć*.

Akurat *Chce się żyć* to była uniwersalna historia, zresztą też inspirowana prawdziwymi wydarzeniami. Dla mnie zazwyczaj inspiracją jest jakaś prawdziwa historia, którą po swojemu przepisuję. Nazywam to za Markiem Hłaską, ulubionym pisarzem z czasów młodości, prawdziwym zmyśleniem. Ja to wszystko przepuszczam przez siebie i potem piszę na nowo.

I czasami to przyleganie bohatera do tego środowiska jest silne, a czasami nieistotne.

To wyznacza historia, którą opowiadamy. Moim zdaniem próba zrobienia z rodziny bohatera *Chce się żyć* akurat Ślązaków byłaby jakimś niepotrzebnym nadużyciem. Zresztą Przemek, bo tak miał na imię pierwotny wzór postaci, był z Warszawy. On i jego bliscy. Myślimy kręcili *Chce się żyć* częściowo na Śląsku, bo to był film, w który nikt na początku nie wierzył, film o kalece, który nie mówi – nikt tego nie chciał. Mieliśmy bardzo skromny budżet i kręciliśmy tutaj, bo wsparł nas Śląski Fundusz Filmowy. Ale sama historia jest totalnie uniwersalna, w przeciwieństwie do historii bardzo stąd, takich jak *Barbórka* czy *Jestem mordercą*.

Chcę jeszcze zapytać o to środowisko, w którym pokazuje pan Mateusza, po tym jak wywieziono go z domu. Były sceny, w których pokazywał pan pacjentów z ośrodka dla niepełnosprawnych. Początkowo mnie to krępowało, ale potem zrozumiałem, że chce mnie pan nauczyć, jako widza, wrażliwości, otwarcia się na tych ludzi. Żyliśmy przecież długo w społeczeństwie, którego do tego tematu nie dopuszczano.

Pamiętam moment, kiedy po raz pierwszy przyjechałem do ośrodka dla dzieci niepełnosprawnych pod Warszawą. Rozmawiam z dyrektorką i mówię, że chcę zrobić film fabularny, że piszę scenariusz i chciałbym zobaczyć ośrodek. Ona tak kiwa głową, „Aha, aha, aha” i poprowadziła mnie tam gdzie były bardzo ciężkie przypad-

ki. W pewnym momencie się zorientowałem, że ona to robi specjalnie, bo tak mi się przyglądała, czy ucieknę, czy nie. I mówię: „O, pan jeszcze tu jest? To jednak pan nie ucieknął? No dobra, to ja panu pomogę”. Potem mi wyjaśniła, że tam przyjeżdżało sporo tych, którzy chcą niby coś robić, a potem zwiewają, kiedy widzą, jak to wygląda naprawdę. Poznałem ten świat, długo go dokumentowałem. Zauważyłem, że oni nie nawidzą, jak się ich traktuje jak dzieci, jak się do nich pochodzi ze specjalną delikatnością czy troską. Chcą, by ich traktowano jak normalnych ludzi.

Ale mi chodzi o sytuację, że wśród tych naturszczaków, czy jakkolwiek ich nazwać, są i aktorzy. Czy pan filmował ich naturalne zachowania, czy ich reżyserował?

To byli i naturszczacy, i specjalnie dobrani aktorzy. Potem zaczęliśmy tam jeździć i się wszyscy zaprzyjaźniliśmy. Teraz wiem, że gdybym ich nie wziął do tego filmu, to oni by byli bardzo nieszczęśliwi. Ja ich nie wykorzystywałem. Przeciwnie! Ja bym im zrobił wielką krzywdę, gdybym ich nie wziął do tego filmu. A gdyby pan widział premierę! Pamiętam, w Kinotece, w czterech salach. Przyjechała z ośrodka cała delegacja tych, co wzięli udział w filmie. Nie byłem na tej samej sali, ale opowiadał mi kolega: „Słuchaj, co tam się działo. Jak oni się wydzierali, kiedy się widzieli. Ktoś próbował ich uspokajać, potem dał spokój”. Tak, to było bardzo żywe.

Niezwykłym nośnikiem emocji w pana filmach i spektaklach Teatru Telewizji jest muzyka. Począwszy od *Jesus Christler's Suicide* w *Inferno*, przez *All That Is Thirst* Pati Yang w *Drzazgach*, po *Ikara*, historię Mietka Kosza, gdzie muzyka jest już wszechobecna.

Muzyka jest ważna w moim życiu. Uważam, że w połączeniu z obrazem tworzy olbrzymią siłę emocjonalną. Nie mam wykształcenia muzycznego, żałuję, bo to by mi się bardzo przydało. Ale w rodzinie wszyscy na czymś grali, tyle że byli samoukami.

No ale jak to się, i jak to pan dopasowuje jakby, jak to się, jak to się wytwarza ta, nie wiem, jakaś ciekawa relacja między tą emocją, albo to jest właśnie to, to jakby wyeksponowanie tej emocji, tak? Ta, ta muzyka czy się... Tak.

Czasem jest tak, że muzyka, której słucham, staje się inspiracją do sceny, nadaje jej jakiś kierunek. Teraz zgrywam właśnie muzykę serialu *Idź Przodem, Bracie* [serial z 2024 wyreżyserowany przez Macieja Pieprzycę dla platformy Netflix, czeka na premierę]. Ścieżka dźwiękowa jest specjalnie napisana do tego obrazu, ale kompozytor musiał muzykę do finału pisać cztery razy, bo ciągle byłem z czegoś niezadowolony. Bardzo dużą wagę przykładam do tego elementu. Są reżyserzy, którzy nie lubią w ogóle muzyki w filmie, albo zostawiają to tylko kompozytorowi i sami się w to bezpośrednio nie

angażują, bo czasem ta muzyka nie jest dla nich ważna. Dla mnie jest niezwykle istotna.

Rozmawiamy przed rozpoczęciem zdjęć do serialu poświęconego niezwyklej postaci, Jolancie Wadowskiej-Król, śląskiej Erin Brockovich. Wraca Pan do naszych historii?

Często dziennikarze ze Śląska mnie pytali, kiedy zrobię coś nowego na Śląsku, a ja mówiłem, że szukam, bo nie chcę tak po prostu czegoś robić na siłę. Czasami jest tak, że my szukamy historii, a czasami te historie znajdują nas. Ta historia akurat mnie znalazła, bo to mi zaproponowano zrobienie tego serialu. Ale oczywiście to, że jestem ze Śląska i że zrobiłem wcześniej film *Jestem mordercą*, którego akcja też jest osadzona w latach 70., też wpłynęło na to, że Netflix i producent zwrócili się z tym do mnie. Bardzo zależało mi na jej opowiedzeniu, nawet zrezygnowałem z dwóch innych propozycji i postawiłem na tę, nie mając jeszcze wtedy pewności, że na pewno to dojdzie do realizacji. Teraz już decyzja zapadła, machina ruszyła. Podobą mi się, że jest to projekt o czymś więcej, niż sama historia. Ma wyraźny, uniwersalny temat. Z tym elementem często jest problem w serialach.

O czym więc będzie ta opowieść?

To jest opowieść o odwadze i poświęceniu dla innych w trudnych czasach, bez względu na grożące za to konsekwencje. To jest o odwadze w takich sytuacjach, gdzie wiele osób z rozsądku mówi, że lepiej się może nie angażować, bo czasy są takie, a nie inne... A bohaterka tej opowieści uznaje, że jest jednak coś ważniejszego, bo jest się lekarzem, i wiąże się z tym jakaś misja. Choć za to zaangażowanie trzeba zapłacić wysoką cenę. I to mnie chyba najbardziej interesuje w tej historii.

Nawiążmy jeszcze raz do Kieślowskiego – opowiada on swoją słynną trylogię w trzech barwach. W jakich kolorach opowiada pan o Śląsku – czarnym jak węgiel? Czerwonym jak cegła...?

Różnie o nim opowiadałem. Ale na pewno z miłością, może czasem nieco gorzko.

Czyli ten najnowszy film o Śląsku zostanie pokazany w jakich kolorach? Szaro-niebieskim? Ołowianym? Albo czarnym? A może zielonym – nadzieja?

Czarnym nie! Czy ołowianym? Ktoś, kto pamiętał tamte czasy, opowiadał mi o srebrnych liściach na drzewach w dzielnicy sąsiadującej z hutą. Nadzieja: na pewno tak.

Czyli mimo wszystko z nadzieją?

Z nadzieją, tylko że historia nie ma cukierkowego happy-endu, to jest bardzo trudne zwycięstwo bohaterki.

Bardzo dziękuję za rozmowę.

Rozmowa odbyła się 4 czerwca 2024 roku w Szkole Filmowej im. Krzysztofa Kieślowskiego w Katowicach.

WILHELM SZEWCZYK

Dziennik 1937 (8)

Z rękopisu opracował **MARIAN KISIEL**

Wtorek, 16 lutego.

Popełniłem dotychczas w stosunku do Polusa wielki błąd. Mianowicie zapomniałem o nauce miłości do ojczyzny. Zauważyłem to dziś. Ojciec jego ma orientację na Hitlera. I dlatego koniecznie muszę wyrwać go spod wpływu ojca. Zacząłem już dziś. Zacząłem przede wszystkim opowiadać o wielkości Polski i o jej znaczeniu w świecie. Słuchał zaciekawiony i trochę zdziwiony, gdyż ojciec mówił mu zupełnie inaczej. I te lekcje będą improwizacjami. A takie improwizacje lubię. Mówić o Polsce, o jej pięknie, o jej chwale, o jej wielkości to przecież największa rozkosz. Tym bardziej, gdy się o tym mówi duszy niezdeprawowanej jeszcze pesymizmem tego świata.

U Polusa mam już 9 czy 10 lekcji. A więc dotychczas należy mi się 4,- zł według (oczywiście) wariackiej taryfy, na jaką się lekkomyślnie zgodziłem.

O Stefie nic nie słyhać.

Środa, 17 lutego.

Zapomniałem o Łodzi. Przypomniał mi ją Władek. Była w Czerwionce i spotkała się z nim. Nie rozmawiali z sobą, bo się zrazu nie poznali. On ją poznał dopiero, gdy ją minął.

Mówił mi:

– Patrzyłem się za nią długo. W każdym razie mogę śmiało powiedzieć, że tak pięknej panienki jeszcze nie widziałem. Cudowna dziewczyna. Miałaś szalone szczęście, mogąc się z nią całować.

I znów fala wspomnień...

Matce Łodzi znudził się mąż. Pragnęła kogoś innego, kogoś nowego. Na ten temat doszło między nimi nawet do bójki. On podejrzywał, że żona woli raczej mnie niż jego. Rzeczywiście do mnie odnosiła się z wyszukaną grzecznością, do niego zaś po grubiańsku. Prosiła mnie, bym ją odwiedzał, gdy mąż pójdzie do pracy. Czyniłem to pod pretekstem odwiedzania Łodzi. Jednakowoż Kańtochowi donieśli o tym wszystkim sąsiedzi. Zakazał mi wstępu do swego domu. A gdy to nie pomogło – zamieszkał w Katowicach, prowadząc równocześnie ze swoim rodzeństwem pertraktacje o sprzedaż gospodarstwa. Jego żona, skoro się o tym dowiedziała, postanowiła potajemnie zamieszkać gdzie indziej. Cały plan przeprowadziłem ja. Wynająłem piękne mieszkanie w Mokrem Śl., zająłem się przewozem całego urządzenia domowego (zostawiliśmy mu jedynie dwa krzesła, łóżko, stół i szafkę). Ja zamieszkałem przy nich, bo inaczej gmina nie przyjąłaby jej, jako niemającej żadnych dochodów. Ja natomiast miałem się obstarzać¹ o posadę w Katowicach.

Tu odbyły się moje gody. Częste były pogańskie zachwyty nad ciałem Łodzi. Nad jej jędrnymi, stromymi piersiami. Jaka to rozkosz była całować to dziewicze (dziś już oczywiście nie), pachnące świeżością ciało. Zaszczepiać w nie ciepłymi powiewami dłoni gorączkę pożądania. Wzierać

się w piękne panińskie usta. I te włosy złociste. Te biodra szerokie. To łono miękkie... Te piersi. Och!

Posadę dostałem, ale małą za 130 zł. I dlatego rozeszliśmy się w złości. I tak jest do dziś. Dziś utrzymują się z innych. Tak się skończyła moja miłość. Było to równo 7 września 1934 r. Mieszkaliśmy przy nich trzy miesiące. Od końca lipca do początków listopada².

Władek twierdził mi dziś, że w porównaniu ze Stefą Łodzia jest cudem. A Stefa w porównaniu z Łodzią – Buszmenką.

Kochałem Łodzie. Ale już jej nie mogę kochać. Czas mnie uleczył. I te procesy, które prowadziliśmy wzajemnie, wywołując przed sąd naszą intymną miłość (świństwo, które ona uczyniła). Ale pozostały mi wspomnienia...

Czwartek, 18 lutego.

Okropnie zleniwałem. Zaniedbałem się w nauce. Mam dużo do odrobienia. Szczególnie te cholerne nauki ścisłe. Żeby to piekło pochłonęło. Takie wariacje trzeba pchać do głowy, nie wiadomo po co. Aby o tym co rychlej zapomnieć. Potem, tzn. po maturze. Chyba po to. Naturalnie.

A teraz jest słońce. I nie można się uczyć. Bo w umyśle kielkują wiosenne psikusy. Wariactwo.

Przy słońcu w ogóle nie można wiele robić. Ani wiele pisać. Słońce wysusza nam głowy. Słońce odbiera nas nauce. Niegrzecznie nas odciąga od książek. A to jest kiepska sprawa.

Przedemną leżą skrypta. Chemia i logika. Co z tym zrobić? Chyba zwinąć na rulon i założyć tym ogień w zimnym piecu. Chyba popakować i wysłać do Krakowa z dopiskiem „Teraz wiosna!... Precz z nauką! Niech żyje proletariat (w zn.[aczeniu] ubóstwo) umysłu!”.

— —

Och! Stefa, nie żałuj,
Daj usta, pocałuj!...

O Stefie nic nie słyhać, o orgii, jaką Władek ma urządzać, nic nie słyhać, o jakichkolwiek dochodach – głucho, tylko te cholerne skrypta leżą mi na oczach i przypominają mi, że czas matury się zbliża, a w umyśle jak zwykle ogromny nieporządek.

Pax!...

Errare humanum est³.

Jednakowoż nauka jest święta, jest konieczna i dlatego muszę zapomnieć o Stefie, o słońcu, o pieniądzach i skupić się nad skryptami.

Psiakrew! Słońce zaświeciło mi szelmowsko w oczy. Znikły mi skrypta sprzed oczu i kwitnie przede mną złoto. I jak tu się uczyć. O! pierońskie słońce. Przeszkadza mi w nauce. Jeżeli dziś nic nie zrobię, to nie będzie moja wina. To będzie wina słońca, słoneczna wina słońca. O! słońce. Zniknij

z horyzontu, zapadnij się i daj mi spokój. Chcę mieć święty spokój. Muszę. Trudno. Nauka przecież. Proszę bardzo, o ty cholerna pokuso!...

Gadaj tu takiemu. Świeci i świeci. Szaleje wulkanem zło-
ta. Oślepiłem. Ptak w klatce wydiera się przeraźliwie, gęsi
gegają, kury gdaczą, koguty pieją, słońce świeci, muskuły
w nogach się prężą, śnieg topnieje, słońce, słońce!...

Cholerne słońce. Dziś zdaje się nic nie zrobić. Albo mało
co. A przecież każdy dzień jest dla mnie drogi. Każda go-
dzina, każda minuta.

Słońce zwariowało. Jak Boga kocham, wyciągnęło się jak
długie na zeszycie. Pióro grzęźnie w złotym wosku. Atra-
ment paruje na poczekaniu.

Czuję się jakby pijany. Jakbym był wypił co najmniej
pół litra. Szumi mi w głowie krew jak wódka. Krew wrzą-
ca z powodu pożaru słońca.

Chciałbym mieć teraz przy sobie Stefę. I zedrzeć z niej
wszystkie suknie, najmniejszą kolorową szmatkę. Aby ją
mieć nagą – białą, prostą, ciepłą, słoneczną i miękką. Aby
móc wsiąknąć w nią atomem ruchliwym, burzliwym, ogni-
stym, słonecznym. Aby utworzyć z nią bezprzytomną, wio-
senną molekułę, dziką, rozkoszną drobinę!...

Znowu chemia. Psiakrew.

W każdym razie dziś już dam jej spokój.

Piątek, 20 lutego.

Odegrało się we mnie święte misterium.

Oto ono:

Słońce przełamało mróz na szybach
i ciepłym koszem kwiatów,
w głąb pokoju zastawionego księgami,
chlusnęło.
Jak twarz dziewczyny oparło się o moją twarz.
Jest nam dobrze razem:
mnie i słońcu.
W pokoju pachnie zielenią, której jeszcze nie ma.
Kwitną mi jakieś róże, które będą kwiść.
Kasztany zacieniają mi okna jak sztory;
idzie od nich cień ciężki jak cień kotary.
Kasztany – gorejące świeczniki, które
wiosna
zapali na świętą, słoneczną mszę.

Będzie:

Ktoś muśnie mi wargę dłońmi
jak pocałunek słońca,
którym się właśnie poję –
Ktoś się zaśmieje jak woda, roztrącana
ramionami wiosel –
(– śmiech polecą polami, znad których
wstają wonie gnoju i czarnej, tłustej ziemi –).
Drzewa wypuszczą pączki.
Pączki jak kielkujące, dziewczęce piersi.
Zielonymi łakami

przepłynie
ćwierkanie wróbli.

Zielonymi łakami
pójdę ja –

– łopocący radośnie ramionami jak ptak,
podrywający się do niebosiężnych lotów.

Wiatr

pójdzie spokojnie jak samolot po niebie.

Kwiaty...

pierwsze kwiaty

poderwą się spod moich stóp różnobarwnym
chichotem.

Uklękną w zielonej, wilgotnej trawie...

Zerwę ich kilka...

wepnę je dumnie do butonierki,

aby wieczorem płakać nad ich poschniętymi główkami.
Nabiorę w pełne dłonie wody,
falującej normalnie jak oddech po rekonwalescencji
i wyrzucę ją
radosnym chluśnięciem,
prostacką fontanną,
ku błękitnemu niebu.
Śmignie nade mną jakiś ptak
i zapyta się w przelocie,
kiedy znowu zapachnie łubin.

Teraz:

Słońce dusi mnie w gardle,

wyciska mi z oczu łzy

i krzyczy:

Łajdaku, ukorź się przed moją świętością!...

O! słońce!...

Zaiste, święta jest twoja wielkość!...

Oto czuję:

...przybliży się ku mnie dziewczyna,

stąpa cicho, zda się, że płynie...

słońce ma – w dłoniach,

słońce ma – na łonie dziewiczym,

słońce ma – w piersiach,

słońcem chlusta przez czerwień swych warg...

Oto czuję:

...rozpływa się we mnie rozkosz

zetsknięcia się z tą jawą słoneczną,

z tą dziewczyną, w zielonym wianku na głowie, radosną
uśmiechniętą jak pierwsza miłość.

z tą – Wiosną.

O, słońce!...

Z dłoni wykwitają mi białe stygmaty –

– białe lilie.

Na ustach mam smak malin.

Nozdrza chwytają dalekie zapachy

kwitnących akacyj.

Otaczają mnie kwitnące wiśnie,

biorą mnie pod ręce i wiodą na swój wiosenny taniec.

Podchodzą do mnie powoli, poważnie,

obwisłe grusze

i obejmują mnie twardo a miłośnie,

jak matki czujące płód w łonie.

Jak matki brzemiennie całują mnie

w czoło lekkim powiewem

i błogosławią szumem liści...

Stoją w tym rozbawionym kręgu,

na tym wiosennym kiermaszu,

prosty,

śmigły jak dąbczak...

Książki wypadają mi z rąk...

chwytam pierwszą lepszą sosenkę,

obejmuję ją namiętnie jak dziewczynę

i tańczę z nią krakowiaka, aż hej!!!...

Sobota, 20 lutego.

Wspomnienie kuligu powoli się zaciera w pamięci.
Śnieg już dawno stopniał. Polne drogi, którymi pędzi-
liśmy, rozmiękły i tworzą błotniste, grząskie szlaki. Las
obsypany śniegiem jak pierniki choinkowe cukrem jest
ochlastany brudną, żółtą wodą, tworzącą u jego stóp
pachnącą grzybami i jodłami miękką podściółkę. Niebo
jak dziurawy, czarny parasol przecieka miejsce w miejsce.

Każdy już na pewno zapomniał o tym kuligu. Każdy
już na pewno ma miłsze wrażenia. Tylko ja... Tylko ja
żyję tym kuligiem, tymi wspomnieniami, których nie
sposób oddać na papierze. Są te wspomnienia czymś
w rodzaju tęsknoty...

A Stefa nie odpowiada na mój miłosny bilecik. Może
w ten sposób chce mi się zrewanżować za tamten bi-

lecik. Byłby to brzydki rewanż. W każdym razie może się chęć swoimi zwycięstwem, że ja jednak uległem jej miłości (czasami różnie o niej sądzę). Może się na cieszyć swoim zwycięstwem nad mną. Bo to zwycięstwo jest bezsprzeczne, bezapelacyjne, nie podlegające żadnej dyskusji.

Miałem o niej sen. Przyszła do mnie jak zjawy, z tyłu, zakryła mi miękkimi dłońmi oczy i rzekła: Zgadnij, kto taki?... Zgadłem od razu, bo poznałem ją po tych pierśsiach, wspierających się o moje plecy. A potem byliśmy na jakimś ponurym zebraniu Tow. śpiewu w Rybniku, gdzie był również jej dawniejszy kawaler. Usiadła przy nim. Chciał z nią porozmawiać, ale oświadczyła mu, że jest z narzeczonym i wskazała oczyma moją osobę. Siedziałem ponury za plecami czarno ubranych chłopców i słuchałem twardych, surowych słów biskupa Gawliny, który nie wiadomo skąd i po co znalazł się na zebraniu. Stefa siedziała w gronie paru dziewcząt umalowanych i upudrowanych. – Więcej nie pamiętam, gdyż brat, rzucający się w łóżku jak ryba, obudził mnie cholernym kopnięciem w brzuch.

Zaraz po tamtym kuligu miałem również sen. Wtedy to powiedziałem Stefie, że wszystko się dobrze zaczęło, ale źle skończyło. Wtedy nie wiedziałem, czy to ma jakieś znaczenie, jakąś prawdę w sobie. Ale dziś Ryś powiedział mi, którego o tym śnie zaraz poinformowałem, że rzeczywiście źle się skończyło, bo obie panienki miały w domu prawdziwą godzinę sądu pańskiego. Oczywiście z powodu nas. Ojciec ich przecież nie znoś, gdy ktoś łamie jego rozkazy.

Wczoraj było słońce. A dziś wiatr zimny, ostry wiatr, siecze twarz deszczem, złodowaciałym deszczem jak tysiącem nahajek. Teraz o tej porze (jest dziewiąta rano) Stefa będzie już w ochronce. Będzie się wpatrywać w rozradowane oczy swojej kochanej dzieciarni, będzie im podrzucać piłki, wielkie różnobarwne piłki, kryć się im po kątach, bawić się w ciuciubabkę, opowiadać im bajeczki... Szczęśliwa Stefa. Teraz, o tej porze, Ryś będzie się kiwał nad zeszytem z księgowości, Władek będzie zliczał długie kolumny pięknie, kaligraficznie wypisanych liczb, Marysia będzie śmiać się do kogoś z daleka, Maryla będzie się obawiała Baka na lekcję polskiego... Szczęśliwi!...

A ja? Gazetę już przeczytałem, książek żadnych nie mam do czytania, chemii dzisiaj nie strawię, a tym bardziej algebry czy trygonometrii. Chyba, chyba zabiorę się do Pana Tadeusza.

Wczoraj odbył się tu jedyny występ teatru lwowskiego. Dawno rewiię pt. *Ta joj! Ta my ze Lwowa*. Niestety do ósmej śleczalem na lekcji u Polusa. Spóźniłem się więc na przedstawienie – Władek już był w środzku. A on miał mi właśnie wykupić bilet wstępu. Całe popołudnie spędziłem na lekcjach. Wszędzie siedziałem po dwie godziny (Szymura i Polus). Sądzę, że dostanę na pierwszego zapłacone za lekcje i od Szymury, i od Polusa. Bo właśnie pieniądze będą mi koniecznie potrzebne, gdyż zamierzam 6 marca pojechać do Krakowa. Chciałbym bowiem raz wreszcie porządnie poznać to miasto. Byłem już tam dwa razy, ale nawet połowy jego osobliwości nie poznałem. Poza tym odbywa się tam obecnie wystawa „Sztuki”, którą chcę koniecznie oglądnąć.

Niedziela, 21 lutego.

Jest tak: Popołudnie ciężkie jak w jesieni. Stalowe chmury przeciągają wolno po niebie. Kałuże pod oknem wyglądają jak miniaturowe jeziora. Cały plac w ogóle wygląda jak plastyczna mapa okolic pojezierza.

Jest tak: Trójkątna twarz, subtelne okulary, siwy zarost i oczy patrzące przyjacielsko: Miguel de Unamuno⁴.

okulary, siwy zarost, oczy patrzące przyjacielsko: Miguel de Unamuno
Filozofia metafizyczna – hm!...
Jest trzech Wilhelmów. Ba – czterech:
1. Realny Wilhelm – znany tylko swemu Stwórcy,
2. Idealny Wilhelm – mój ideał,
3. Idealny Wilhelm – taki, jakim wydają się światu,
i 4. Wilhelm – taki, jakim pragnę być.
Czyli: taki – jaki jestem dla Boga, taki – czym jestem dla ludzi, za jakiego sam siebie uważam i jakim życzę sobie być. I ten czwarty Wilhelm, według Unamuna, dopiero jest idealnym człowiekiem.

Filozofia metafizyczna – hm!...

Więc jest trzech Wilhelmów. Ba – czterech:

1. Realny Wilhelm – znany tylko swemu Stwórcy,
2. Idealny Wilhelm – mój ideał,
3. Idealny Wilhelm – taki, jakim wydają się światu,
- i 4. Wilhelm – taki, jakim pragnę być.

Czyli: taki – jaki jestem dla Boga, taki – czym jestem dla ludzi, za jakiego sam siebie uważam i jakim życzę sobie być. I ten czwarty Wilhelm, według Unamuna, dopiero jest idealnym człowiekiem.

Rozumiem na łacińskich wypisach na okrywionych foliach, cały zapamiętany z bliskiej, sercem. Aby dogryźć, się do zapamiętania, jak do okrycia mego, ukrytego, folia lewego, ukrytego w gesturze trawy.
Ciekawe – nie ma czoły, jest nuni, cypki, słów, boga, wpleci, ek, kie, pte, słęzani, się, wpleci, przez, głows, jak, gnuatow, przez, mebo, kwarki, stop, jak, na, proglądne, Myśli, wędrują, ku, krótkom, bora, je, za, ręce, jak, dżeci, niedaradone, gościnów, zpię, (paradoksy, ocrpotaie – niedaradone, krótki); chęć, z, mien, dookoła, folioj. Potem, wyboże, przez, okno, na, zabitoj, ulicy, i, fufaj, dżirani, i, powrotem, do, folioj. Ja, ki, folowen...
Ciekawe – fips, nie, dla, siebie, nie, dla, tego, że, odzawam, foloweb, pisanie, ale, dla, Rogos, dla, jakiegoś, społeczeństwa, która, mnie, mien, i, przysłuchi, czyta, to, społeczeństwo, które, w, moim, słowa: typ, wargenach, składa, na, moim, głośnie, wielkie, ogromne, wielkie, z, ma, fipem, tu, społeczeństwa, słowian, kie, serce!
Czasami, wrode, ten, dziwnie, w, wydaniu, drukowanym, z, konwenta, rgen, z, objaśnieniami, i, z, fascynacją, am, mojego, nerwowego, pisma, i, za, raz, przedstawię, sobie, dziwnie, astotez, twierd, chłopca, czytającego, piazyn, zimno, wpi, wleporaw, fips, cypki, pisanie

Ciekawe. Chyba się nad tym zastanowię.

Znane mi mogą być całkowicie jedynie dwa wizerunki Wilhelma: ten, za kogo się uważam i ten, jakim pragnę być. Czym jestem dla Boga („...Każdy bowiem jest czymś dla Boga...” – nie wiem. Można się tylko tego domyślać ludzkimi (a więc błędnymi) kategoriami myślenia. Czym jestem dla świata – nigdy się nie dowiem. Świat nie ma możliwości być absolutnie szczerym... A więc na podstawie analizy dwóch wizerunków idealnych możemy się zbliżyć do idealnego Wilhelma, tj. do tego, jaki jest znany jedynie swojemu Stwórcy. Dlatego, że istnieje wizerunek realnego Wilhelma i tego, jakim pragnie być, musi być nieśmiertelność. Bo inaczej bezpłodnym byłoby budowanie w umyśle Stwórcy wizerunku Wilhelma realnego, skoro z chwilą śmierci tego stworu, wszelkie jego sprawy cielesne i duchowe byłyby natychmiast bezpowrotnie przekreślone i zapomniane w społeczeństwie wszechrzeczy. Nieśmiertelności trzymał się Unamuno kurczowo. I miał rację. Jeżeli by bowiem nicось była naszym losem, cała jego praca twórcza poszłaby na marne. Byłby to pociąg, który wjechał na ślepy tor, z którego nie ma powrotu (nie ma raczej czasu na powrót – Unamuno zmarł w końcu grudnia ub. roku).

Unamuno wierzył. Wierzył mocno, że był geniuszem rozumu, więc rzekł, musiał koniecznie powiedzieć, że „trzeba koniecznie ukrzyżować swój rozum, aby dojść do wiary, musi się po prostu uwierzyć, aby żyć”.

(Zmagał się z własnym rozumem, bo: „Créer le monde est moins impossible que de la comprendre” [A. France]⁵).

Unamunizm wygląda tak:

Owieczna tajemnica nieśmiertelności mężczyzny. Głód i pragnienie nieśmiertelności w znaczeniu indywidualnego istnienia pozagrobowego, wymaga afirmacji życia, oparcia o ideę Boga, do której prowadzi drogą religijnej intuicji twórcza wiara człowieka („la fe que crea”). Jest to religijny indywidualizm, mający swe źródło w tradycji chrześcijańskiej. Oryginalny humanizm Unamuna – to unamunizm.

Ośrodkiem unamunizmu jest człowiek „z krwi i kości”, cierpiący, tragiczny w namiętnej walce o wartości najwyższe.

Unamuno to wielki samotnik idei.

Jego credo:

„Odważa głośnego twierdzenia czegoś wobec wszystkich, odwaga obrony kosztem życia tego, co się twierdzi – stwarza wszystkie prawdy. Rzeczy są tym prawdziwsze, im się w niej więcej wierzy, a ustanawia je nie inteligencja, lecz wola”.

Ośrodkiem unamunizmu jest człowiek „z krwi i kości”, cierpiący, tragiczny w namiętnej walce o wartości najwyższe.
Unamuno to wielki samotnik idei.
Jego credo:
„Odważa głośnego twierdzenia czegoś wobec wszystkich, odwaga obrony kosztem życia tego, co się twierdzi – stwarza wszystkie prawdy. Rzeczy są tym prawdziwsze, im się w niej więcej wierzy, a ustanawia je nie inteligencja, lecz wola.”
Czy – wiara, silna wiara w słowianizm?... Zupełnie po myśli credo Unamuna.
31 grudnia 1936 r. w Salamanca: umarł Unamuno, jako rektor jej uniwersytetu. Odwiedził go właśnie przyjaciel, prof. prawa Aragon. Braseo ogrzewał zimny pokój. Rozmawiali o wojnie domowej, której charakter patologizmy Unamuno od dawna określił. Jego śmierć spotkała go wyjątkowo dobrze, jak nigdy. Powiedziała to właśnie przyjacielowi. W chwili potem pochylił głowę, pobladł i umarł cicho jak człowiek, który po długiej walce zwyciężył.
(Muszę zamówić Mglę. Jedyna Jego rzecz tłumaczona na jęz. polski).



Czy – wiara, silna wiara w słowianizm?... Zupełnie po myśli credo Unamuna.

31 grudnia 1936 r. w Salamance umarł Unamuno jako rektor jej uniwersytetu. Odwiedził go właśnie przyjaciel, prof. prawa Aragon. Braseo ogrzewał zimny pokój. Rozmawiali o wojnie domowej, której charakter patologizmy Unamuno od dawna określił. Powiedział to właśnie przyjacielowi. W chwili potem pochylił głowę, pobladł i umarł cicho jak człowiek, który po długiej walce zwyciężył.

(Muszę zamówić Mglę. Jedyna Jego rzecz tłumaczona na jęz. polski).

Hiszpania jest obecnie dla wszystkich ciekawostką. I nie wiadomo jaką jest. Czy taką, jaką ją ukazuje wojna domowa, czy też Hiszpanią ekscentryka Valle-Inclána⁷, Hiszpanią Unamuna lub Hiszpanią (raczej Hiszpanie, duch hiszpański...) z Nitki Ariadny E.[dwarda] Ligockiego⁸. (Duch hiszpański – skrajność, która z każdej rzeczy wyciąga ostateczne konsekwencje, nie uznaje środka ani kompromisu, odrzuca wszelką poławiczość – czy tak?!).

Jest tak: Jego oczy, głębokie oczy, podające mi smętne pocałunek nieśmiertelności.

Jest tak: Deszcz zmieszany ze śniegiem, ukośnie podcinający pagórki bagna i tafle wód, ukryte w miniaturowych kotlinach.

Jest tak: W pokoju kwitnie śnieżyczka.

Poniedziałek, 22 lutego.

Jak długo trzeba siedzieć nad katalogiem, nim się wybierze tytuły, które można zamówić. Oczywiście katalog musi być po cenach obniżonych, bo inaczej szkoda nawet tracić czas na marzenia o kupnie tej czy innej książki.

Katalog jest cały pokreślony różnokolorowymi ołówkami. Każda nowa barwa, która smarowałem przy odpowiednich tytułach, miała oznaczać ostateczną decyzję co do zakupu podkreślonej książki. Barw narastało. Bo po dokładnym przeliczeniu okazuje się zawsze, że trzeba zamówić mniej, a z tych „mniej” znowu trzeba obciąć parę pozycji. Katalog wygląda jak paleta, na której malarz próbuje swoje farby. Ostatnim kolorem, jaki ułożyłem na cenach, jest żółty. Sądzę, że to już naprawdę będzie ostatni. Chociaż do pierwszego jest jeszcze sporo czasu i całe godziny będą jeszcze pożyłkiem tej czy innej książki, siedząc nad rozłożonym szerekiem katalogiem.

Ale Unamuno musi być. Dalej: Deledda (*Podróż do Egiptu*)⁹, Sinclair Upton (*Król Węgiel*)¹⁰, German¹¹, Boy-Żeleński i inni. Pigoń ostatnio swoimi *Głosami sprzed wieku*¹² zaciekał mnie epoką filaretów. Książkę jego, ozdobioną zresztą nawet pięknie dobranymi ilustracjami, przeczytałem jednym tchem. Mam wrażenie, że takie książki, książki traktujące o idealizmie narodowym młodzieży, potrafią i mogą dać jedynie najskuteczniejszą, najwznioślejszą i najciekawszą lekcję miłości ku ojczyźnie. Z tego ideowego cyklu zamówię coś H.[enryka] Mościckiego¹³, człowieka, który filaretów i ich epokę studiuje z namiętnością.

To są plany na pierwszego. Z tego zdaje się powodu głównie nie pojadę do Krakowa. Przede wszystkim przecież trzeba mieć książki, a potem mogą nastąpić zbyteczne pod pewnymi względami wyjazdy. Co najwyżej prawdopodobnie będę w Katowicach, aby w antykwarni na Mariackiej wymacać na okurzonych półkach coś zapomnianego a bliskiego sercu. Aby dogrzebać się do zapomnianego piękna, jak do skromnego, maleńkiego fiołka leśnego, ukrytego w gęstwie trawy.

Ciekawe – nie ma ciszy. Jest szum czyichś słów, burza myśli, ciężkie przetaczanie się myśli przez głowę jak grzmotów przez niebo. Książki stoją jak na przegładzie. Myśli wędrują ku książkom, biorą je za ręce jak dzieci nieświadome gościńców życia (paradoks oczywiście – nieświadome książki) i chodzą z nimi dookoła pokoju. Potem wyłażą przez okno na zabłocną ulicę i znow drzwiami z powrotem do pokoju. Taki polonez...

Ciekawe – piszę nie dla siebie, nie dlatego, że odczuwam potrzebę pisania ale dla kogoś, dla jakiegoś społeczeństwa, które mnie musi w przyszłości czytać. To społeczeństwo, które w moich śmiałych marzeniach składa na moim grobie wielkie, ogromne wieńce z napisem: „Tu spoczywa słowiańskie serce”.

Czasami widzę ten dzienniczek w wydaniu drukowanym, z komentarzem, z objaśnieniami i faksymiliami¹⁴ mego nerwowego pisma. I zaraz przedstawiam sobie dziesiętnastoletniego chłopca, czytającego późnym zimowym wieczorem, przy ciepłym piecu te słowa, które zimowym odludnym wieczorem dziesiętnastoletni chłopiec wylał ze swojego słowiańskiego serca na karty dzienniczka.

Głupie, szalenie głupie. Idiotyczne... że za dużo roję. Po co? Rozczarowanie będzie bolesne. A rojenia rozpylają się w ciężkim powietrzu godzin jak misternie i zgrabnie poskręcane kółka, które wypuszcza z rozkosznie rozwartych ust palacz papierosów. Po co roić, po co marzyć (śmieszne, zalatujące Słowackim słowo), kiedy to i tak nigdy nie będzie żyło. To, o czym się

myśli w chwilach ciężkich jak mokra, gruba szmata, przycienająca oczom wyraźne patrzenie.

Ale:

– nie wiem, co zrobić z życiem, którym obecnie żyję. Pokój, dopołudniowa gonitwa utopii (tak, gonitwa, głupie szukanie utopii, bezsensowne...), popołudniowa belferka, wieczorny żal za zmarnowaniem całego dnia – oto życie. Może trzeba będzie rozpocząć życie wsteczne. Od pewnego jego faktu (koniecznie „przełomowego”) posuwać się wstecz jak rak, zbierać potracone kiedyś po drodze słowa (– słowa rosnące jak ciasto zamięszone w dzieży –). A potem – naprzód!...

Ciekawym, co o tym powiedziałby Unamuno, a co Proust. I co pomyślałaby o tym wszystkim... Stefa.

Przypisy

1 Obstarć się (gwar. Ciesz.) ‘wystarać się, postarać się’.

2 W tym akapicie rękopisu są znaczące przekreślenia. Najpierw Szewczyk napisał w pierwszym zdaniu: „Posady nie dostałem”, potem skreślił „nie” i nadpisał fioletowym ołówkiem: „ale małą za 130 zł”. W zdaniu przedostatnim napisał: „Mieszkalem przy nich półtora miesiąca”, potem skreślił „półtora” i napisał „trzy”. W zdaniu ostatnim napisał: „[...] do początków września”, potem skreślił „września” i napisał ołówkiem „listopada”.

3 Pax! Errare humanum est (łac.) ‘Pokój! Rzeczą ludzką jest błędzić’.

4 Miguel de Unamuno y Jugo (1864–1936), hiszpański intelektualista, filozof i pisarz, dwukrotny rektor uniwersytetu w Salamance, protoegzystencjalista chrześcijański, liberał, autor licznych esejów i powieści.

5 Zob. Anatole France, *Le Jardine d'Épiqueure*, 10e ed., Calmann-Lévy, Paris 1895, s. 77; polski przekład: *Ogród Epikura*, przeł. J. i W. Dąbrowscy, Vita nuova, Warszawa 1922.

6 Braserio (hiszp.) piecyk.

7 Ramón María del Valle-Inclán (1866–1936), właśc. Ramón Jose Simon del Valle y Peña, hiszpański pisarz, ekscentryczny przedstawiciel „pokolenia 1898”, twórca „esperpento”, odzierciedlonej w prozie i dramacie groteskowej techniki deformacji rzeczywistości. W poglądach politycznych najpierw karlista, później anarchista. Szewczyk mógł znać jego *Sonatas* (wyd. pol. *Sonaty wiosenna i letnia*, przeł. Maria Bogdaniowa, wyd. Wł. Uzarski, Rzeszów 1925).

8 Edward Ligocki (1887–1966), poeta, prozaik, dyplomata, zwolennik gen. Hallera, krytyk Piłsudskiego i jego obozu. Przywołana przez Szewczyka powieść ukazała się nakładem Wydawnictwa Polskiego we Lwowie (1924).

9 Grazia Maria Cosima Damiana Deledda (1871–1936), włoska pisarka, laureatka Nagrody Nobla (1926). Szewczykowi chodziło o *Ucieczkę do Egiptu*, przeł. Stella Olgierd, Polski Instytut Wydawniczy „Sfinks”, Warszawa-Gdańsk 1928.

10 Upton Beall Sinclair Jr. (1878–1968), amerykański pisarz. *Król Węgiel*. Powieść osnuta na tle wydarzeń w zagłębiu węglowym w Colorado, przeł. Antonina Sokolicz, Towarzystwo Wydawnicze „Rój”, Warszawa 1931.

11 Prawdopodobnie chodzi o Juliusza Germana (1880–1953), znanego i lubianego dramaturga i pisarza doby młodopolskiej i międzywojennej, tłumacza m.in. André Gide’a i Augusta Strindberga.

12 S. Pigoń, *Głosy sprzed wieku. Szkice z dziejów procesu filareckiego*, Księgarnia Stowarzyszenia Nauczycielstwa Polskiego, Wilno 1924.

13 Henryk Mościcki (1881–1952), polski historyk, prof. UW i UJ, zwolennik sanacji, autor m.in. zbioru *Promieniści: Filomaci – Filareci*, zebrał i objaśnił..., Gebethner i Wolff, Warszawa 1916.

14 W rkp. ‘fascimile’ami’.

Mistrz Miron i Pani Gość

Z JÓZEFEM BARANEM rozmawia MIROSŁAWA SZOTT

Miron Białoszewski

Wywiad

MISTRZ MIRON
Puka? Kto?
(uchyla)
Acha...
Chwileczkę... już
PANI GOŚĆ
Pan woli ludność czy bezludność?
MISTRZ MIRON
Trochę bez, trochę z
PANI GOŚĆ
z z z, to nie przeszkadza?
MISTRZ MIRON
jak fruwa – nie, w rurach – nie,
jak za długo siedzi – tak
PANI GOŚĆ
Tak się rozglądam, dobrze tu panu?
MISTRZ MIRON
Przeważnie... przepraszam, pani nazwisko?
PANI GOŚĆ
Na „s”
MISTRZ MIRON
Śpiwko... Śpiaw... nie?
PANI GOŚĆ
Śmierć
MISTRZ MIRON
(zatkany)
(przez sztuczne zęby)
Ledwie wpuściłem
myślałem, że dziennikara
PANI GOŚĆ
Kara
MISTRZ MIRON
Za co?
PANI GOŚĆ
Za życie
MISTRZ MIRON
Już?
(pada na dobre)
(z kieszeni MISTRZA MIRONA wysuwa się chytrze kartka)
„Nie kaźcie mi już niczym więcej być!
Nareszcie spokój”

Mirosława Szott: Józefie, jak myślisz, jaki był stosunek Mirona do śmierci? Poczucie humoru czasem uruchamia się w momencie zagrożenia.

Józef Baran: Miron nawet z tematów dramatycznych potrafił uczynić farsę, znaleźć do szpitala i do swojej sytuacji humorystyczny dystans. To dla niego ideał sztuki! Przykładem może być książka *Zawał* obfitująca w kapitalne spostrzeżenia z planety chorych... Nie specjalnie go wizja chrześcijańska pociągała, takie życie wieczne po śmierci. Tak pisał mi w liście z 1982 roku: „Ja ciągle się kuruję, chodzę na zastrzyki, przy okazji obserwuję swoje życie. Nic mi nie jest poważnego, tylko takie resztki osłabienia, które kiedyś się zbiorą i człowiek umiera. Ale nie martwię się tym. Ani niebyciem. Nareszcie spokój od wszystkiego. Stan niebycia dobrze mi znany.

Raz już nie byłem do 1922 r. (rok urodzenia Mirona – przyp. J.B.). Inni też. Tylko zapominają. Poza tym chcą życia pośmiertnego za wszelką cenę: wcieleń, włóczęń się duszy, tępego snu, prawie niebycia, chodzi im o to «prawie», żeby choć troszeczkę być, choćby udawać, że się jest”.

MS: To dosyć przejmujące słowa. I jest w nich zawarta treść tej karteczki, która wypada Mistrzowi Mironowi w wierszu. To nie przypadek, bo – jeśli chodzi o okoliczności powstania tego utworu – to Ty podsunąłeś Białoszewskiemu pomysł na ten wiersz, który tak chętnie zestawiany jest w szkołach z *Rozmową Mistrza Polikarpa ze Śmiercią*. Niejednokrotnie Ci za niego dziękował.

JB: Tak, rzeczywiście zażartowałem w jednym z listów do Mirona, a było to na początku lat 80., gdy skarżył się na częste pobyty w szpitalach i na słabość, jaka kiedyś go ścisnie, żeby napisał *Rozmowę mistrza Mirona ze śmiercią* jako parafrazę tamtego średnio-wiecznego wiersza... i rzeczywiście w jakiś czas potem przysłał mi *Wywiad* z podziękowaniem za pomysł. Oczywiście jego wiersz-parafraza z pozoru nie miał wiele wspólnego z wierszem o Mistrzu Polikarpie. Dzieje się w realiach współczesnych, blokowych, a i Śmierć jakże inna, nie kłapie zębami, kosą, ba, nie śmierzdi... Sytuacja podobna, a równocześnie jakże odmiennie przedstawiona! O genezie wiersza wspomina w swoich dziennikach pisanych na bieżący, lecz – zgodnie z testamentem – opublikowanych kilkadziesiąt lat po jego śmierci.

MS: Lubisz swój współudział w twórczości innych pisarzy? Masz poczucie satysfakcji?

JB: Czy ja wiem, czy lubię? Po prostu zdarzyło się tak. Poznaliśmy się, będąc w polskiej delegacji pisarzy biorących udział w festiwalu Poezji w Strudze w 1978, on był już klasykiem, a ja młodym „dobrze zapowiadającym się”. Jego wypromował w latach 50. Artur Sandauer, który też przyczynił się do promocji mojego nazwiska. Dzieliła nas różnica pokoleń czy nawet dekad, doświadczeń życiowych (on przeżył wojnę i Powstanie Warszawskie), ja jestem powojenny. Ja pochodziłem ze wsi, on – był dzieckiem Warszawy. Znałem jego wiersze i wiedziałem, że krytyka uznawała go za absolutnego odnowiciela języka poetyckiego (przestawił go na tory potoczności).

MS: Jaki miał stosunek do poetów współczesnych? W *Tajnym dzienniku* czytamy: „Nudzi mnie poezja ostatecznie. Znoszę tylko swoje wiersze i cudze dawne”.

JB: Twierdził, że nie czyta w ogóle poezji współczesnej. Gdy go zapytałem o Symborską, udał zdziwienie, że nie zna. Słyszał nazwisko, ale nic więcej. Raz dostał ode mnie tomik *W błysku zapalki*.

MS: I co?

JB: Odesłał z korektą, czyli z jego nadpisami i skrótami niektórych moich wierszy. Powiedział, że tak robi z przyzwyczajenia, bo był kiedyś korektorem. Siedzi sobie w toalecie i skraca. Nie wszedłem z nim w dyskusję. Żeby Białoszewski skracał Barana (za ten tom dostałem nagrodę Kościelskich)! Niech skraca swoje, tym bardziej, że to już etap pisania przez niego wierszy podobnych do prozy i też bym znalazł trochę takich, które należałoby wyrzucić, bo sprawiają wrażenie brulionowych notatek – pomyślałem.

MS: Nie dałeś sobie nadmuchać w kaszę (trochę mnie rozbawiła i jego reakcja, i Twoja)! Jakie na Tobie robił wrażenie jako poeta?

JB: Nie był to mój poeta. Był poetą właściwie awangardowym, wręcz lingwistą kochającym odległe, błyskotliwe skojarzenia, zaskoki wyobraźni. Później wykorzystał swoją poetykę na użytek prozy i szerszej publiczności, jako autor „zanotów” i dzienników. Pewne jego książki zyskały dużą czytelność, np. *Pamiętnik z po-*

wstania warszawskiego czy Zawał. Dostawał – jak mi to powiedział – dość duże honoraria, z którymi nie wiedział, co począć. Nie był przyzwyczajony do pieniędzy, kiedyś w czasie wojny i okresie stalinowskim biedował, czy nawet głodował. Nie stronił od „proszków”, żeby nie nadużywać energii – dużo czasu spędzał wtedy w łóżku. Nigdy nie przykładł wagi do spraw materialnych. Np. lubił ubrania noszone po znajomych, dziś powiedzielibyśmy z second handu.

MS: Miał wielu znajomych dookoła siebie?

JB: Jak już był znany, otaczał go wianuszek pań profeserek z Iblu, które to i owo za niego załatwiały, pisały podania, bo był w tych sprawach nieporadny. Uczestniczyły co tydzień w spotkaniach z poetą w jego mieszkaniu, na których był raz nawet Sartre i Ginsberg. Zaprzyjaźniona z nim Jadwiga Stańczakowa, którą też poznałem, choć niewidoma, przepisywała mu brajem dzienniki. Miał dwu partnerów życiowych. Wspomina o nich często w swoich zanotach.

MS: Zajrzałam do *Tragarzy wyobraźni* i zauważyłam, że ten wiersz trochę różni się od wersji publikowanej w podręcznikach szkolnych. Nie było nic o wysuwającej się z kieszeni kartce.

JB: Tak, pierwsza wersja *Wywiadu* przysłana mi w liście różniła się nieco od późniejszej. Nie miała takiego zakończenia.

MS: Mnie jednak to zakończenie przekonuje. Poczucie, że chce się mieć święty spokój i nie spełniać już niczych oczekiwań (ani własnych ambicji). To dopowiedzenie zupełnie zmienia sens. On tu chyba jednak jest górą? Śmierć niby zwycięża, ale jednak nie może mieć satysfakcji, skoro Mistrz się nie wyrwa.

JB: Tematem jest czekanie na śmierć, a właściwie nie-czekanie, bo Pani Gość z wiersza sama się wprosiła do niego na któreś tam najwyższe piętro, gdzie też go odwiedziłem w tym wieżowcu i dostałem tom *Odczepić się*.

MS: Ale zdaje się, że on tylko udaje zaskoczonego. Ta kartka, która wypada mu „chyttrze” na koniec z kieszeni, świadczy o tym, że był jednak przygotowany. Do niego należał ostatni ruch. Chyba że inaczej to odbierasz?

JB: W jego traktowaniu śmierci i przemijania nie ma skargi czy żalu. Na podobnej zasadzie jest napisany *Wywód jestem'u* – w opozycji do średniowiecznej alegorii śmierci i romantycznej Wielkiej Improwizacji. Wiersz *Wywiad* jak w soczewce skupia cechy poetyki Białoszewskiego. Jest próbą odebrania śmierci jej ważności, grozy, powagi i tragizmu. Przejściem od tonacji *dance macabre* do kanкана z przytupem. Miron bardzo śmierć umniejsza, ucodziennia, bawi się z nią w zgadywanie, kim jest i traktuje ją z przymrużeniem oka. Robi sobie wręcz śmiche-chichy z tej przecież śmiertelnej tematyki, która pod jego piórem nabiera wagi lekko-piórkowej. Zostaje przełożona z języka religijnego na laicki.

MS: Czy Białoszewski był dla Ciebie ważnym punktem odniesienia? Reprezentowaliście zupełnie różne podejścia do pisania.

JB: Określiłbym jego styl jako esemesowy, na wskroś współczesny. Łapał chwilę na gorącym uczynku dziania się. Ja wyrastałem z zupełnie innych doświadczeń, mniej zależało mi na nowatorstwie formalnym, więcej na ekspresji prawdy wewnętrznej czy jak to napisał pewien krytyk: na docieraniu do serc ludzkich. On był poetą dla poetów. W pierwszych tomikach bliżej mi było do mitologizujących Arkadię dzieciństwa Nowaka, Kawalca, Redlińskiego, Myśliwskiego. Bliżej mi też do świata przyrody, natury, gdy Białoszewski prawdziwej wsi właściwie prawie nie znał albo znał z turystycznych wypraw w Bieszczady. Dodam, że kiedy kiedy w 1980 roku przybył do Polski Czesław Miłosz, to zażył sobie, by Ryszard Matuszewski zawiózł go do mieszkania Mirona, którego chciał osobiście poznać. I tak się stało, co świadczy jak go cenił, mimo że Białoszewski był diametralnie inny od klasycyzującego Miłosza.

MS: Ale jednak coś Was łączyło?

JB: Był to jakiś rodzaj plebejskości, swojskości i chyba autentyczności. Białoszewski był zawsze sobą, „prawdziwką” i w poezji, i w życiu, dlatego może w Macedonii dość szybko się zwłachał, a po 40 latach z jego dzienników dowiedziałem się, że mnie uważnie obserwował i zapisał niezbyt dla mnie przyjemne momenty, o których zapomniałem na amen. Bo Białoszewski nie hierarchizował wydarzeń z życia, zapisywał jak leciały i biegł piórem dalej. Jego bogiem była chwila.

MS: To ciekawe, co mówisz o jego rozumieniu chwili. Miron pisze o Tobie np. „mały czarny Józek Baran”. Nie będę zdradzać o czym były te fragmenty (łatwo je odnaleźć w dziennikach), ale był czasem bezlitosny. Myślę, że to jest w nim najciekawsze – brak cenzury, zaufanie zmysłom i chwili. Dziś już masz chyba do tego dystans?

JB: Miron w pisaniu nie stosował selekcji, że coś ważne albo nie. Najlepiej scharakteryzował się sam we wspomnianym już wierszu *Wywód jestem'u*. Właśnie ten utwór doradziłem mu przeczytać na Górze Tureckiej, o czym też wspomina w dziennikach. W mitingu poetyckim w Skopje czy w Strudze, nie pamiętam – wyskoczył z *Wywodem jestem'u* jak Filip z konopi, zatrajkotał i dostał... najwięcej oklasków od masowo zgromadzonej na wolnym powietrzu publiczności macedońskiej. Jego koncepcja bycia poetą i człowiekiem kontrastowała z romantycznym wizerunkiem narzuconym przez wieszczów. I ta inność spodobała się. Oto wiersz, o którym mówię:

jestem sobie
jestem głupi
co mam robić
a co mam robić
jak nie wiedzieć
a co ja wiem
co ja jestem
wiem że jestem
taki jak jestem
może niegłupi
ale to może tylko dlatego że wiem
że każdy jest dla siebie najważniejszy
bo jak się na siebie nie godzi
to i tak taki jest się jaki jest

MS: Filozoficzny, mógł zrobić wrażenie. Dobrze się czuliście poza Polską? To były w końcu czasy PRL-u.

JB: Obydwaj nie zaliczaliśmy się do „światowców”: dla niego to była chyba druga podróż zagraniczna, bo on się z Warszawy prawie nie ruszał. Dopiero Macedonia go na tyle ośmieliła, że zdecydował się w parę lat późniejszą podróż do Nowego Jorku po odbiór nagrody Jurzykowskich. Opisał ją – jak to on dowcipnie – w opowieści dziennikowej *Obmąpywanie Europy*. A wracając do Macedonii... Zarówno on, jak i ja nie należeliśmy do pisarzy lubiących reprezentować kogoś poza sobą. Co innego Wilhelm Szewczyk, Tadeusz Kijonka czy Ryszard Matuszewski (byli wtedy również na delegacji), którzy często wyjeżdżali i „bywali”. Ja zresztą w tym gronie byłem nowicjuszem, dużo młodszym od pozostałych. Ale Miron właściwie też nie należał do wycieruchów delegacyjnych. Swoją drogą, jak to dziś widzę, komичne było w Macedonii zestawienie mięsożernego pana Wilhelma Szewczyka (wielkiego erudyty i „instytucji kulturalnej” na Śląsku, gawędziarza i pisarza) z postnym Mironem, który jadł tylko warzywa i owoce. Kupował je na targu w Macedonii. Wiązało się to z faktem, że po przejściu zawału bardzo utył. Zrezygnował z obiadów, żył i pisał w nocy, a w dzień spał, co sprawiło pewien kłopot organizatorom. Ostatecznie udało się jednak znaleźć współlokatora, który za to w nocy biesiadował, a powracał z biby do pokoju o świcie. Zastawał Mirona siedzącego w toalecie i coś tam szurającego w kartkach papieru, tak że jakoś się godzili.

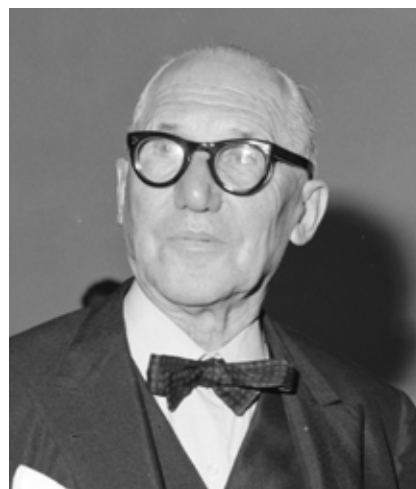
MS: Myślisz podobnie, że śmierć to kara za życie?

JB: „Nikt nic nie wie, czy tam coś dalej jest, czy nie ma; ani profesory, ani doktory, ani ksiendzowie” – mawiała moja 98-letnia mama przed śmiercią. Zdarza się, że dla ludzi schorowanych, starych – śmierć mogła być wybawieniem od cierpienia. Ale na ogół ludzie lubią żyć. Ja na razie też... Z tego, co mi Miron pisał, zrozumiałem, że on raczej nie chciał dalszego ciągu życia po życiu, to go wystarczająco zmęczyło.

MS: Dziękuję za rozmowę.

Duch Szwajcara nad Górnym Śląskiem. Le Corbusier

MICHAŁ SPURGIASZ



fol. Blisen, Joop van / Anefo

Europa końca XIX wieku i początków wieku XX była pełna skrajności. Obok miejskich pałaców nowej arystokracji – potentatów przemysłowych, rosły monumentalne, bogato zdobione budynki administracji państwowej. Bogaciła się mieszczańska klasa średnia – lekarze, adwokaci, specjaliści – zajmująca duże mieszkania w kamienicach o okazałych fasadach. Obok bogactwa i majestatu istniał jednak drugi, mniej przyciągający uwagę świat, w większości tworzony przez osoby, które pozwalały państwu i kapitalistom na bogacenie się. Był to świat robotników. Na niemalże każdą piękną kamienicę przypadała obskurna oficyna, a przepych kontrastował z rzeczywistością bocznych uliczek i pasm slumsów ulokowanych na obrzeżach europejskich miast. Małe, ciasne mieszkania kontrastowały z dużymi przestrzeniami dostępnymi dla osób zamożnych. Pomimo rozwoju technologii, powstania fabryk i produkcji masowej wciąż jedna gałąź aktywności ludzkiej zdawała się stosunkowo niezmienna i posługiwała się tradycyjnymi, często lokalnymi metodami – budownictwo.

Początki

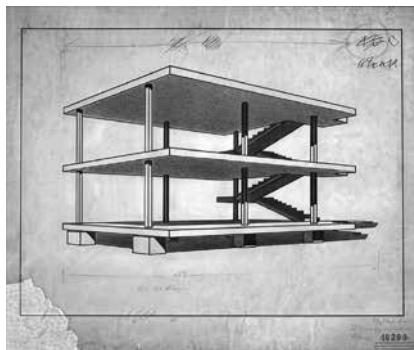
W takiej rzeczywistości w 1887 roku w szwajcarskim miasteczku La Chaux-de-Fonds przyszedł na świat Charles-Édouard Jeanneret-Gris, którego świat zapamiętał pod pseudonimem Le Corbusier. Miasteczko znane było z produkcji zegarków – precyzyjnie wykonanych maszyn odmierzających czas, a ojciec przyszłego architekta sam był zegarmistrzem. W wieku piętnastu lat Jeanneret-Gris wstąpił do szkoły artystycznej w La Chaux-de-Fonds, gdzie uczył się grawerowania i cyzelunku, czuł jednak zainteresowanie sztukami wizualnymi i architekturą. Amatorsko zgłębiał swoje pasje, korzystając ze szkolnych książek oraz pomocy nauczycieli, którzy dostrzegli w nim potencjał. Architektura zamiast cyzelunku okazała się jego powołaniem. Już w latach 1904–1905 (wraz z René Chapallazem) zaprojektował swój pierwszy budynek: trady-

cyjną willę szwajcarską dla grawera Louisa Falleta. W 1907 roku w poszukiwaniu wiedzy i inspiracji odbył podróż studyjną po Europie. W jej trakcie zainspirował się koncepcjami Adolfa Loosa, który postulował potrzebę oczyszczenia budynków z wszelkich dekoracji, odrzucenia zdobnictwa oraz projektowania budowli, kierując się przede wszystkim funkcją, jaką budynek ma spełniać. Od tego momentu Le Corbusier stał się zaciętym wrogiem sztuki dekoracyjnej. Na podstawie nabytych doświadczeń w 1912 – Le Corbusier otworzył pracownię architektoniczną w La Chaux-de-Fonds, jednak jego pierwszy biznes nie okazał się sukcesem finansowym. Z tego samego roku pochodzi jego pierwszy niezależny, wykonany dla rodziców projekt. Pomimo idei, które miały wpływ na młodego architekta, budynek był utrzymany w tradycyjnym, neoklasycystycznym stylu z dużą jadalnią. Dom okazał się zbyt duży i kosztowny w utrzymaniu, dlatego już w 1919 roku został sprzedany.

Narodziny Le Corbusiera

W latach 1914–1915 odkrył swoją wielką miłość, która nadała sens jego pracy jako architektowi, nowy materiał dla nowej ery maszyn – żelbet. O ile sam beton znany był od czasów rzymskich, to ze względu na swoje właściwości miał dość ograniczone zastosowanie. Często konieczne było stosowanie łuków. Użycie stalowego szkieletu pozbawiało beton jednej z jego największych wad – sprawiało, że stawał się elastyczny i umożliwiało uży-

cie go na nowe sposoby. W 1915 roku Le Corbusier zaprojektował Maison Dom-Ino (dom domino), czyli szkieletową powtarzalną konstrukcję, która w przyszłości miała stanowić podstawę dla wszystkich jego projektów. Projekt był elektryzujący i kompletnie przeciwstawił się tradycyjnemu spojrzeniu na architekturę, która zakładała układanie warstw cegieł i wznoszenie ścian tak, aby utrzymywały spójność strukturalną budynku. W tradycyjnym ujęciu każde piętro wymagało belek, które dźwigały ciężar budowli oraz ścian nośnych, ograniczało to możliwe funkcje pomieszczeń. Projekt Corbusiera był inny – prezentował jedynie klatkę schodową oraz podpory, które utrzymywały kolejne piętra budowli. Tak zaprojektowany szkielet budynku z jednej strony umożliwiał szybkie wzniesienie – każde kolejne piętro wydawało się kolejnym „klockiem domino” – jak i dawał daleko idącą dowolność przy projektowaniu wnętrza, doborze elewacji oraz wstawieniu ścian działowych. Czy zamysł domu domino sprawdził się we współczesności? Architekt Pier Vittorio Aureli orzekł: „Dom domino stał się wiecznie obecnym duchem we współczesnym mieście – zdaje się być wszędzie”. W 1917 roku Corbusier przeniósł się do Paryża i otworzył z kuzynem, Pierre Jeanneretem, pracownię. Architekt zaczął uczęszczać do miejsc spotkań paryskiej bohemy – kafeletów i kawiarni. Spotkał podobnego sobie mentalnie malarza kubistycznego Amédéea Ozenfanta. Mężczyźni szybko znaleźli wspólny język i stanowili dla siebie nawzajem inspirację intelektualną. Odrzucili kubizm, uznając, że uległ stopniowej degradacji i przemienił się w zniechęcającą formę sztuki dekoracyjnej. Wspólnie ogłosili manifest *Après le Cubisme* (Po kubizmie) i zapoczątkowali nowy kierunek w malarstwie – wzywający do surowej ascezy kształtu i barw puryzm, który ideowo miał odwoływać się do precyzji i surowości maszyny. Organem propagowania idei puryzmu stało się założone wspólnie przez Ozenfanta i Jeanneret-Grisa w 1920 roku



Maison Dom-Ino

pismo „Espirit Nouveau”. Jednak do najchętniej czytanych w nim tekstów należały nie rozprawy poświęcone teorii sztuki, a radykalne teksty poświęcone architekturze. Wzywały do odrzucenia tradycji, wyrzeczenia się sztuki dekoracyjnej, wznoszenia budowli pozbawionych burżuazyjnej fasady (która jedynie kryła burżuazyjne wnętrza) i nastawionych na funkcję ponad formą. Teksty pisał Jeanneret-Gris, ale podpisywał je pseudonimem, który stał się bardziej rozpoznawalny niż jego prawdziwe nazwisko – Le Corbusier. Początek XX wieku był dla niego epoką maszyn, a domy miały być przede wszystkim „maszynami do mieszkania” (terminem tym posłużył się w 1928 roku).

W 1927 roku Le Corbusier ogłosił pięć punktów nowoczesnej architektury: 1. zastosowanie pilotisów – żelbetowych słupów unoszących budynek ponad powierzchnię gruntu. Z jednej strony ma to nadawać surowej modernistycznej formie wrażenie lekkości, z drugiej pozostawić otwarty parter jako przestrzeń na roślinność; 2–3. wolny plan i wolna elewacja – swobodne kształtowanie wnętrza oraz elewacji (rozmieszczenie okien i drzwi) niezależnie od konstrukcji nośnej; 4. okna wstęgowe – długie horyzontalne okna idące przez całość fasady budynku, równomiernie oświetlające wnętrze oraz dające lepszy widok na okolicę; 5. ogród na dachu – płaski dach, który może spełniać funkcję ogrodu lub tarasu. Punkty wyrażały sobą ideę „słońce, przestrzeń zieleni”, która ostro kontrastowała z ciasnymi robotniczymi mieszkaniami i slumsami XIX wieku.

Le Corbusier był tym samym jednym z ojców ruchu, który postulował funkcję ponad wszelką formę, ruchu, który radykalnie zrywał z tradycją i przeszłością przy jednoczesnym pełnym otwarciu na nową technologię, ruchu który dążył do ujednolicenia i zatarcia przepaści społecznych – modernizmu.

Modernizm po śląsku

Postępowe idee Le Corbusiera znalazły podatny grunt na Górnym Śląsku. W okresie międzywojennym uniformizm ukazujący zrównanie się poziomu życia kapitalisty i robotnika oraz zastosowanie nowoczesnych rozwiązań budowlanych doskonale wpisywały się w polską linię ideową dotyczącą Górnego Śląska. Nowoczesne i ujednolicone wnętrza budynku mieszkalnego symbolizowały obiecywany przez polskie władze awans społeczny Górnoszlazaków. Natomiast użycie zaawansowanych narzędzi i pionierskich metod budowlanych z jednej strony wskazywało na dobre, ambitne administrowanie regionem, a z drugiej stanowiło sprzeciw wobec słów premiera Wielkiej Brytanii Davida Lloyd George’a z 1919 roku „oddać w ręce

Polaków przemysł Śląska, to jak wkładać w łapy małpy zegarek”. Bo oto „małpa” używała narzędzi bardziej zaawansowanych niż czcigodni zachowawczy anglosascy gentlemani. Ducha modernistycznych idei Le Corbusiera można dostrzec w Katowicach (nazywanych czasem polskim Chicago) w wielu miejscach. Wymienimy tu tylko: Dom Oświatowy, Gmach Urzędu Skarbowego przy ul. Żwirki i Wigury, Budynek Polskiego

Radia Katowice, Dom profesorów Śląskich Technicznych Zakładów Naukowych, Gmach Urzędów Niezespólnych, Dom Żytmirskiego, Dom Wędkowskich, Dom Felixów.

Jednak pełne przyjęcie też le Corbusiera przypadło dopiero na okres powojenny. Wtedy też jego idee na trwałe wpisały się w górnośląską rzeczywistość. Druga wojna światowa stanowiła niewypowiedzianą tragedię, a Europa w sporej części poniosła gigantyczne straty infrastrukturalne. Dla modernistów i osób nawiązujących swoją działalnością do idei modernistycznych była to jednakże szansa. Miasta musiały zostać szybko odbudowane, a gdy priorytetem były efektywność i szybkość, a nie walory zdobnicze, propozycja modernistów wydawała się nad wyraz atrakcyjna.

Górny Śląsk znacznie ucierpiał po przejściu Armii Czerwonej. Całe centra miast (np. Rybnik, Racibórz) zostały brutalnie zdewastowane, a Sowietzi siali zniszczenie. Po ich przejściu region potrzebował daleko posuniętej odbudowy. Na Górny Śląsk dotarły też masy ludności z Kresów, wyrwane ze swojego dotychczasowego życia w wyniku przymusowych przesiedleń. Potrzebne były mieszkania wznoszone przede wszystkim szybko, stosunkowo tanio i na masową skalę. Modernizm, czy jego socjalistyczna adaptacja, stanowił doskonałą odpowiedź na oba te problemy. W dodatku nurt ten idealnie wpisywał się w nową ideologię i spojrzenie na Śląsk – kuźni nowego typu człowieka: socjalistycznego robotnika. Jednolitość, równość, stosunkowy komfort oraz technokratyzacja życia. Dom człowieka socjalizmu nie był już siedzibą bogatego rodu, sym-



Dom profesorów Śląskich Technicznych Zakładów Naukowych

bolizującą jego wpływ i znaczenie ani ciasną kłitką zapewniającą minimum egzystencji robotnikowi traktowanemu niemalże niczym mówiące narzędzie. Był jedną z maszyn nadających rytm życiu ludzkiego – był maszyną do mieszkania.

W samych Katowicach można dostrzec szereg budynków inspirowanych ideami modernizmu – Separator, Superjednostka (biedniejszy kuzyn wzorowany na marsylijskim Unité d'habitation), Gwiazdy, Kukurydze, blok przy Alei Wojciecha Korfatego 57 czy każde górnośląskie osiedle z wielkiej płyty. Każda z tych budowli w swoim DNA zawiera ślad myśli i założeń Le Corbusiera.

Zastosowanie idei Le Corbusiera na ziemi śląskiej nie było jednak bezbłędne. Rzeczywistość powojenna oraz późniejsze przeciągłe problemy gospodarcze wymuszały ograniczanie ambitnych planów. Szybko powstające osiedla, interesujące monumentalne budowle modernistyczne wznoszono po kosztach i z ostatniej jakości materiałów, przez co nie starzeją się dziś najlepiej. Chcąc zaoszczędzić, w pierwszej kolejności rezygnowano z zieleni, która w ideach moderny była istotnym elementem każdej budowli, w szczególności lokowana na płaskich dachach.

Le Corbusier nigdy nie odwiedził Polski, mimo że chciał to zrobić dwukrotnie: w 1933 i 1948 roku. Nie zaprojektował też w Polsce żadnego budynku. Poruszając się na co dzień po górnośląskich powojennych osiedlach czy idąc szlakiem międzywojennej moderny, można jednak bez trudu dostrzec wpływ jego myśli – inspirującej kilka pokoleń architektów – na współczesną architekturę regionu.

Teatr muzyczny to nie moja bajka – stwierdził ze zdumiewającą szczerością Grzegorz Krawczyk, dyrektor Teatru Miejskiego w Gliwicach w opublikowanej na naszych łamach rozmowie z Krystianem Węgrzynkiem („Teatr jest odbiciem miasta”, „Śląsk” 2024 nr 6). Była Pani przez 15 lat solistką Gliwickiego Teatru Muzycznego. Proszę zatem równie szczerze odnieść się do przytoczonych słów.

Gliwicki teatr rzeczywiście przestał być sceną muzyczną za panowania dyr. Krawczyka. Ale wcześniej, gdy był on wicedyrektorem GTM u boku Pawła Gabary, to go nawet lubiliśmy. Zajmował się wtedy różnymi kwestiami technicznymi, np. remontem siedziby teatru. W tej roli był naprawdę troskliwy i gospodarny. Gdy na chwilę został dyrektorem Teatru Dramatycznego w Warszawie, to wszyscy mu z serca kibicowaliśmy. Potem sytuacja uległa radykalnej zmianie. Grzegorz Krawczyk został nagle zupełnie kimś innym – likwidatorem GTM. A scena muzyczna istniała w Gliwicach przez 64 lata (1952–2016).

Jak z 8-letniego dystansu czasowego ocenia Pani decyzję o unicestwieniu sceny muzycznej i zastąpieniu jej stereotypowym teatrykiem dramatycznym?

Zaprzepaszczone długoletnie tradycje Operetki Śląskiej, której kontynuatorem był przecież Gliwicki Teatr Muzyczny. Wraz z kolegami – śpiewakami, muzykami, chórzystami i tancerzami – współtworzyłam w latach 2001–2016 ambitny teatr o profilu muzycznym. Z dnia na dzień przestał on istnieć. To tak, jakby artyści zabić kogoś bardzo bliskiego. GTM był dla nas prawdziwym domem, w którym spędzaliśmy większość swojego czasu (przygotowania, rozmaite zajęcia artystyczne, próby sceniczne, spektakle). Kochaliśmy po prostu ten dom. Przed 8 laty poczułam ogromny smutek, gdy władze miejskie Gliwic zlikwidowały scenę. Od tamtego czasu nie byłam na żadnym przedstawieniu w obecnym Teatrze Miejskim.

Można zasadnie oceniać, że w 2016 roku zrobiono krzywdę wielu artystom. Niektórzy z nich występowali jeszcze na deskach Operetki Śląskiej, która przez długi czas była muzycznym symbolem wizerunkowym Gliwic...

Muszę szczerze wyznać, że wtedy myślałam, iż ja się po prostu nie nadaję do pracy w teatrze, skoro mnie stamtąd wyrzucano. Podobnie postąpiono wobec wielu innych śpiewaków i muzyków. Liczne rodziny (mąż i żona) utraciły pracę i źródło utrzymania. Było to bolesne, tym bardziej, że w pewnym wieku naprawdę nie jest łatwo znaleźć nową pracę w branży artystycznej. Niektórym złamano życie. Skrzywdzono także publiczność, która przyjeżdżała na widowiskowe przedstawienia muzyczne do Gliwic (popularne operetki, musicale) z odległych niekiedy miejscowości w kraju. Wszystko to nagle zniknęło. Wielka szkoda.



Muzyka jest sensem mojego życia

Z ANITĄ MASZCZYK, sopranistką
rozmawia ZBIGNIEW LUBOWSKI

Czy artyści z GTM wiedzieli, dlaczego unicestwiono scenę muzyczną?

Szeptano wtedy w kulisach, że powodem decyzji była polityka. Władze Gliwic potrzebowały ponoć gwałtownie pieniędzy na budowę gigantycznej hali widowiskowo-sportowej. Trzeba było więc zaoszczędzić na teatrze. Docierały do mnie opinie, że decydenci uznali spektakle operetkowe za przestarzałą ramotę, która nie pasuje do wizerunku nowoczesnego miasta.

Wieść niesie, że obecny dyrektor teatru polecił ostatnio zamurować wejście do orkiestronu pod sceną, by raz na zawsze uniemożliwić prezentację widowisk muzycznych z udziałem żywej orkiestry.

To typowe działanie małostkowe. Uważam to za duży błąd. Dyrektorzy teatrów zmieniają się przecież, jak pokazuje życie. Jest dla mnie zaskakujące, że jeden dyrektor złośliwie utrudnia pracę drugiemu dyrektorowi, który może mieć przecież ochotę wystawienia spektaklu muzycznego. Zamurowywanie orkiestronów to nic innego, jak próba niepokojącego tworzenia faktów dokonanych.

Jak potoczyły się Pani losy artystyczne po zamknięciu GTM?

Nie załamalam rąk. Znalazłam dla siebie nowe miejsce życiowej aktywności. Jestem – jak do tej pory – śpiewaczką o dość nieoczywistych zainteresowaniach wokalnych. Prezentuję mnóstwo rzadko wykony-

wanych utworów. Ponadto jestem prężną – jak twierdzą niektórzy – organizatorką życia kulturalnego w swoim rodzinnym Zawierciu. W jakimś sensie okazało się to dla mnie korzystne, bo przestałam wreszcie pokonywać nieustannie 80-kilometrową trasę Zawiercie–Gliwice. W przeszłości musiałam to robić codziennie, a zdarzało się nawet, że i dwa razy w ciągu jednego dnia z powodów macierzyńskich (opieka nad bardzo małymi dziećmi). Bez prywatnego samochodu, swego czasu marki Daewoo Tico, nie dałabym rady uporać się z tym problemem. Takie małe autko było kiedyś krzykiem techniki motoryzacyjnej w naszym kraju.

W jaki sposób godziła Pani ze sobą czasochłonne obowiązki życiowe?

Dla młodej i ambitnej matki nie było rzeczy niewykonalnych. Pamiętam próby wznowienia *Cyrulika sewilskiego* – opery buffo Rossiniego. Rano zawoziłam synka do swojej mamy w Dąbrowie Górniczej, a potem dopiero jechałam do Gliwic na próbę spektaklu. W godzinach wieczornych odbierałam dziecko z Dąbrowy i wracałam z nim do Zawiercia. Nie było to łatwe, bo w tym okresie nie istniała jeszcze autostrada A1. Bardzo wydłużało to czas drogowej podróży z Górnego Śląska do serca Jury Krakowsko-Częstochowskiej.

Czy takie szaleńcze i kosztowne – jakkolwiek by na to patrzeć – eskapady były w ogóle opłacalne? Skórka była warta wyprawki?

Nie. Prawdziwa sztuka wymagała jednak poświęceń z mojej strony. Proszę sobie wyobrazić, że mój pierwszy etatowy kontrakt zawodowy w GTM opiewał na astronomiczną zupełnie kwotę 600 zł miesięcznie. Wraz ze scenicznymi stawkami za poszczególne spektakle otrzymywałam w sumie czasami aż ok. 2 tys. zł miesięcznie. Gdyby nie zarobki mojego męża (również artysty z branży muzycznej), to sytuacja finansowa naszej rodziny byłaby paskudna.

Ale na szczęście troskliwy duch angielskiej arystokratki – księżnej Daisy z pruskiego rodu Hochbergów – zaopiekował się Panią życzliwie na pewnym etapie życia borykającej się z kłopotami artystki...

Widzę, że mam do czynienia z dziennikarzem, który wie sporo o mojej dotychczasowej karierze. Rzeczywiście koncertowałam niegdyś na zamku Książ w Wałbrzychu, który na początku XX wieku był we władaniu księżnej Daisy. Dolnośląski etap mojej aktywności artystycznej w roli śpiewaczki okazał się niezwykle owocny w późniejszej działalności. Jeszcze jako studentka Akademii Muzycznej w Katowicach śpiewałam często na koncertach w Wałbrzychu i w pobliskich uzdrowiskach Jedlina-Zdrój i Szczawno-Zdrój.

Czy jeździła Pani tam sama?

Nie. Towarzyszył mi kolega ze studiów – Leopold Stawarz, mój obecny mąż (śpiewak, muzyk, dyrygent). Mieliśmy bliskie kontakty artystyczne z Józefem Wiłkomirskim, ówczesnym dyrektorem Filharmonii Sudeckiej. Zdobyte tam doświadczenia zawodowe bardzo mi się przydały w tworzeniu Filharmonii Jurajskiej – stowarzyszenia, w którym pełnię funkcję prezesa, a może prezeski, bo sama nie wiem, jak to się teraz właściwie określa. Jej nieodłączną częścią jest Jurajska Orkiestra Kameralna, istniejąca od listopada 2016 roku.

Skąd pochodzą muzycy wchodzący w skład orkiestry?

Podstawowy skład zespołu liczy 24 osoby. Są to muzycy z Gliwic, Katowic, Zabrze i Zawiercia. W razie potrzeby poszerzamy orkiestrę nawet do 40 osób. Akompaniuje ona śpiewakom, prezentującym znane arie operetkowe i operowe, sławne utwory musicalowe i inne atrakcyjne kompozycje o niewątpliwie wartości artystycznej. Imprezy z ich udziałem są organizowane m.in. w sali widowiskowej Miejskiego Ośrodka Kultury w Zawierciu, a także w sali kameralnej Spółdzielni Mieszkaniowej „Hutnik”, dobrego ducha naszego stowarzyszenia. Występy odbywają się także w innych miejscach.

Z czego żyje na co dzień zawierciańska śpiewaczka, która nie jest przecież zatrudniona w żadnym teatrze? Proszę o szczerłość...

Z zarobkowego śpiewania na rozmaitych koncertach, z muzycznych zajęć edukacyjnych dla młodego narybku wokalnego, a także z działalności konferansjerskiej podczas imprez muzycznych. Jako stowarzyszenie, całkiem niezarobkowo, korzystamy od czasu do czasu z cennych zastrzyków finansowych (grantów), otrzymywanych m.in. ze Starostwa Powiatowego w Zawierciu oraz Urzędu Marszałkowskiego Województwa Śląskiego w Katowicach. Jestem – jak sądzę – rozpoznawalna za sprawą wybitnego dyrygenta Macieja Niesiołowskiego, który często uczestniczy w naszych koncertach jurajskich. W swoim czasie zasłynął on z pamiętnych programów telewizyjnych *Z batutą i humorem*, a ja się na nich wychowałam.

Jest Pani nietuzinkową sopranistką. Czy rola bizneswoman w branży artystycznej jest wymarzoną rolą życiową?

Przed wszystkim kocham śpiew. I zasadniczo zawsze chciałam umierać na scenie... choć chyba lepiej rozśmieszać ludzi. To jest dla mnie główne powołanie życiowe. Pozostałe moje zajęcia stanowią naturalną konsekwencję smutnych wydarzeń sprzed 8 lat.

W prywatnym ogrodzie przydomowym w zawierciańskiej dzielnicy Kosowska Niwa organizuje Pani od kilku lat niezwykle koncerty pod hasłem *Muzyka po sąsiedzku*. Wśród kwiatów i zieleni rozbrzmiewają tam co roku w porze letniej piękne arie operetkowe i popularne szlagiery musicalowe w wykonaniu Pani i innych artystów. Na trawie gromadzi się orkiestra akompaniująca śpiewakom. Z roku na rok wzbudza to rosnące zainteresowanie zawiercian i osób przyjezdnych, które przysłuchują się pięknej muzyce. Skąd się wziął taki pomysł?

To wspólna inicjatywa moja i męża. Wpadliśmy na to w okresie pandemii, gdy nie wolno było organizować imprez muzycznych w obiektach użyteczności publicznej. To był chyba tzw. strzał w dziesiątkę, bo okazało się, że świetnym miejscem prezentacji słynnych arii operetkowych może być nie sala teatralna, lecz prywatny ogród z widzami zasiadającymi na ławkach udostępnionych przez zaprzyjaźnioną remizę strażacką. Dźwięki legendarnych utworów Kalmana i Lehara zyskują nawet dodatkowy urok pośród ogrodowej roślinności.

Jedną z uczestniczek muzycznych spotkań ze sławnymi ariami jest m.in. Natalia Mańka, młoda dziewczyna o wyraźnych predyspozycjach wokalnych. Jej udział w plenerowych koncertach zawierciańskich wydaje się godny uwagi. To studentka psychologii, obdarzona uzdolnieniami wokalnymi. Bierze udział w prowadzonych przeze mnie zajęciach edukacyjnych ze śpiewu. Jest mega pracowita i wyróżnia się naturalnymi warunkami w tym względzie. Myślę, że może w przyszłości odegrać znaczącą rolę w branży artystycznej, jeśli tylko będzie intensywnie pracować nad swoim dalszym rozwojem.

Na koniec muszę koniecznie zapytać: czym jest dla Pani muzyka?

Jeszcze żaden dziennikarz nie postawił mi takiego pytania. Nie mam jednak najmniejszych wątpliwości – muzyka jest dla mnie sensem życia. Nie potrafię sobie w ogóle wyobrazić swojej egzystencji bez muzyki. Jestem bezgranicznie zakochana w muzyce klasycznej. Uwielbiam dzieła Beethovena, Mendelssohna, Mozarta. Najgenialniejszym utworem jest dla mnie *Intermezzo sinfonico* z opery *Cavalleria Rusticana*, której twórcą był Pietro Mascagni. Taki właśnie tytuł nosi zresztą płyta nagrana przeze mnie wraz z Maciejem Niesiołowskim i orkiestrą Sinfonietta Bydgoska.



4. Festiwal Przestrzeń Słowa

W dniach 12–27 października 2024 r. w Zagłębiowskiej Mediatece w Sosnowcu oraz w Bibliotece Śląskiej w Katowicach odbędzie się 4 edycja interdyscyplinarnego Festiwalu Przestrzeń Słowa.

Przestrzeń Słowa jest międzynarodowym festiwalem literacko-muzycznym, podczas którego występują czołowi zagraniczni i polscy artyści. Zgodnie z wymogami XXI wieku festiwalowe wydarzenia posiadają spektakularny i dynamiczny charakter, przypominając multimedialne spektakle, w których słowu towarzyszy muzyka oraz bogactwo wizualizacji. Innowacyjność i nowatorstwo Przestrzeni Słowa polega także na wyjątkowym podejściu do komunikacji z odbiorcami, tworzeniu bliskich relacji, kreowaniu kameralnej i przyjaznej atmosfery pomiędzy publicznością, artystami i organizatorami. Zamierzeniem organizatorów jest tworzenie spójnej opowieści o współczesnym świecie. Łączenie elementów literatury, muzyki, happeningu, sztuk wizualnych i filmu, a także znakomicie goście sprawiają, iż poszczególne imprezy odznaczają się atrakcyjnością oraz dramaturgią, co spotyka się z entuzjastycznym przyjęciem. Dotychczasowe wydarzenia Przestrzeni Słowa cieszyły się wielkim zainteresowaniem publiczności przybywającej nie tylko z Sosnowca, Katowic i okolicznych miast regionu, ale także z Gdańska, Warszawy, Krakowa czy Rzeszowa.

Idea Festiwalu adresowanego do wszystkich grup wiekowych, wychodzi naprzeciw wizji otwartej biblioteki aspirującej do roli kulturotwórczej instytucji, w której toczą się, odzwierciedlone w kulturze, istotne narracje dotyczące bogactwa współczesności oraz tradycji, z którą organizatorzy pragną wchodzić w nieustanny dialog.



Spięty

Dzikość

BARTŁOMIEJ MAJZEL

Tegoroczna odsłona Festiwalu, przebiegająca pod hasłem *Dzikość*, odbędzie się w Zagłębiowskiej Mediatece w Sosnowcu oraz – po raz pierwszy – w Bibliotece Śląskiej w Katowicach. Włączenie się Biblioteki Śląskiej we współorganizację Festiwalu stanowi kolejny, ważny krok w rozwoju wydarzenia, wytyczając nowe perspektywy, zwiększając promocyjną siłę Festiwalu, przyczyniając się jednocześnie do zwiększenia jego zasięgu i rangi.

Tytułowa *Dzikość* interpretowana jest przez organizatorów wielowątkowo, uwzględniając rozmaite jej znaczenia z różnych perspektyw oraz poziomów artystycznej opowieści. Kulturowy kontekst dzikości staje odczytany w festiwalowym programie jako forma niezgody na zastaną rzeczywistość, wyraz wierności sobie, konsekwencji, buntu oraz odwagi pójścia pod prąd współczesnemu światu.

Odwołuje się ponadto do natury, przyrody, pierwotnych wzruszeń i emocji. „*Dzikość*” wiąże się także z naturą, przyrodą, tęsknotą za utraconą krainą, zaznaczającą swą obecność nie tylko w ludzkiej psychice, ale także w przestrzeni kultury i sztuki.

Podczas 4. Festiwalu Przestrzeń Słowa planowane są m.in. koncerty ex-lidera grupy Lao Che – Spiętego, ukraińskiego songwritera Postmana, legendarnej grupy 1984 (ostatni koncert w historii zespołu!) oraz ekscentrycznej The Pau. Ekscytująco zapowiada się wydarzenie z udziałem jednej z najwybitniejszych współczesnych poetek świata Coral Bracho (Meksyk) oraz występ Michaela Krugera (Niemcy), doskonałego niemieckiego pisarza, a w przeszłości wydawcy, na niemieckim rynku, Zbigniewa Herberta, Tadeusza Różewicza i Czesława Miłosza. Kruger spotka na scenie Ryszarda Krynickiego, występującego z muzyczną grupą Rdzeń. Odbędzie się też wernisaż unikatowej wystawy poświęconej Markowi Hłasce, stworzonej z – dotąd nieprezentowanych – pamiętek po legendarnym pisarzu, pochodzących z prywatnych zbiorów Agnieszki Czyżewskiej (córką kuzyna Marka Hłaski, Krzysztofa Czyżewskiego). Podczas pozostałych interdyscyplinarnych, wielowątkowych wydarzeń pojawią się ponadto pisarki i pisarze m.in. Eiríkur Órn Nordhal (Islandia), Jurij Zawadski (Ukraina), Natalia Belczenko (Ukraina), Mariusz Grzebalski, Jacek Podsiadło, Marta Podgórnika, Małgorzata Lebeda i inni.



The Pau



Spięty



Coral Bracho



Zachowane i odrestaurowane wagony wąskotorowej kolejki „Balkan-Ekspress”, którą aż do lat 70. dojeżdżali do pracy górnicy z katowickich dzielnic Nikiszowiec, Giszowiec, Szopienice, Janów i Burowiec



Zabytkowy Szyb Pułaski należący do kopalni Wieczorek

Pieśni górnicze w strefie niepamięci

MARIAN GRZEGORZ GERLICH

Kiedy nastąpił proces restrukturyzacji górnictwa – powszechnie kojarzony w naszym regionie z likwidacją kopalń i zwolnieniami – dla badaczy było to szczególne wyzwanie empiryczne. Po kilku latach także podjąłem badania na temat owego zjawiska: ekonomicznego, społecznego, ale też kulturowego. Wtedy to spotykałem wielu ludzi, którym ta decyzja – jak mówili – „zniszczyła życie”. I tu mam skojarzenie ze świetnym filmem *Benek*. Jego bohater, Benek Tacik, młody górnik, po zakończeniu pracy dostał odprawę pieniężną i podjął szansę życia w innym, to jest pozagórnim świecie. Świetnie tę postać ukazał aktor Marcin Tyrol. A górnicy wówczas mówili do mnie: „Zawarli kopalnie i umarło wszystko, co było richtig nasze”.

Powoli, a potem coraz gwałtowniej odchodziła dawna kultura górnicza, czyli pewna wizja świata i człowieka, ale też obrzędy, zwyczaje, usankcjonowane tradycją zachowania kulturowe obecne w życiu zawodowym, codziennym i świątecznym. Umierał też bogaty folklor, opowieści ludowe i pieśni górnicze. A w tym zakresie dorobek naszego regionu jest bogaty i piękny. Zauważył to znakomity socjolog i etnograf Jan Stanisław Bystron w swej pracy *Pieśni ludu polskiego*, wydanej w Krakowie w 1924 roku. Zwrócił uwagę właśnie na pieśni górnicze. Umieścił je w dziale *Pieśni związane z zawodem* obok pieśni pasterskich, myśliwskich, rzemieślniczych, ale też środowisk złodziejskich, więziennych, wreszcie żołnierskich. Do szerszego zainteresowania środowisk naukowych tym rodzajem aktywności twórczej trzeba było jednak wiele lat czekać. Trzeba zwrócić uwagę na dorobek Józefa Ligęzy, a zwłaszcza Adolfa Dygacza. Na uwagę zasługują zwłaszcza takie prace, jak: *Pieśni górnicze. Studium i materiały* z 1960 roku, *Polska pieśń górniczo-hutnicza* wydana cztery lata później. Ogłosił też w 1975 roku pracę o pobliskim Zagłębiu Dąbrowskim.

Zwłaszcza jednak w naszym regionie pieśni górników stanowiły istotny element ich kultury. Są one opisem pracy, jej warunków, zagrożeń, ale też

życia codziennego i odświętnego. Także religijnej tradycji zawodowej, dotyczącej głównie św. Barbary, a wreszcie odniesień uniwersalnych. Owe pieśni prezentują obowiązujące wartości, pożądany ład społeczny. Wskazują też na przywiązanie do wykonywanego zawodu, na dumę z wykonywanej „roboty na grubie”, wreszcie na otaczające górników poważanie społeczne. Jakże znamienity jest początek pieśni zapożyczony zza Brynicy: „Górnicy ci ja górnicy, połowa szlachcica, / nie chodzę po ziemi, ino po tarcicach”. Górnik ogłasza, że nie chodzi w domu po klepisku, ale po deskach. Porównuje się do szlachcica. I tu istotne wyjaśnienie. Oto w okresie feudalnym górnicy kruszcowi uzyskali wolność osobistą, co ich jednoznacznie wyróżniało w ówczesnej strukturze społecznej. A historyk i archiwista Jan Pazdur wyjaśniał, że „wolność osobista uszlachetniała zawód górniczy”, podnosiła jego rangę.

To swoiste poczucie dumy było treścią wielu tekstów, śpiewano więc w pieśniach, że „górnicy cieszą się tym, że jest czełkiem pożytecznym”, i śpiewano też: „Jestem sobie górnik z górnośląskich szacht, / wszyscy mnie Kochają i z wioski, i z miast”. Wszystko to sprawiało, że górnicy byli atrakcyjni społecznie: „dziołchy zawsze piyknie nom pszoły, i dzieci nom dowala”. Ponadto owe dawne teksty zawsze opisywały scenariusz życia codziennego górnika, a także jego rodziny. Opisywały dzień powszedni, począwszy od poranka. Od momentu, kiedy żona budziła męża górnika: „Chopecu złoty / wstój do roboty”, i zawsze rychtowały go do „roboty na grubie”. A po pobudce następował zwykły, banalny dzień, zawsze jednak przebiegający wedle tego samego scenariusza. Zwykły, ale zawsze uroczysty; uroczysty był bowiem już w momencie pożegnania górnika. Wiemy, że wówczas małżonka „mile wychodzącego łobłapiała” i zarazem mówiła: „A niech cie tam Pon Bocek na gruba wiedzie, i tam cie mo w opiece, i zdrowo do dom nazod przywiedzie”. Górnik wychodził „na gruba”.

To było jego miejsce pracy, ale zarazem mówiono: „gruba to była nasza prawdziwa mamulka”. Dlaczego? „Bo gruba dowala robota, a cały familij gelta, a bez to wszyscy mogli żyć”.

W mowie codziennej, ale i w licznych opowieściach folklorystycznych, kopalnia była swoiście sakralizowana. W czasie pracy obowiązywały konkretne zachowania motywowane panującym systemem wartości. Gdy górnik żegnał żonę, to zarazem domostwo żegnał znakiem krzyża. A po wyjściu spotykał „kamratów” i siedł z nimi do kopalni. Po przekroczeniu jej bramy, wszyscy udawali się do cechowni, gdzie odbywały się modlitwy, szczególnie uroczystości religijne, a potem następował podział zadań „dowalnych na szychta”. O tym też śpiewano w pieśniach, także o zjeździe windą na „gruba”. Tu zaznaczmy, że Łukasz Wallis już w 1891 roku zaprezentował pieśni ilustrujące zachowanie górnika po zjeździe do podziemi i rozpoczęcie roboty „na przodku”. Pieśni ukazują również strukturę zawodu górniczego, na przykład odmienną pracę „bergmóna” i „ślepra”. Ale wszystkich łączyło to, że uczestniczyli w procesie wydobywania węgla. Świat na powierzchni był piękny, ale pieśń też śpiewała: „u nas w kopalni pot się cięgiem leje”.

Praca była ciężka i niebezpieczna, pełna zagrożeń – tąpnięć i pożarów – nawet demonicznej działalności Skarbnika. I dalej w pieśniach śpiewano o zakończeniu szychty, o wyjeździe na powierzchnię, powtórnym pobycie w cechowni, o powrocie do domu i wychodzeniu po górników ich dzieci. No i wreszcie był rodzinny obiad. Skromny i uroczysty. Zawsze ze znaczącą rolą stołu jako symbolu wspólnoty rodzinnej.

A dziś? Niestety, to czas, kiedy owe tradycyjne i piękne pieśni odchodzą w niepamięć. Szkoda, wielka szkoda. Zanika słowo i piękna ich muzyka. Niedawno mój znajomy powiedział do mnie: „Widzisz, łoni zawarli kopalnie; łoni. A jużaś my ło tyj naszej ślonskiej kulturze zapominomy (...). Taki los sie sami rychtujemy”.



JAN MIODEK

Karol Daniel Kadłubiec – niestrudzony badacz i piewca Śląska

Do najmilszych wspomnień swego życia, bardzo głęboko przechowywanych w sercu i w pamięci, stale zaliczam pierwsze spotkanie z prof. Karolem Danielem Kadłubcem w końcu kwietnia roku 1989 na – jeszcze wtedy granicznym – moście na Olzie w Cieszynie. Tam się narodziła nasza przyjaźń, tam się ugruntowało moje zauroczenie Śląskiem Cieszyńskim, a zwłaszcza jego mową.

Wysłuchiwaliśmy się w nią razem z Danielem w różnych miejscach tego pięknego regionu po obu stronach rzeki i w czasie konkursów gwarowych Marii Pańczyk, bo Profesor wiele razy zasiadał w jury. W jeden z listopadowych wieczorów – podczas finałowych zmagani tegoż konkursu w Domu Muzyki i Tańca w Zabrze – ogłoszono, że został Honorowym Ślązakiem Roku 2013, w październiku roku 2015 natomiast – podczas uroczystej gali w Katowicach – otrzymał zaszczytny tytuł Ambasadora Polszczyzny poza Granicami Kraju za upowszechnianie i kultywowanie języka polskiego w środowisku Polaków na Zaolziu.

Urodzony w roku 1937 w Karpętnej (dziś dzielnicy Trzyna), rodzinnej miejscowości także Stanisława Hadyny, wie prof. Kadłubiec o historii, folklorze i gwarach tej ziemi wszystko, czego potwierdzeniem jest każda kolejna publikacja w jego przebogatym dorobku naukowym i popularnonaukowym.

Wzbogacił go ostatnio dwiema książkami. Pierwsza z nich to wybór najciekawszych i najbardziej typowych opowiadań ludowych Śląska Cieszyńskiego zatytułowany „Tak się u nas opowiada” (Bystrice 2022), druga to dwujęzyczny – polski i czeski – „Mały leksykon kultury ludowej Śląska Cieszyńskiego. Kultura duchowa” – „Mały lexikon lidove kultury Tesinskeho Slezska. Duchovni kultura” (Bystrice 2023).

W pierwszej z nich – po przeczytaniu erudycyjnego autorskiego wprowadzeniu w języku polskim i czeskim, poświęconego gatunkom i podgatunkom opowiadań – z bajkowo-magicznego świata zawartych w tomie tekstów wyławiam słowa charakterystyczne dla południowośląskiej ziemi. Są wśród nich *babuć* „prosić”, *bachórz* „brzuch” – wariant staropolskiego *bachora* („Rzepą napchany bachor” – pisał w XVII wieku Wacław Potocki), od którego tworzą też przymiotnik *bachurowaty* o znaczeniu „pękaty, brzuchaty”, *bażina* „bagnó”, *chromy* „kulawy”, *cielińciok* „futurał”, *czibul* „żrebię”, *čmunka* „ciemność”, *dziublok* „cierni”, *hajduk* „dozorca”, *kosok* „sierp”, *łobleczyni* „ubranie”, *mysłonek* „myśl”, *namowacz* „swat”, *niewiasta* „synowa” (bo się o niej nic nie wie, kiedy wchodzi do rodziny!), *paniczka* „żona”, *pasionelek* „pastwisko”, *pętlina* „pętla”, „przedgórzi miejsce przed strychem”, *pultaczka* „błoto, maras”, *pytel* „worek”, *strybniok* „srebrnik” czy *żyglawa* „pokrzywa” (ten sam rdzeń co w żagwi!).

Na specjalną uwagę zasługują *szwiec* „szewc” i *wiesieli* „wesele”. Oba te rzeczowniki zachowały tu swe staropolskie, pierwotne brzmienie.

Ponieważ pierwszy z nich w przypadkach zależnych przybierał formy *szewca*, *szewcowi*, *szewcem*, o *szewcu*, ich temat fleksyjny *szewc* – przeszedł do mianownika i wyparł pierwotne brzmienie *szwiec* (Mikołaj Rej pisał w XVI w.: „Szwiec, kiedy się na skóry zadłuży”, a i w jednej z XVII-wiecznych fraszek mieszczańskich czytamy jeszcze: „Nuż szwiec za buty taler, a za safian trzy”).

Z kolei w drugim z przywołanych rzeczowników archaiczna, prymarna jest miękkość obu spółgłosek – taka jak w wielu tekstach staropolskich: „Napełnisz mię wiesiela” (Psałterz floriański z XIV/XV w.), „Uczynisz wielkie wiesiele” (Biblia królowej Zofii z r. 1455), „Rzadko albo nigdy w wiesielu” (Listy miłosne z poł. XV w.), „Obrócisz mój płacz w wiesiele” (Rozmyślenia przemyskie o żywocie Pana Jezusa z XV w.). Pod wpływem języka czeskiego w języku ogólnym obie spółgłoski stwardniały i mamy dziś *wesele*. Paradoksalnie nie doszło do tego procesu w polszczyźnie cieszyńskiej – jakże bliskiej przecież czeskiemu obszarowi językowemu.

Tę bliskość potwierdzają liczne słowa obecne w zbiorze prof. Kadłubca: *chle-dać* „szukać” (cz. *hledat*), *chrom* „piorun,

grom” (cz. *hrom*), *chudobny* „ubogi” (cz. *chudobny*), *diedzina* „wieś” (cz. *dedina*), *frajerka* „dziewczyna” (cz. *frajerka*), *galaty* „spodnie” (cz. *kalhoty*), *hóšliczki* „skrzypeczki” (cz. *housliczky*), *tróhla* (tróglą) „skrzynia, trumna” (cz. *truhla*).

Kolejną charakterystyczną grupę leksykalną tworzą czasowniki: *cudać się* „dziwić się”, *fulać* „pleść głupstwa”, *kopyrtnyć się* „przewrócić się” – od *kopyrdelec* „koziółek” (por. w polszczyźnie potocznej *wykopyrtnąć się*), *nadrzić się* „upić się”, *nakidać* „zbrudzić”, *piznyć (się)* „uderzyć (się)” – wariant śląskiego *piznać (się)*, *po-czuwać* „posłuchać”, *zabyć* „zapomnieć”.

Na szczególną uwagę zasługuje czasownik *wyzwolić* „wybrać”, wywołujący natychmiastowe skojarzenie ze znanym fragmentem „Bogurodzicy”: „U Twego Syna, Gospodzina, Matko zwolena, Maryja! Zyszczy nam, spuści nam” – *Matko zwolena*, czyli „Matko wybrana”.

Zatrzymałem się dłużej i przy takich formach, jak *dawać godki* „dawać zagadki”, *drzjij łody mnie* „odejdź ode mnie, idź precz”, *na łubocz* „na bok”, *po kryjónczku* „po kryjomu”.

Druga zaś z przywołanych dzisiaj książek prof. Kadłubca – „Mały leksykon kultury ludowej Śląska Cieszyńskiego. Kultura duchowa” – to niezwykle umiejętnie i przystępnie opracowane kompendium wiedzy o Śląsku Cieszyńskim: o jego historii, językach, folklorze – pieśniach ludowych, prozie ludowej, o folklorze słownym, o folklorze dziecięcym i o festiwalach folklorystycznych, o tradycjach obrzędowo-zwyczajowych wpisanych w cieszyński rok, o strojach ludowych, tańcach i kapełach ludowych. Gdy się w nie zaczytywałem, przypominały mi się lata 60. ubiegłego wieku, kiedy to do popularnego w tamtych czasach telewizyjnego turnieju miast wybrano właśnie Cieszyn i moje rodzinne Tarnowskie Góry, widząc w tych dwóch grodach szczególne wartości kulturowe – godne pokazania całej Polsce.

Trudno też nie zwięńczyć dzisiejszego odcinka „Śląskiej ojczyzny polszczyzny” mottem książki profesora Kadłubca – słowami Gustawa Morcinka: „Ziemia Cieszyńska. Gdy Bóg postanowił ją stworzyć, nie rzekł ani słówka i tylko się uśmiechnął. I z tego Boskiego uśmiechu powstała” – pięknie też brzmiącymi po czesku: „Teszinska zeme. Když se Bóh rozhodl ji stvorzit, nerzekl ani slovko, a jen se pousmal. A z tohoto božského usmevu vznikla”.

Łabędzi śpiew Łodzian

PIOTR GRELLA-MOŻEJKO

Paweł Klecki (1900–1973), postać ciekawa, trochę (a może prawie zupełnie) zapomniana, trochę kontrowersyjna; postać, której znaczenie – jak każdej dyrygentki, każdego dyrygenta, z każdym rokiem maleje (oczywiście z przyczyn czysto historycznych poza Hansem von Bülowem). Można się do upadłego podniecać tzw. klasycznymi nagraniami, np. wszystkich symfonii Beethovena albo Mahlera, ale przecież – co nieuniknione – pojawiają się nagrania lepsze technicznie i bardziej, lub co najmniej równie, przekonujące artystycznie. Nie da się zastąpić van Beethovena, da się zastąpić von Karajana. Dyrygowanie jest zawodem niewiedzącym i okrutnym. Dyrygentki i dyrygenci pracują ciężko; ich znaczenie nie budzi wątpliwości, bo dyrygentura to niezbędny komponent działalności każdej orkiestry (poza małymi orkiestrami z wyboru grającymi bez nikogo przy dyrygenckim pulpicie), ale nie ma w tym fachu ludzi niezastąpionych. W sumie znacznie łatwiej zastąpić dyrygenta (i zwykle, choć nie zawsze!, służy to dobrze orkiestrze) niż np. koncertmistrzynię, choć faktycznie znamy przykłady osób stojących na czele orkiestr przez dziesiątki lat, co częstokroć dzieje się kosztem skostnienia oraz interpretacyjnej nudy (na gruncie polskim znaczącym wyjątkiem jest Jacek Rogala; *Śląsk* 343). Może dlatego najpopularniejszym lekarstwem na ten dylemat jest zapraszanie innych dyrygentek i dyrygentów na występy gościnne – na nieszczęście dużo w tym polityki, bo ludziska zapraszają się nawzajem, wszystko pozostaje w rodzinie, do tego stopnia, że młodzi adepci zawodu właściwie nie mają czego szukać. Można mówić o nadprodukcji dyrygentów – jednak czy tylko ich? Na pewno w ogóle za dużo jest muzyków (a o kompozytorach już nie mówię!), którzy potem wegetują na skraju bezrobocia i, żeby głodu uniknąć, biorą każdą fuchę, nawet jeśli organizatorzy danego przedsięwzięcia to powszechnie znani oszuści i rabusie: przykładem „agencja” pewnej polskiej śpiewaczki, która organizuje tury po Austrii, Niemczech, Szwajcarii, płacąc nędzne stawki, łamiąc kontrakty, nie zapewniając ubezpieczeń, wymagając od zatrudnionych wokalistów oraz instrumentalistów, aby wozili ze sobą własne tale-rze i łyżki – jak na froncie!

Paweł Klecki miał przewagę nad jemu podobnymi, ponieważ karierę muzyczną rozpoczął jako kompozytor. Dyrygenturą zajął się później i, jak to prawie zawsze w takich sytuacjach bywa, stopniowo komponował coraz rzadziej i mniej, a coraz więcej i lepiej dyrygował (nie zapomnijmy, że dyrygentura to też, jak kompozycja, praca twórcza!). Wszak to, co po sobie jako kompozytor pozostawił,

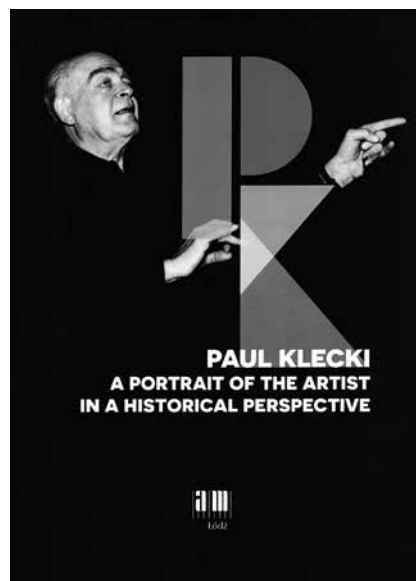
a przynajmniej ta część jego dorobku, która zawiera muzykę symfoniczną i fortepianową, ma wartość dostateczną, żeby traktować ją poważnie. Co prawda jego muzyka kameralna, np. miłkie kwartety smyczkowe czy konwencjonalne pieśni na głos z fortepianem, nie ma żadnego znaczenia, lecz to żaden wyjątek, czy zarzut (*vide* Wagner i Bruckner, Ryszard Strauss) – są kompozytorki i kompozytorzy jak gdyby urodzeni do tworzenia na orkiestrę, a bezradni w obliczu wyzwań, które stawia pisanie na mniejsze składy (i oczywiście na odwrot).

W wydawnictwie łódzkiej Akademii Muzycznej ukazała się w dwu wersjach językowych książka *Paweł Klecki. Portret artysty z historią w tle* [Paul Klecki. *A Portrait of the Artist in a Historical Perspective*]. Z jakichś przyczyn – to broń Boże nie krytycyzm! – otrzymałem tę drugą, anglojęzyczną wersję tej rzeczywiście bardzo interesującej, pouczającej pracy.

Zacznijmy więc od samego tłumaczenia, autorstwa Tomasza Zymera. Powiem tyle: mimo incydentalnych polonizmów tłumacz wykonał solidną robotę. Jednym z takich polonizmów jest stosowanie liczby mnogiej w odniesieniu do utworu w formie wariacji i tak zatytułowanego. Otóż w języku angielskim stosuje się w takich przypadkach liczbę pojedynczą: „*Wariacje* powstał...”, a nie „*Wariacje* powstały...”. Ale nie dzielnym włosa na czworo! Natomiast zupełnie nie rozumiem – i to jest krytycyzm – dlaczego w tomie „angielskim” tkwi jak dziura w zębie napisany po niemiecku artykuł Cédrika Güggiego „Paul Klecki – Ein Dirigenten von außergewöhnlichen Format” [„Paweł Klecki – dyrygent wyjątkowego formatu”]? Książkę wydano niezwykle elegancko, więc dałoby się ją wydać troszkę mniej elegancko (np. chętnie zrezygnowałbym z „ak-samitnej” okładki, która konserwuje odciski palców i inne ślady użycia, w końcu staje się po prostu brzydka), lecz z angielskim tłumaczeniem niemieckiego oryginału.

Zawartość tomu podzielono na trzy części: Losy, Kariera, Dzieło. Oczywiście są też „przymusowy” Wstęp, a także Katalog Twórczości Pawła Kleckiego, Bibliografia Przedmiotowa, Indeks nazwisk, Biogramy autorek i autorów. Wszystko się składa na tematycznie i treściowo modelową pracę poświęconą temu artyście.

W części pierwszej (trzy artykuły) wybija się świetny esej Danuty Gwizdałanki „Meandry europejskiej i światowej kariery Pawła Kleckiego”, jak zwykle napisany potocznie, z wielką werwą i dbałością o formę oraz historyczne i bibliograficzne szczegóły.



W części drugiej (trzy artykuły) znajdujemy rewelacyjny tekst Łukasza Borowicza – dyrygenta o potężnych umiejętnościach i talentie – „Analiza interpretacji dyrygenckich Pawła Kleckiego”. Tekst – odkrycie! Tytuł zupełnie nie oddaje jakości, głębi i błyskotliwości wywodu; powinni to czytać wszyscy muzycy, a szczególnie kompozytorzy, albowiem jak żaden inny znany mi tekst, ten w sposób perfekcyjny odsłania tajniki pracy dyrygenckiej – jako nieomal nauki. Od dawna tyle się nie nauczyłem, co czytając Borowicza. Ta lektura wpłynie na moją własną twórczość. Brawo!

Część trzecia, co jasne najobszerniejsza (siedem artykułów), zawiera prace trojga redaktorów tomu: Ryszarda Daniela Goliańka „Idea i styl symfonii Pawła Kleckiego”, Marty Szoki „Przyczynek do analizy stylu kompozytorskiego Pawła Kleckiego. *Wariacje orkiestrowe* op. 20 i op. 33” oraz Ewa Kowalskiej-Zajac „Kwartety smyczkowe Pawła Kleckiego wobec europejskiej twórczości I połowy XX wieku”. Jeśli porównamy te teksty z artykułami zaproszonych do współudziału w projekcie uczonych z zagranicy, widać wyraźnie, iż nasi reprezentanci akurat tutaj nie mają sobie równych, przede wszystkim dlatego, że tak umiejętnie łączą analityczną dociekliwość ze świeżością, przejrzystością i płynnością narracji – oto teksty zrozumiałe dla każdego, nie zaś kilku oszołomów, którzy bredzą jak Piekarski na mękach.

Zapytana o plany na przyszłość, jedna z redaktorek odpowiedziała, że praca o Kleckim to zapewne łabędzi śpiew ich zespołu. Szkoda.

Ewa Kowalska-Zajac, Marta Szoka, Ryszard Daniel Goliańek (red.), Paweł Klecki. Portret artysty z historią w tle, Wydawnictwo Akademii Muzycznej, Łódź 2023, s. 397.

I Czy wspominałem już w którymś felietonie o mojej krótkiej i niezawrotnej karierze szachowej? No cóż, jako nastolatek grałem – bez specjalnego powodzenia zresztą – w szachy sportowo, reprezentując GKS Katowice, wówczas w tej dyscyplinie klub II-ligowy. Nie byłem, ku mej rozpaczy, niestety szachowo utalentowany. Rozpacz z powodu braku szachowego talentu – jak wiadać siedzi to we mnie do dziś. W szachach braku talentu ukryć się długo, także przed sobą samym, nie da. Dość powiedzieć, że moim największym sukcesem (z którego jestem zresztą do dzisiaj naprawdę dumny) był mój wynik w finale Mistrzostw Polski Juniorów w roku 1977 rozegranym w Bolesławcu (3 wygrane, 2 porażki, 6 remisów, grano systemem szwajcarskim (zob. www.szachypolskie.pl/mistrzostwa-polski-juniorow-w-szachach-1977/). Potem upokorzony brakiem choćby porównywalnie mikrych sukcesów – zająłem się literaturą.

II O związkach szachów z literaturą napisać pewnie można opasył tom. Ja sam zacząłbym go pewnie od czytanej przeze mnie wieki temu *Noweli szachowej* Stefana Zweiga. Ale zostawię Zweiga – dla komplikacji psychologicznej jego noweli – na inną okazję. Oto Witold Gombrowicz, opowiadając swoje życie wielokrotnie wspomina o grze w szachy. Sądząc z wyników jakie w królewskiej grze uzyskiwał – grał nieźle. Grywał w szachy (i zwyciężał) w miejscach najróżniejszych – czy to w sali szachowej kawiarni Rex, przy okazji zarabiając trochę grosza („widywałem się w kawiarni Rex z moim przyjacielem Eislerem, z którego miałem dochód, bijąc go w szachy”) czy to płynąc na statku do Europy („Szachy. Wygrałem konkurs, zdobyłem medal i jestem mistrzem szachowym statku”). Ale autorowi *Kosmosu* służyły też szachy jako metafora. Czy to sam pisał o sobie, że czuje się zaszachowany, czy to metaforą była szachownica, czy też w środowisku szachowym dostrzegał analogie do „małego światka” poetów („Świat ten, lub raczej światek, niewiele różni się od innych światków hermetycznych i wyspecjalizowanych: szachiści uważają szachy za szczyt twórczości ludzkiej, mają swoje hierarchie, mówią

o Capablance z równym nabożeństwem jak poeci o Mallarmém i jeden drugiego utwierdza w poczuciu własnej doniosłości”).

III Peter L. Berger „zapraszając do socjologii” pisał we wstępie *Zaproszenia do socjologii*: „Wyznam szczerze, wśród dostępnych dziś rozrywek akademickich uznaję socjologię za rodzaj «królewskiej gry» – a nie zaprasza się do turnieju szachowego tych, którzy nie są zdolni do gry w domino”. Przyznam, że myśl ta bliska jest i mojemu odczuciu. Niemniej tytuł drugiego rozdziału książki Bergera wprawdzie może kogoś w pierwszej chwili w konfuzeję – *Socjologia jako rozrywka indywidualna*. Grać w szachy z sobą samym? Przeczytajcie tytuł wspomnianego na wstępie felietonu Zweiga. Ale można grać ze sobą także w mniej ekstremalnych warunkach. Tak, bohater powieści Raymonda Chandlera, Philip Marlowe mógł wspominać na kartach *Długiego pożegnania* – „[r]ozstawiłem szachownicę i rozegrałem francuską obronę przeciw Steinitzowi. Pokonał mnie w czterdziestu czterech ruchach, ale przedtem musiał się trochę napocić”, ale przecież wiedział doskonale „[...] mógłbym być tak wściekły, że rozniósłbym Steinitza na strzępy – tyle, że on nie żył już od pięćdziesięciu lat, a rozgrywana przeze mnie partia pochodziła z książki”. Idzie zatem o operowanie przykładem. O ilustracje takie, jakie podawał w swoich pracach Erving Goffman – jakże naturalne są odwołania w literaturze szachowej właśnie do przykładów – a dalej: analiza tychże przykładów (z partii szachowych) i szachowych kompozycji (coś w rodzaju szachowej poezji – układał szachowe zadania Władimir Nabokov). Przywoływane przeze mnie w tej książce liczne cytaty, zapożyczone z dzieł literackich, socjologicznych, filozoficznych i innych, bywają w tym studium już to źródłem, już to ilustracją czegoś, bądź chcą być dowodem na coś. Czasem pełnią wszystkie te funkcje jednocześnie. Zaś co do przywoływanej wcześniej, a sugerowanej przez Arendt (za Walterem Benjamine) referencji – wyłowienia znaczących fragmentów, „wyjęcia z kontekstu i ułożeniu ich na nowo, tak aby oświeślały się wzajemnie”, to uzupełniłbym ją przywołaną przez Władysława Tatarkiewicza uwa-

gą Pascala. Tatarkiewicz pisze w jednej z przedmów do swej monumentalnej *Historii filozofii*: „Niech nikt nie mówi, że nie powiedziałem nic nowego: rozmieszczenie treści jest nowe. Kiedy gra się w piłkę, obaj gracze grają tą samą piłką, ale jeden mierzy ją lepiej”. A nawet jeśli zawiesić w tym przypadku osąd, kto mierzy „lepiej”, to sens nowo ułożonej mozaiki sprowadzić można do kwestii – na ile sensownie „inaczej”.

IV Metaforyka szachowa jest zresztą popularna w różnych kontekstach. Sam odwoływałem się do niej niejednemu raz – choćby w studium poświęconym *Wojnie peloponeskiej* Tukidydesa. Pisałem chociażby: „Powiada się niekiedy, że sporą zresztą dozą słuszności, że polityka to nie szachy. Nie jest bowiem tak, że jedna ze stron, wykonując posunięcie, musi czekać z następnym do chwili, kiedy ruch wykona przeciwnik. Wydaje się jednak, że z punktu widzenia historii politycznej polityka może być w ten sposób analizowana – jako specyficzny pojedynek szachowy”. Tyle, że tu nikt się nie martwi czy ma polityczny talent – wystarczy że go/ją wybiorą i on/ona zasiądzie.

V Ogólna pyskówka, do nudy i bólu przewidywalna wymiana obelg i niewyszukane inwektywy, częstowanie się nawzajem psychiatrycznymi diagnozami? Wyjść poza taką perspektywę oczywiście trudno, wiąże się to z intelektualną dyscypliną, która dzisiaj wydaje się skądinąd tak bardzo zbędna, bo przecież wszystko jest jasne. Tyle, że dla jednych jasne jest jedno, a dla drugich drugie. Nie ma miejsca na jakikolwiek ruch – bo zasady są chore. W grze w szachy – w której jednak zasady gry są zdrowe – podobna sytuacja określana jest jako pat. W polityce mamy zatem do czynienia z patem szczególnego rodzaju. Mianowicie patem wynaturzonym.

VI Przed laty Stefan Kisielewski, Kisiel, tak referował metody polemiczne Antoniego Słonimskiego – „Ja mu proponuję partię szachów, a on zrzuca figury i majchrem we mnie”. Dzisiaj majchry zastąpiły kłonicie, pałki. I hejt – rzecz jasna.

Soldateska Putina, czyli początek końca

TOMASZ SŁUPIK

A tak armii ukraińskiej na terytorium Rosji, a konkretnie na obwody kurski i białgorodzki, pokazał słabość Rosji. Oto niezwykczona rosyjska armia ucieka w popłochu przed świetnie zorganizowanymi i dobrze wyposażonymi brygadami ukraińskimi, a rosyjska ludność cywilna przeklina reżim Putina, który zostawił ich na pastwę losu. Pomijając kwestie taktyczne, czy atak armii ukraińskiej to próba odciążenia znajdujących się w trudnej sytuacji jednostek ukraińskich w Donbasie, czy może tzw. działania zaczepne dla zmylenia przeciwnika, które mają być tylko przygotowaniem do większej ofensywy na przykład w okolicach Chersonia. Istotną zaś kwestią jest to, że – z jednej strony – widzimy w ramach wojny psychologiczno-informacyjnej urzędników ukraińskich, którzy podkreślają, że zaatakowana Ukraina ma prawo w ten sposób się bronić, z drugiej zaś – rosyjskie kanały propagandowe, pokazujące Putina i Sojuzg z marsowymi minami, którzy zapewniają, że to tylko wypadek przy pracy i w ciągu kilku tygodni żołnierze ukraińscy zostaną wyparci z terytorium Rosji. Kolejny raz w historii kraju ze stolicą w Moskwie okazało się, że państwo to jest papierowym tygrysem. Od słynnej wizyty de Custine’a w dziewiętnastowiecznej Rosji okazuje się, że kraj oparty na represjach i kłamstwie bywa niezwykle skuteczny w polityce zarówno zewnętrznej, jak i wewnętrznej, jednak jest to najczęściej perspektywa mniej lub bardziej „krótkoterminowa”. Krótki rys historyczny pokazuje, że w ciągu ostatnich dwustu lat Rosja, później jej następca Związek Radziecki i znowu Rosja zaliczały spektakularny upadek. Rosja carska padła pod ciosami rewolucji, ojczyzna światowego proletariatu dokonała żywota w 1991 roku. Najczęściej działo się to pod wpływem wewnętrznych sprzeczności: zacofania gospodarczego, rządów absolutystycznych, terroru komunistycznego, którego kontynuacją był coraz bardziej sklerotyczny totalitaryzm znany rządami Breżniewa, z próbą reformy w latach 80. XX wieku przez Gorbaczowa, której skutkiem był upadek Imperium Zła w 1991 roku.

Oczywiście taka uproszczona historiozofia ma pewne słabości, a interpretacja historii w duchu posthegłowski

jest narzędziem mocno uproszczonym. Jednak rosyjski absolutystyczny, czy totalitarny reżim w momentach rozprężenia staje się zupełnie nieodporny na wewnętrzne wstrząsy, czy też dynamicznie zmieniającą się sytuację międzynarodową. Na temat dialektyki siły i słabości Rosji napisano już całe tomy. Kraj, który jest największym terytorialnie państwem świata, bywa wyjątkowo bezradny w zarządzaniu, administrowaniu na własnym terytorium, nie mówiąc już o możliwościach modernizacyjnych. Na poziomie twardej praktyki jest zacofany, oparty o eksport surowców naturalnych i innych bogactw, które są jego siłą i przekleństwem zarazem. Tej swoistej nieudolności, niewyobrażalnej korupcji, rządów autokratycznym najczęściej towarzyszy dość groteskowa ideologia odrębnej drogi Rosji, bicia między Wschodem i Zachodem. W XIX wieku było to antyzachodnie słowianofilstwo, a w czasach współczesnych euroazjatyzm inspirowany przez Lwem Gumilowem czy postmodernistyczny zestaw sloganów wymierzonych w zachodnią zgnilizną autorstwa Aleksandra Dugina.

Wojna w Ukrainie, podobnie jak wcześniej wojna krymska, konflikt z Japonią z 1905 roku, czy wreszcie I wojna światowa, może być początkiem końca Rosji, jaką znamy. Konflikty zbrojne, które najczęściej w swej historii są funkcją głębszego kryzysu toczącego to państwo, obnażają całą jego słabość. Są irracjonalnym zrywem, próbą obrony *status quo*, ostatnimi podrygami przedśmiertnymi wielkiego, politycznego cielska. Czy tak stanie się tym razem? Zobaczmy. Prognozowanie nie tylko w naukach społecznych obarczone jest ryzykiem błędu.

Przy okazji warto rzucić okiem na postawę Zachodu wobec Rosji, bo ona wiele wyjaśnia w aspekcie trwania tego państwa w różnych wcieleniach autokratycznych i agresywnych na arenie międzynarodowej. Tak było w 1991 roku, kiedy to George Bush senior nawoływał do ostrożności w próbach rozliczenia Związku Radzieckiego za jego komunistyczne zbrodnie, a przede wszystkim obsesyjnie obawiał się rozpadu państwa dysponującego największym arsenałem głowic atomowych na globie. Anemiczna reakcja USA i państw zachodnich

na atak na Gruzję w 2008 roku i trochę zwąwszy w 2014 po agresji na wschodnią Ukrainę i aneksji Krymu pokazuje, charakterystyczną mieszankę politycznego oportunizmu w politycznej praktyce i idealistyczne frazesy wygłaszane w sferze retoryki politycznej. Próba obłaskawienia potwora powoduje, że staje się on coraz bardziej żarłoczny i niebezpieczny. Po ataku z 24 lutego 2022 roku polityka Stanów Zjednoczonych i ich sojuszników była dość zachowawcza i w opinii wielu obserwatorów, w tym ekspertów wojskowych, gdyby Ukraina dostała od pierwszych dni wojny nowoczesne czołgi, samoloty wielozadaniowe, pociiski średniego i dalekiego zasięgu byłoby już dawno po wojnie. Jednak mieszanina kunktatorstwa, stereotypów społecznych (na temat wielkiej Rosji) nagromadzonych przez lata w państwach takich, jak Niemcy czy Francja spowodowała sytuację, w której na początku dość wąski strumyczek pomocy militarnej przekształcił się w strumień, jednak niewystarczający do obrony własnego terytorium przez Ukraińców i ewentualnego wyparcia wojsk rosyjskich z zagarniętych przez nie terenów. I znowuż, jak mantrę słyszymy argumenty o wielkim państwie, głowicach nuklearnych, chaosie wynikającym z rozpadu Rosji, którego konsekwencje mogą być nieprzewidywalne dla Europy i świata. Ten typ zaklinania rzeczywistości jest wygodną figurą retoryczną, wykorzystywaną szczególnie na użytek wewnętrzny, w celu dyscyplinowania opinii publicznej i skutecznego leczenia jej z radykalizmu. Czymże zaś jest ów radykalizm? Politycznym marzeniem o nowoczesnym państwie rosyjskim ze sprawnie działającą demokracją i gospodarką rynkową. Wiem, brzmi jak bajka o żelaznym wilku. Kolejny jednak raz, jako Zachód, nie będziemy przygotowani na fundamentalny kryzys, nawet upadek rosyjskiego państwa i powtórzymy błędy z lat 1917, 1991, 2014, 2022, umożliwiając dalsze trwanie rosyjskiego Frankensteina, gnębiącego własne społeczeństwo i będącego zagrożeniem dla sąsiadów, a nawet całego ładu międzynarodowego.

Podobno historia jest nauczycielką życia. Jak pokazują dzieje Rosji, bardzo złą nauczycielką.

Spóźniony pospieszny

JULIUSZ WĄTROBA

To miała być zwyczajna podróż. A jeśli zwyczajna, to nudna, nużąca, męcząca i depresyjna. Jak jesienny pejzaż w otoczeniu dworca – szary, brudny, ponury. Przygaszony popielcowym popiołem, który bierze się nie wiadomo skąd. Jakby ktoś złośliwy posypywał toksycznym pyłkiem przydworcowe otoczenia. Na skarpie kilka rachitycznych, dziwnie poskręcanych drzewek. Czyżby chorowały na chroniczny reumatyzm? Na peronie parę przemokniętych ławek, na których nikt nie miał odwagi usiąść, by się nie pobrudzić czy nie przemoczyć. Zrobiła to jedynie... kawka: przycupnęła na oparciu i patrzyła w kierunku przyjazdu pociągu, jakby też miała zamiar wybrać się pospieszonym w podróż. Ale chyba bliżej, nie nad morze, bo nawet bez bagażu podręcznego, a raczej podskrzydłowego. Nie krępowała się bliską obecnością grupki pilnujących pękatek bagażu pasażerów. Nie bała się, oglądając przestępujących z nogi na nogę przemarzniętych ludzi – ciekawska jak to kawka. Na wypadek gdyby działo się coś niedobrego, miała skrzydła, by opuścić podejrzaną towarzysztwo.

– O czym może myśleć kawka? – zastanawiałem się idiotycznie, przyglądając się wesołemu ptaszce, gdy nagle wyrwał mnie z sennego oczekiwania skrzeczaco-trzeszczący komunikat:

– *Pociąg pospieszny do miłości spóźni się o jakiś czas. Opóźnienie może się zwiększyć albo jeszcze bardziej wydłużyć. Ale ten pociąg dojedzie. Na pewno!*

No nie... Jakież omamy słuchowe? Chyba się przesłyszałem? To już raczej do szarości, a nie do miłości. A tak na prawdę, nie na niby, to ma być pociąg z Bielska-Białej do Gdyni! Zresztą megafon tak zniekształcił treść komunikatu, jakby czytany był nie przez atrakcyjną panią, a przez skrzeczającą wronę z beznadziejną dykcją, której ktoś właśnie wyrwał czarne piórka z ogona! Coś mnie te ptaki prześladowały. Najpierw kawka, teraz wrona bez ogona, obok śmiesznie podskakuje naburmuszony wróbel, a tuż za nim, już prawie po ludzku, maszeruje wtapiający się w otoczenie szary gołąb. Pewnie będzie zebrał o okruszki jak menele przed marketem, zbierający środki na chleb w płynie.

*

W moim ptasim mózdzku lęgną się głupie sny na jawie o podróży, która się jeszcze nie rozpoczęła: *nudy nie zabije nawet stukot kół, ale może ją rozproszyć ktoś, kto będzie w przedziale, ciekawe kto to będzie, jak to kto, mam przecucie, że to będzie dziewczyna, piękna kobieta, by podróż się nie dłużyła, na pewno nie zapadnę w podróżniczy letarg kołysany do snu kołysanką fałszowaną odgłosami stukotu kół pociągu pośmiesznego, chyba pospiesznego, że też ludzie muszą się spieszyć, po co to, po co to, po co to, słyszę pociąg który jeszcze nie nadjechał, widzę dziewczynę w przedziale, która się jeszcze nie zjawiła, ale się zjawi, usiądzie naprzeciwko, a ustawiony między nami mur z przejrzystego lodu, stopniuje w słońcu jej spojrzenia, gdy połączy nas przedział, czułość bliskich miejsc, czy to przypadek czy ślepy los, który przejrzał na oczy, byśmy się dostrzegli, może ta dziewczyna będzie dzielić ze mną życie tak samo jak przedział, jest tak piękna, że musi kogoś mieć, ustawia się do niej długa jak pociąg, który nadjedzie, kolejka, a ja nie mam nikogo, choć miewałem, na chwilę, a zdawało się, że na zawsze, czas zawsze jest chwilą, a chwila wiecznością, teraz jestem sam, czekaniem czekającym niedoczekania, bo nie ma cudów czy są cuda, kto wie, ten wie, my nie wiemy, co nas czeka, pociąg ma nas zawieźć do Gdyni, ale gdzie ostatnia stacja, może Gdynia będzie tylko stacją przesiadkową, na której przesiądę się do ciebie, a ty do mnie jeszcze nieznajoma, choć już przeczuwana, gdy ścichnie rozpacz, znik-*

ną zli ludzie, a czas będzie pięknie przemijał, by nas nie miały spełnienia, będziesz będziesz będziesz w moim sercu, nawet kiedy serce przestanie mi bić...

*

Serce rzeczywiście przestało mi bić, na szczęście tylko na chwilę. Zatrzymał je przeraźliwy gwizd pospiesznego, który się spóźnił. Kawka odleciała, podobnie wróbel z gołębiem, a wśród nielicznych pasażerów nastąpiło ożywienie:

– Jest! Wreszcie jest! – odetchnęła z ulgą elegancka paniusia z bagażem (jak burdel) na kółkach.

Pociąg, jak to pociąg, majestatycznie wtoczył się na pierwszy peron. Nieliczni podróżni, w większości nie pierwszej młodości, rzucili się rześko do pustych wagonów, by je zapęłnić problemami, opowieściami, zwierzeniami. Patrząc na płeć (w większości panie) i ich wiek jestem w stanie się założyć o górę złota, że głównym tematem rozmów będą narzekania na wszelakie choroby, z cudownymi receptami na ich uleczenie, przeplatane zachwytem nad genialnymi wnuczkami oraz prawnukami. W dalszej kolejności zacietrzewienia, sprokurowane przez polityków, którym prawie nic się nie udało, prócz skłócenia i podziału narodu na dwa wrogie sobie plemiona od góry do dołu – od elit rządzących po najmniejsze komórki społeczne.

W przedziale byłem sam. Moje sny na jawie nie mogły się spełnić. Nawet, gdyby jakimś cudem czy przypadkiem pojawiła się obok mnie atrakcyjna współpasażerka, która miałaby chęć, by trwającą godzinami podróż wypełniać rozmową. Jeszcze się nie przyznałem, ale zawsze byłem nieśmiały. Trudno nawiązywałem kontakty, najpierw z rówieśnikami w przedszkolu, potem w podstawówce oraz w liceum, na studiach kończąc. Gdy zaczynałem dorosłe życie, rozpoczął się drugi rozdział mojej fobii, zwanej fachowo fobią społeczną. Każda rozmowa z obcymi, wystąpienie na zebraniu, a nawet głupie zapytanie nieznanego o drogę, było prawdziwą męką. To stan, w którym czujesz paniczny strach... Serce zaczyna ci walić coraz mocniej... Oddech przyspiesza jakbyś przebiegł sprintem pięć kilometrów... Zasycha w gardle... Już, już wydaje ci się, że stracisz przytomność... W połączeniu z agorafobią to była katastrofa. Idziesz spokojnie w tłumie ludzi i nagle czujesz nieopisany lęk. Czujesz, że coś cię zatrzymuje, nie masz siły przemieszczać się dalej. Lęk potężnieje, sprawia, że nogi są jakby wtopione w beton. Nie jesteś w stanie zrobić ani jednego kroku. Obok ciebie przelewają się ludzie, biegnący za swoimi sprawami i uciekający przed problemami. A ty jak zamurowany, ani kroku wprzód, ani w tył. Świat wiruje i wariuje ci przed oczami. Wydaje ci się, że przestrzeń cię porywa, wciąga, podczas gdy stoisz w miejscu jak słup soli. Bezradny samotny, stłamszony... Ciemno przed oczami, choć słońce w zenicie normalnych ludzi unosi ku niebu, a ty przytłoczony kopułą nieba, która się zniża, zniża coraz bardziej... I to nie sen mara, a rzeczywistość...

Koszmar, prawdziwy koszmar. Wszystko chyba przez moje nieszczęsne parametry, a właściwie wzrost. Bo jak się ma te dwa metry dwadzieścia, nie jest się normalnym. Już na pierwszy rzut oka rzucasz się wszystkim w oczy. Normalnie i po ludzku możesz się czuć jedynie w drużynie koszykarzy. A tak chciałoby się bezpiecznie spojrzeć sąsiadowi w oczy, zwyczajnie porozmawiać, a nie patrzeć na wszystkich z góry i rumieć się przez to, że wszyscy patrzą na ciebie z dołu. I czytasz z ich oczu: *Co to za dziwoląg takie wielkie chłoptisko?*

Nie udało mi się jednak zostać koszykarzem. By uprawiać ten sport, nie wystarczy być tylko nieprzyzwoicie długą tyką,

a ja niestety nie posiadam pozostałych przymiotów ducha i ciała koniecznych do uprawiania tej dyscypliny.

Człowiek jest bezbronny, z wystającą ponad normalnymi osobnikami głową. Czuje się jak jakaś hybryda żyrafy z naczelnym, z tym że żyrafie jest dobrze, a nawet cieszy się ze swojej wysokości, bo może, dzięki niej, zrywać liście z czubków drzew na sawannie. Już bym się jakoś zgubił w tłumie, wtopił w bliźnich, gdybym chodził na... kolanach. Ale wtedy wyglądałbym na jeszcze większego idiotę, niż w gruncie rzeczy jestem. Od małości (która w moim przypadku nie była małością, powinienem, zgodnie z prawdą, napisać: od wielkiej małości), czułem się upokarzany i odrzucany jak niewydarzone kurczątko. Gdybym jednak był kurczątkiem, zostałbym zadziobany przez normalnych rówieśników. Widziałem to na własne oczy! Nie jestem jednak kogutkiem, ani nawet niewydarzonym bocianiątkiem, którego rodzice wyrzuciliby z gniazda, jeśli nie spodobałaby im się jego odmienność.

A niby bociany przynoszą dzieci, mimo że dla swoich, trochę innych niż wszystkie są tak okrutne!

Ileż przeżyłem upokorzeń... Jeden bezczelny i do granic chamstwa nietaktowny typ, zapytał wprost, śmiejąc mi się w gębę:

– Coś ty wpierdalał, że cię tak wyciągnęło? Marchewki po wybuchu elektrowni atomowej w Czarnobylu?

Myslałem, że zapadnę się pod ziemię, ale nawet ziemia mi nie współczuła i się nie rozstąpiła.

Wolałbym już być krasnoludkiem, który też odstaje, ale w drugą stronę. Przynajmniej nie rzuca się w oczy i nie ma problemów z zakupem butów oraz ubrań. Jednak jest, jak jest. Wiem, wiem, że trzeba się akceptować, ze swoich niedoskonałości zrobić siłę i nie zrażać się docinkami głupców. W różnorodności uroda tego świata... Tak się wymądrzają psychologowie i psycholożki, którzy sięgają mi nieco ponad pępek, więc nie mają pojęcia, jak się może czuć ktoś taki jak ja. Choćby przeczytali setki książek, wypełnionych naukową mądrością. Wydaje im się, że są w stanie wszystko pojąć, zrozumieć, wyjaśnić, uleczyć chorą duszę... Przypominają mi księży, którzy też najlepiej wiedzą... jak się robi dzieci (niejedni zresztą wiedzą to z własnego doświadczenia), i jak je wychowywać (z tym jest już znacznie gorzej), by nie grzeszyły i były już tu, na ziemi, święte. Skąd oni to wiedzą? Są pro-

rokami? Spytałem kiedyś znajomego wikarego, dlaczego są tacy przemądrzali i wszystkowiedzący, a ten odpowiedział, że przecież byli wychowywani często w wielodzietnych rodzinach, a poza tym czerpią mądrość z konfesjonału! Opadły mi moje długie ręce i nawet nie próbowałem mu uświadomić, że teoria i praktyka to dwie zupełnie różne sprawy. Chłopska mądrość ma na te wyczytane i naukowe mądrości, adekwatne do omawianych sytuacji, następującą odpowiedź: *Syty głodnego nie zrozumie*. Czyli bezdzietny wielodzietnego nie pojmie, podobne jak pani psycholog o wzroście 1,70, nie ogarnie swoją książkową wiedzą faceta, który ma 2,20, a w dodatku jest przewrażliwiony i znerwicowany... Chyba przez te nadliczbowe decymetry.

Najgorszy jest jednak fakt, że nie ma w tym ani krzty mojej winy! Nie miałem, ani nie mogłem mieć, żadnego wpływu na to, że wyrosłem tak, jakbym nie znał umiaru. Już w drugiej klasie szkoły podstawowej beczelne gówniarstwo wyśmiewało się ze mnie, wołając:

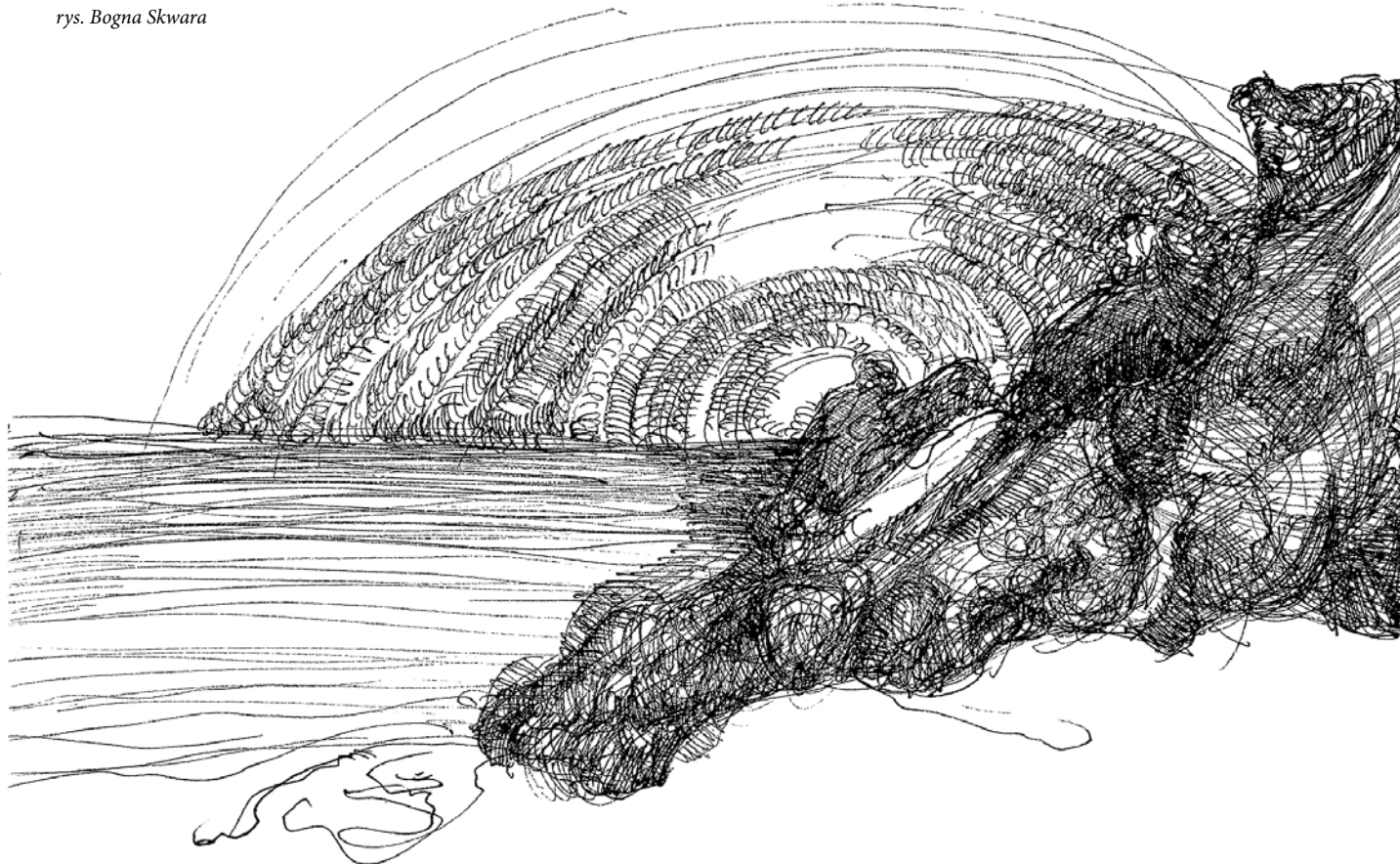
– Wysoki jak brzoza, a głupi jak koza!

Później wcale nie było lepiej:

– W siedmiomilowych butach chodzi do szkoły mutant! – to w liceum.

Nie mogę się też zgodzić na grzech pierworodny, bo w jego przypadku jestem tak samo niewinny i niesłusznie ukarany. Cóż mnie obchodzi, że kiedyś, bardzo, bardzo dawno temu, przez babską ciekawość i chłopską naiwność, pierwsi ludzie popełnili grzech śmiertelny? Nie, nie – nie mam pretensji dla pramatki Ewy, bo była kobietą, więc chciała stać się wszystkowiedzącą. Ale zastanawiam się po co? Przecież nie miała jeszcze równie ciekawskich sąsiadek, z którymi mogłaby dzielić się plotkami i tajemnicami! Winnym tamtej tragedii sprzed oceanu czasu był Adam! Kretyn, dureń totalny, tuman kompletny... Po jaką cholere żał ten zakazany owoc? Nie musiał! Nie rozumiem matola kompletnie! Przecież to nie miało sensu. Nie musiał się przypodobać Ewie! Wszak był jeden, czyli nie miał konkurencji! Ewa, choćby nawet chciała (a pewnie by chciała!), nie mogła go zdradzić! No bo z kim? Nie groziło mu zastąpienie jakimś przystojnym lalusiem, np. znanym aktorem. Nie groziło mu, że Ewa go zlekceważy, wyśmieje, wyrzuci na zbity pysk z domu, bo nawet

rys. Bogna Skwara



jeszcze domów nie było, a klimat tak sprzyjający, że hasali sobie po raju goło, wesoło i szczęśliwie. Jeśli nie wierzyacie, pooglądajcie malowidła, nawet te umieszczone w wiekowych świątyniach!

I ja mam za niefrasobliwość pra–pra–pra pra...rodziców cierpieć? Gdybym sam schrupał ten nieszczęsny owoc, będący podobno ekologicznym jabłkiem, to proszę bardzo – zawałem, dałem się otumanić i straciłem głowę, a rozum w szczególności, przez zachłanną i atrakcyjną kobietę, no to *cierp ciało jak ci się chciało!* Zresztą za tę nieroztropność już winowajcy ponieśli zasłużoną karę: wygnanie z raju. I to mieczem ognistym! Przy okazji, wszystkie następne pokolenia raju nie zaznały i muszą się tułać od bieguna do bieguna, od choroby do choroby, od miłości do nienawiści, ze zdradami po drodze! A tu jeszcze dodatkowo, już w dniu urodzin, obarczają nas grzechem pierworodnym, choć jeszcze nie wiemy, co to grzech a co dobry uczynek! Ba, jeszcze niczego nie wiemy, a już naszą niewinną duszyczkę ktoś chce na siłę pokalać! No nie, to niesprawiedliwe! I nie trzeba być wybitnym teologom, by to pojąć oraz zrozumieć. Nie wiem, kto wymyślił tak nieboskie i nieludzkie prawo. No bo jak to tak? Toż to jawna niesprawiedliwość! Manipulacja i cygaństwo! Jakby coś takiego mógł wymyślić Bóg, który jest Miłością!

*

Moje zamyślenie przerwał pisk hamulców pośpiesznie spóźnionego pociągu. Dojeżdżamy do Czechowic–Dziedzic. Z lewej ponoć jeden z najdłuższych dworców w Polsce. Może i najdłuższy, a już na pewno najbardziej zaniedbany, odrapany, z dziurami w tynku, z powybijanymi oknami, zatkanymi prowizorycznie czym się tylko da. Słowem ruina, widok nędzy i rozpacz! Ale przez rozpacz wreszcie zaczyna przeziierać słońce, bo obiekt wpisano kilka lat temu w rejestr zabytków, dzięki czemu gruntowny remont stacji ma się rozpocząć niebawem.

Po chwili energicznym pociągnięciem otworzyła zasuwaną drzwi przedziału... młoda kobieta! Średniego wzrostu. Nie rzucająca się w oczy, choć ta akurat się rzuciła, bo też była tylko jedna, jak niegdyś pechowa Ewa z Edenu. A jednak cud! Prawdziwy! No może... pół cudu...

– Dzień dobry – powiedziała, zasuważąc drzwi.

– Dzień dobry – odpowiedziałem grzecznie.

Czułem, że się rumienię. *Ale ze mnie idiota! Przecież siedzę, to nie wie jeszcze, jaki jestem drągał* – pomyślałem, bo o mej długości decydują głównie nogi. Zrzuciła płaszcz. Jest w czerwonym, chyba wełnianym, obcisłym swetrze. Naprawdę zgrabna. Jakby to powiedzieli nasi jurni dziadkowie: *wszystko ma na swoim miejscu*. Patrzy w okno. Patrzę na nią. Ciekawe, czy też jedzie do Gdyni? A jeśli jedzie, to czy będziemy tak milczeć przez całą Polskę? Choć nie wygląda na taką... Ale widać dobrze wychowana – nie chce zaczepiać nieznajomego.

Nagle stał się kolejny cud. Już najprawdźwiesz. Poczułem, że przestaję się rumienić i coś mnie olśniło: muszę się odezwać! I to pierwszy! Przecież jestem inteligentny! Na wiele mnie stać! Muszę tylko zwolnić hamulec mojej nieśmiałości, zaciągnięty jak ręczny hamulec bezpieczeństwa w pociągu. Muszę! Co mi może zrobić? Najwyżej mnie wyśmieje i będzie się dalej gapić w okno, a ja na nią! Ale jak zacząć? Myślę... Ale co tu jest do myślenia? Sama mi pomogła, bo oderwała wzrok od okna i nasze *spojrzenia wpadły sobie w objęcia* – jakby napisano w marnym Harlekinie. Wiedziałem, że to jest ten moment. Jeśli go nie wykorzystam, to koniec, kropka, będę milczał do końca podróży jak skała albo grób z pomnikiem z czarnego marmuru. Dlaczego czarne? Bo czarny jest jeszcze smutniejszy! Nabrałem powierza. Chrząknąłem ostrzegawczo:

– Ładna dzisiaj pogoda...

– Ładna... – odpowiedziała nieco zdziwiona.

Znowu się zamknąłem, jakbym był ślimakiem winniczką, który skrył się w muszli, myśląc naiwnie, że nie zo-

stanie zauważony i uda mu się uniknąć wywózki w celach jak najbardziej kulinarnych do francuskich restauracji. No nie, nie jestem żadnym ślimakiem, a smakowitym winniczką – to już najmniej. Poczułem przypływ drugiej fali odwagi, znacznie większej od pierwszej, która zmierzała w prawo w jej kierunku:

– Pani daleko?

– Daleko...

– To dobrze, że będziemy blisko – odpowiedziałem bez namysłu. W tej samej chwili zreflektowałem się, że to jednak zbyt śmiałe słowa. Nie zrobiły jednak na niej większego wrażenia, bo obojętnym głosem stwierdziła:

– Co w tym dobrego? To smutna konieczność!

A ze mną coś się działo. Trzeci cud? Zacząłem się nakręcać jak niegdyś sprężynowy zegarek, by na luzie i bez obciążeń nawiązać dłuższy kontakt słowny (wzrokowy już wcześniej się nawiązał a nawet zawiązał i zapętlili)

– Czemu akurat smutna? Przecież możemy tę jazdę umilać!

– Jak? – spojrzała na mnie z politowaniem, a ja niezrażony kontynuowałem:

– No, może mi pani... coś o sobie opowie?

– Rzeczywiście pan wymyślił... To byłoby jeszcze smutniejsze... Już wolałabym przespać tę podróż...

– Ja nie byłbym w stanie przy pani zasnąć...

– Cierpi pan na bezsenność? To może będzie mi pan nuć kołysanki?

Nasza rozmowa zaczynała się zazębiać jak trybiki w nakręcanym zegarku dziadka. Nie wiem, czemu miałem ten zegarek przed oczami. Może czas ma tu do odegrania jakąś ważną rolę. Odpowiadałem bez namysłu, dlatego tak bezpośrednio:

– Raczej nie, bo pani jest już zbyt dużą dziewczynką...

– Na co? – zapytała naiwnie, a może udawała? Więc ją wprost uświadomiłem:

– Na kołysanki. Bo pani pewnie woli konkrety...

– No nie wiem, nie wiem...

Jak nie wie, to się może chce dowiedzieć? – pomyślałem gorączkowo. Jednak, by jej nie spłoszyć, choć nie wyglądała na płochliwą gąskę, wyhamowałem:

– To może zabawmy się w aktorów i zagramy romans?

– Co??? Jaki romans??? – była wyraźnie oburzona moją beczelnością, a ja zdziwiony swoją nagłą a niespodziewaną brawurą, choć naprawdę nie miałem nic zdrożnego na myśli:

– Podróży... Ale za to niewinny... Taki na niby, na odległość między naszymi miejscami naprzeciwno...

– Jak romans, to zawsze winny!

– Winny jest czasem ocet, a nie romans...

– To pan ogórki kisi? Ja z panem nie wytrzymam!

– Tego romansu?

– Tej długiej podróży...

– To będziemy ją skracać, bawiąc się w aktorów... Właśnie tym romansem! Kiedyś marzyłem, że będę aktorem... Podobno mam nawet dobrą dykcję. Polonistka zachęcała mnie, żebym zdawał do uczelni teatralnej. Mam nieprawdopodobną tremę, więc nawet nie próbowałem. Widzę się czasem, nie tylko we śnie, ale i na jawie, w roli zabójczo przystojnego amanta, za którym szaleją kobiety...

– Ha, ha, ha... Chyba się udławiam ze śmiechu... Pan to ma poczucie humoru... Chichotała mi chichotka prosto w twarz, patrząc beczelnie prosto w oczy. Nagle spowaźniała i zamysliła się przez chwilę:

– Też marzyłam, że zostanę gwiazdą, podziwianą przez cały świat... Czerwony dywan... Wręczają mi Oskara... A tak naprawdę śpiewam w gminnym ośrodku kultury i gram w... teatrze amatorskim – zakończyła smutno.

– No to jak będzie? Wchodzimy w to?

– Wjeżdżamy! – zgodziła się już ochoczo.

– Do Katowic! – spointowałem rzeczowo.

Fragment powieści.

świetnie, ale nigdy
dostatecznie.

uczysz się, wyglądasz, piszesz.

mówisz niedoskonałym
językiem.

ciągle za mały
na oczekiwania.

w ich
własnych
oczach -

odbijas się wciąż pomniejszony
do formatu dziecka.

czterdziestosześcioletni.

celując
niedostateczny.

poczucie winy

dziecięce stany
wywołane milczeniem.

i stare obrażenia wracają
jak cichy bumerang.

nie złapiesz ani
nie odrzucisz.

znów za bardzo się starasz.
i nigdy nie umiesz.

naprawdę

na wizji - kilkuletnia dziewczynka,
przed hymnem, głaszcze po koszulce
cristiano ronaldo, sprawdzając czy istnieje

naprawdę.

codziennie okrążam miasto.

przeglądam się w nim jak w widmie
uciekającego czasu.

staram się go nachapać.

ruchem zgromadzić paliwo
na zapas.

codziennie dziesięć tysięcy
kroków.

nie wiadomo dokąd.

na małej stacji -

pomimo złości w bliskich sobie
szybach - refleksy słońca.

i pod nogami już robi się tęcza.

to nie rysunek
niewidzialnego dziecka.

była radość, że w lesie
spotkaliśmy wielkiego,
bajecznego psa.

zaraz potem dali nam znać,
że zostało mu tak niewiele

lat.

- jadę na wakacje przed siebie.
za różne granice -

opowiada chłopakowi dziewczyna,
która dzisiaj do pracy zapomniała

książki.

i sama nią się staje pod
moimi dłońmi.

miejscy weterani,
jak co dzień -

powracają z wojen.
z samymi sobą.

opowiadasz, że koleżanka z pracy
powiedziała ci o „rześkich trupach”
i przez cały dzień śmiałyście się
do rozpuku.

nic tak nie łączy jak najczarniejszy
humor i rześkie powietrze od strony
cmentarza.

u lekarza, jękająca się kobieta śmieje się,
że od dziecka boi się zastrzyków.

uspokajamy ją, że w razie wycia
zagłuszymy wspólnym

kaszlem.



rys. Bogna Skwara

Baraki migracyjne

JAROSŁAW KAPSA

„Przyjechało już wiele pociągów... Inne są w drodze, niebawem przybędą. Wiozą mieszkańców milionowego miasta, miasta dotkniętego przez los. W tej chwili nie jest ważne, czy są wśród nich nasi krewni lub znajomi, czy nie... [...] Ważne jest, że są to ludzie. Nieszczęśliwi. Bracia nasi. Potrzebują pomocy. Że są to ludzie chorzy, biedni, ludzie bezdomni, głodni, sieroty...” – pisał w 1944 r. „gazdzinowy” „Kurier Częstochowski” (nr 156, z 16 września), apelując o pomoc dla uchodźców ze zniszczonej Powstańczej Warszawy.

Wojna skutkuje migracjami. Niszczy stabilność bytowania, wyrzywa ludzi z ich oswojonych „małych Ojczyzn”, wyrzuca na obczyznę. Wielka zbrodnia przeciw ludzkości, nazywana II wojną światową, pozbawiła swych domów miliony ludzi, upakowała w kolejowe wagony... Tragedia warszawiaków nie była jedyną oglądaną przez mieszkańców Częstochowy. Wcześniej musiano udzielić schronienia mieszkańcom Wielkopolski i Pomorza. Potem były kolejne fale wysiedlanych z terenów wcielonych do III Rzeszy. Częstochowa była węzłem kolejowym, stała się węzłem migracyjnym.

Szaletństwu „czystek etnicznych”, dotykających w grudniu 1939 r. Wielkopolskę i inne ziemie wcielone do Niemiec, towarzyszył rodzaj „racjonalnej gospodarki” zdobytymi zasobami ludzkimi. „Czystki” służyły zniemczeniu majątku prywatnego Polaków, ale w tych majątkach ktoś musiał pracować. Równoległe do toczącej się kampanii wrześniowej, urzędnicy niemieccy z wyuczoną, biurokratyczną solidnością, organizowali pobór pracowników. We wrześniu 1939 r. w pomieszczeniach przedwojennego starostwa częstochowskiego, przy ul. Sobieskiego 7, dr Hettman z Opola otworzył Arbeitsamt (Urząd Pracy), zrywając bezrobotnych częstochowian do rejestrowania się. Rozwój Arbeitsamtu nastąpił już po utworzeniu Generalnego Gubernatorstwa, pod kierownictwem nowego szefa, dr. Helmuta Rahna. Pod potrzeby urzędu zajęto gmach gimnazjum żydowskiego, przy ul. Jasnogórskiej 8/10. W 1940 r. wyznaczono kontyngent siły roboczej, jaką dostarczyć miała „resztówka” Polski, zwana GG. Ogółem – 503 300 robotników, najwięcej z dystryktu radomskiego – 157 300 ludzi.

Z powodów logistycznych w Częstochowie powstał punkt przeładunkowy.

„Siłę” roboczą zwożono na ul. Jasnogórską, tam kwaterowano, karmiono, dezynfekowano, myto, opierano, by nie przywlekła na niemieckie ziemie zarazków tyfusu. Pusty, podmokły teren za gimnazjum, wyznaczono pod budowę obozu. Ustawiono drewniane baraki, przewidując w nich miejsca dla 2 tys. osób. Była tam także stołówka i punkt sanitarny, służący dezynfekcji. Od grudnia 1942 r. do października 1944 r. przez obóz przeszło 42 tys. osób.

Nie była to liczba znacząca, wobec ogółu wywożonych „na roboty”. Z Częstochowy, powiatu częstochowskiego i radomszczańskiego wywieziono do pracy przymusowej 83 tys. ludzi, 23% zamieszkałych na tym terenie. Odrębnie traktowano ludność żydowską, nie miała ona prawa wstępu na obszar państwa niemieckiego. Wyznaczony przez Arbeitsamt i wydział pracy przy Radzie Starzych getta kontyngent kierowano do obozów pracy na Lubelszczyznę, do Majdanka i jego filii w Hrubieszowie, Ciechanowie, Bełżcu i innych miasteczkach. Zamieszkali w regionie częstochowskim Polacy też nie korzystali z obozu przy ul. Jasnogórskiej. Okupanci stosowali zasady kolonialne: wyznaczali gminom obowiązek dostarczenia pewnej liczby ludzi, wyboru ich mogli dokonać wójtowie i sołtysi; oni także odpowiadali za dostarczenie ich do punktów zbiorczych, właściwych stacji kolejowych.

Oboz przeładunkowy służył „zasobom” zwożonym z dalszych stron. W marcu 1944 r. przywieziono 3600 robotników z Radomia, w kwietniu kolejny transport zwiózł siłę roboczą z Brześcia nad Bugiem, byli w nim Polacy, Ukraińcy, Białorusini. Konieczność ewakuacji przed Armią Sowiecką wymusiła nietypowość kolejnego transportu z Brześcia: w maju 1944 r. dotarł nim rosyjski dom starców i sierot. W sierpniu i we wrześniu transporty przywoziły robotników przymusowych z kieleckiego, w tym z Opatowa i Sandomierza, ewakuowanych tuż przed wkroczeniem sowieckiej armii. Uchodźców z Warszawy jeszcze w tym okresie nie dowożono do Częstochowy, transporty z obozu w Pruszkowie kierowano do Oświęcimia lub do kolejnych obozów na terenie Rzeszy. Dopiero 9 października Niemcy rozładowali na dworcu Stradom pierwszy transport warszawiaków. Ówczesny burmistrz Stanisław Rybicki pisał: „blisko

trzy tysiące osób, starcy, mężczyźni, kobiety, dzieci, ciężko ranni lub chorzy od kilku dni już w wagonach kolejowych. Obraz tragiczny...”. Dla Niemców wyrzucenie tych biednych ludzi z wagonów w nocy, wprost na bruk nie stanowiło problemu. Burmistrz musiał mobilizować wszelkie społeczne siły, by pomóc 3200 warszawiakom.

Było to możliwe, bo już wcześniej miejscowy Polski Komitet Opiekuńczy nawiązał współpracę z administracją Arbeitsamtu. Przepełnienie obozu przy ul. Jasnogórskiej rodziło liczne problemy, w 1943 r. zgodzono się, by polski komitet mógł tam dostarczać żywność i lekarstwa. W częstochowskim Komitecie powstał w początkach 1944 r. referat ds. ewakuowanych, kierował nim Franciszek Rossa. Zapewniano osadzonym w obozie śniadania (chleb, marmoladę, kawę, czasem odrobinę cukru i tłuszczu), obiady (zupy gotowane w stołówkach PKO); Niemcy zgodzili się także na udzielenie pomocy duchowej przez miejscowych księży. W maju 1944 r. doszło w obozie do epidemii tyfusu; wprowadzono kilkutygodniową kwarantannę, odcinając osadzonych od pomocy. Łatwiej sytuacja wróciła do normy, komitet przekazywał codziennie kilka tysięcy porcji żywnościowych.

Po przybyciu transportu warszawiaków zarządzający obozem Arbeitsamt zgodził się na rozszerzenie współpracy. Przekazano komitetowi puste, niezagospodarowane baraki. Rybicki wspominał: „miejscowi inżynierowie przy pomocy firm technicznych i budowlanych w kilka godzin zainstalowali światło, doprowadzono wodę, w przeciągu 24 godzin czynna była kuchnia, której prowadzenie objęły siostry zmartwychwstańki. Z magazynów Polskiego Komitetu Opiekuńczego podrzucaliśmy sienniki, bieliznę i koce. Na miejscu znaleźli się wszyscy wolni lekarze częstochowscy. Zorganizowano salę przyjęć chorych, salę opatrunkową”. Komitet utworzył, obok niemieckiego obozu, własny ośrodek z 5 barakami: schroniskiem, szpitalem, magazynem gospodarczym i kuchnią. Główny barak dysponował 170 łózkami, ogrzewany był dwoma piecami. Wydzielone w nim były 2 „separatki” dla chorych (na 12 i na 10 łóżek). Szpital obejmował pomocą w październiku i listopadzie 1944 r. ok. 350 osób miesięcznie. Ogółem z pomocą „w barakach”

skorzystało 2885 osób, dzięki zapewnieniu podstawowych warunków i natychmiastowej pomocy lekarskiej do minimum ograniczono śmiertelność wśród uchodźców; zmarło jedynie 53 warszawiaków. Szpitalem kierował dr. Erazm Chodorkowski, pracowało w nim 6 lekarzy i 22 pielęgniarki.

Szpital „barakowy”, stworzony obok obozu Arbeitsamtu, był tylko pomocą doraźną. W grudniu 1944 r. szpital przeniesiono do budynku uzyskanego od Klasztoru Jasnogórskiego. Organizację i kierowanie nim powierzono warszawiakowi, dr. Janowi Mazurkiewiczowi „Radosławowi”. Uchodźców udało się rozlokować w prywatnych domach. Nie chodziło tu tylko o poprawę warunków. Obóz Arbeitsamtu nadal działał jako punkt przeładunkowy, odpowiedzialny za dostarczanie niewolników do pracy w Rzeszy. Burmistrz Rybicki i działacze częstochowskiego PKO robili wszystko, by podleczeni, uratowani warszawiacy nie zostali wywiezieni „na roboty”.

W styczniu 1945 r. Częstochowa została wyzwolona od okupanta niemieckiego. Nastąpiła nowa władza i nowe czasy. Nie zmieniło się położenie miasta, nadal było węzłem komunikacyjnym, przez który migrowało tysiące ludzi. Z zachodu wracali ludzie wywiezieni na roboty, wracali żołnierze osadzeni w obozach jenieckich; wędrowali cudem ocaleni z obozów zagłady, bardziej widma niż ludzie przypominający... W barakach przy ul. Jasnogórskiej utrzymano punkt przeładunkowy. Udzielał on schronienia przede wszystkim zwolnionym z obozów jenieckich, w barakach słyszeć można było języki angielski, włoski, francuski... Rosyjskiego tam nie używano, „wyzwolonych” ze stalagu 367 jeńców z Armii Czerwonej wywieziono bezpośrednio w głąb ZSRR... Nie było także jeńców

niemieckich, ich również od razu ekspediowano na wschód. Wędrowki jeńców wojskowych trwały do wiosny 1945 r. Potem barakowy obóz częstochowski zamknięto, wykorzystując obiekty jako magazyn wojskowy. Siedziba Arbeitsamtu w dawnym gimnazjum żydowskim została przejęta na potrzeby Armii Sowieckiej.

Migracja jednakże trwała dalej. Porozumienie tzw. Rządu Lubelskiego z władzami ZSRR regulowało przemieszczanie ludności polskiej z dawnych kresów, ziem wcielonych do ZSRR. Na podstawie dekretu PKWN z października 1944 r. powstał Państwowy Urząd Repatriacyjny. Oddział PUR w Częstochowie utworzono w marcu 1945 r. Wyznaczono mu siedzibę przy Alejach NMP 41; na podwórku za spaloną kamienicą postawiono na potrzeby nowego urzędu poniemiecki barak. W tym samym czasie – 19 lutego 1945 r. – utworzono Rejonowy Inspektorat Osadnictwa, odpowiedzialny za nabór kolonistów dla zagospodarowania majątków poniemieckich. Inspektorat znalazł swoją siedzibę w budynku starostwa na ul. Sobieskiego 7.

W 1946 r. instytucja ta zmieniła nazwę na Powiatowy Komitet Przesiedleńczy. Zgodnie z dyrektywami centralnymi, powiat częstochowski miał dostarczyć kolonistów przejmujących na tzw. Ziemiach Zachodnich majątki poniemieckie. Wyznaczono w tym celu dla częstochowian 2300 nieruchomości w okolicach Białogardu, pomysł ten miał zaspokoić występujący w Częstochowie „głód ziemi”. Od lutego do czerwca 1946 r. z Częstochowy przesiedlono 5567 osób (1072 rodzin), ok. 800 osadników wróciło. Tych kilkuset powracających nie dowodziło niepowodzenia projektu. Owszem, w czasie powojennej demoralizacji, nie brakło amatorów szar-

bru; wykorzystywano w tym celu skierowania przesiedleńcze. Ale nie oni dominowali. Porażki wynikały z braku przygotowania materialnego i psychicznego do przejmowania i zagospodarowania majątku. Cóż z tego, że dostawało się w wieczystą dzierżawę murowany dom, budynki gospodarcze i kilka hektarów ziemi, skoro brakowało ziarna siewnego, podstawowych narzędzi, nie mówiąc już o maszynach i nawozach.

Przesiedleńcami z powiatu częstochowskiego zajmował się urzędujący w starostwie komitet. PUR próbował objąć opieką przepływający przez nasze miasto strumień migracji. Przez pierwsze dwa miesiące nadzorował i wspomagał obóz przy ul. Jasnogórskiej. Zderzał się przy tym nie tylko z brakiem środków materialnych na wyżywienie i leczenie wracających z jenieckich łagrów nieszczęśników. W lutym 1945 r. sowiecka Komenda Wojskowa zażądała wyznaczenia 500 „ochotników” do bezpłatnej pracy na rzecz armii sojuszniczej. Z trudem wyperswadowano ten pomysł, zastępując byłych jeńców „ochotnikami” z łapanek przeprowadzonej wśród lokalnej mniejszości niemieckiej. Dostarczanie kontyngentu siły roboczej nie było, na szczęście, zadaniem PUR, odpowiedzialność za to spoczywała na Zarządzie Miasta. PUR borykał się z innymi problemami: brakiem materialnych środków, by pomóc wędrującym przez Częstochowę ofiarom wojny. Po przejęciu przez sowiecką komendę dawnych baraków Arbeitsamtu, nie miał lokalowego zaplecza; nie wystarczał barak usytuowany na podwórku spalonej kamienicy. W październiku 1945 r. PUR wywalczył nowy przydział kwaterunkowy, zajął pierwsze piętro w kamienicy przy Al. NMP 53. W tym samym czasie uzyskał możliwość prowadzenia stałego punktu pomocowego na częstochowskim dworcu kolejowym. Przydzielono mu w tym celu tzw. „fiński domek” – drewniany barak mieszkalny, jaki Niemcom masowo dostarczała Finlandia. Ustawiony przy obecnej ul. Piłsudskiego barak, do lat 70. służył kolejarzom jako świetlica. Częstochowianie nazywali go „belwederem”.

Sprawozdania PUR informowały o skali ruchu migracyjnego. Od stycznia do listopada 1946 r. ze wschodu przybyło 508 wagonów przewożących 12 856 osób. Z tego rozładowano i rozlokowano w mieście i powiecie 62 wagony z 2104 ludźmi. Z zachodu przyjechało 1379 wagonów, przywożąc 7190 repatriantów, w większości byłych robotników przymusowych i jeńców. PUR zatrudniał 20 pracowników oraz dodatkowo trzy osoby obsługujące dworcową kuchnię, wydającą ok. 200 posiłków dziennie. Tylko w lutym 1946 dworcowy punkt etapowy udzielił pomocy 823 repatriantom, z czego 185 osób wracało z zachodu, 638 wędrowało z ziem wcielonych do ZSRR.

fol. Tomasz Bieniek



Częstochowa była ważnym węzłem kolejowym, dlatego podczas wojny stała się węzłem migracyjnym. Na zdjęciu dworzec kolejowy Częstochowa Stradom

Repatrianci otrzymywali skromną pomoc finansową oraz żywnościową. W lutym 1946 r. w punkcie dworcowym wydano 2571 porcji śniadań, 3250 obiadów i 2566 kolacji. Norma wydawanych „na drogę” posiłków przewidywała na osobę: 1 kg chleba, 0,1 kg marmolady, 1 śledź, 50 g cukru. W grudniu 1945 r. z okazji świąt wygospodarowano środki na dodatkową pomoc. W baraku dworcowym urządzono choinkę dla 120 osób. Goście otrzymali 1 kg strucla, jednego śledzia, porcję sałatki jarzynowej, porcję zupy grzybowej, a dzieci dodatkowo cukierki i jabłka. Z okazji świąt rozdano także odzież: 255 sztuk odzieży damskiej, 231 odzieży męskiej i 167 dziecięcej, przydzielonej przez prezydenta miasta z darów UNRR-y.

W tym okresie, przełom 1945/1946 r., według informacji PUR, zmalał napływ z zachodu byłych robotników przymusowych wracających do domu. Zwiększył się za to strumień zdemobilizowanych żołnierzy WP, w tym pochodzących z terenów zajętych przez ZSRR. Nadal duży był napływ Polaków ze Wschodu, wyrzucanych ze swej kresowej „małej Ojczyzny” oraz wracających z zesłania w głąb ZSRR. Dla tych nieszczęśników trzeba było szukać nowych domów. Dla części z nich przeznaczono domy odebrane miejscowym Niemcom. W dawnych niemieckich wsiach do lipca 1945 r. osiedlono 138 repatriantów (m.in. Czarny Las 68, Natolin 16, Huta Stara 32). W Częstochowie przedzielono osiedleńcom 46 obiektów mieszkalnych. Do stycznia 1947 r. na terenie powiatu osiedlono 91 rodzin (415 osób). Każdą z rodzin zaopatrzone w odzież pozyskaną z zapasów wojskowych (płaszcz, mundur, bielizna).

Występujące w powiecie przeludnienie nie pozwalało na zwiększenie osiedlania. W porozumieniu z Rejonowym Komitetem Przesiedleńczym organizowano wyjazdy na tzw. Ziemię Zachodnią. W grudniu 1945 r. zorganizowano wyjazd grupowy (650 rodzin wraz z inwentarzem żywym) na Pomorze, w okolice Białogardu i Słupska. Opłacono bilety, zapewniono prowiant na drogę (chleb biały i śledzie); transport ludzi odbywał się wagonami osobowymi, zwierząt – towarowymi. Ogółem do 1947 r. udzielono pomocy w przesiedleniu na Ziemię Zachodnią 15 384 rodzin (25 789 osób); do przewożenia inwentarza żywego użyto 450 wagonów.

Z tym wielkim, wywołanym wojną ruchem migracyjnym, łączyło się szereg indywidualnych problemów i dramatów. Docierały do punktu etapowego dzieci, których zły los oddzielił od najbliższych. Dołączano je do miejscowych sierot, umieszczając w zakładach wychowawczych. W początkach 1946 r. w zakładach miejskich przebywało 684 dzieci, 1 stycznia 1947 – 718. Większość

ośrodków opiekuńczych tworzona była przez Kościół: zakład wychowawczy dla dziewcząt (ul. Paulińska 12), zakład dla chłopców (Paulińska 2), zakład wychowawczy dziewcząt (Kordeckiego 15), zakład Magdalenek (św. Barbary 9), zakład dla niemowląt (św. Kazimierza 1). Publiczny Miejski Zakład Wychowawczy dla Chłopców mieścił się w budynku przy ul. Spadzistej 13 oraz w obiekcie ul. Przemysłowej 6, który – jak pisywano w sprawozdaniu Wydziału Opieki – nie nadawał się do tej funkcji. W sierocińcu publicznym przebywało w 1946 r. 152 dzieci. Wydział Opieki przy magistracie nie był w stanie zapewnić opieki sierotom wojennym, ani nawet oszacować skali problemu. W czasach okupacji niemieckiej na przymusowe roboty wysyłano nawet dzieci w wieku 14–15 lat, po wyzwoleniu błąkały się grupy niedorostków, szukając drogi do domu. Do PUR napływały pisma repatriantów ze Wschodu, błagających o pomoc w odnajdywaniu zaginionych w transporcie dzieciaków. Problem bezdomnych dzieci stawał się także istotnym zagrożeniem dla bezpieczeństwa, z tego względu Milicja Obywatelska zaangażowała się w tworzenie świetlic opiekuńczych. Jedną z pierwszych powstała w baraku PUR, w „belwederze” przy dworcu kolejowym. Jej organizatorem był szef I komisariatu MO Stanisław Kwec, „konspiracyjny” współpracownik „Warszyca” z KWP.

Dla władz politycznych istotniejszym problemem była niemożność identyfikacji osób zatopionych w migracyjnym strumieniu. Przesiedlenia na Ziemię Zachodnią stawały się ratunkiem dla byłych żołnierzy „podziemia”, zwłaszcza dla ściganych z ideologicznych przyczyn żołnierzy NSZ. Zdarzały się także przypadki przejmowania przez dezertersów z Wehrmachtu tożsamości byłych jeńców angielskich. Problemem była identyfikacja ludności żydowskiej, ukrywającej się przed Zagładą. Pisał w tej sprawie prezydent Częstochowy do Wojewody Kieleckiego w maju 1945 r. Do 12 stycznia 1945 r. w częstochowskim obozie przedsiębiorstwa HASAG znajdowało się ok. 5 tys. Żydów, na cztery dni przed wkroczeniem Armii Sowieckiej wywieziono część z nich na zachód w kierunku Lublina; wielu z nich udało się uciec i powrócić do Częstochowy. W styczniu 1945 r. przybyło także z Górnego Śląska ok. 1500 osób pochodzenia żydowskiego. Było więc, w końcu stycznia 1945 r., ok. 6 tys. Żydów nieposiadających dowodów osobistych. Bez dokumentów niemożliwe było formalne uregulowanie ich pobytu, uniemożliwiało to im prowadzenie działalności gospodarczej, zatrudnienie, aprowizację. Wcześniejsze dokumenty przepadły, po likwidacji getta we wrześniu

1943 r. nie było instytucji wydającej dla ludności żydowskiej akt stanu cywilnego (świadectw zgonów, małżeństw, urodzin). Blisko 6 tys. ludzi istniało w Częstochowie fizycznie, lecz żaden dokument nie potwierdzał ich istnienia. Znacznie lepsza była sytuacja formalna byłych polskich robotników przymusowych. Im, nawet nieletnim, legalistyczni urzędnicy niemieccy wydawali karty rozpoznawcze „Kennkarty”. W formalne „papiery” zaopatrzeni byli także repatrianci ze wschodu, bez nich nie mogliby wyjechać z Kraju Rad. Wydawano także zaświadczenia dla osób uwalnianych z obozów jenieckich i koncentracyjnych. Tym ostatnim przysługiwał zasiłek. Wielka improwizacja i wielki bałagan towarzyszący tworzeniu nowej administracji nowej Polski ułatwiał podrabianie „papierów” i przyjmowanie cudzej tożsamości. Dla władz organów bezpieczeństwa był to poważny problem.

W 1947 r. wielka rzeka migracji przepływająca przez Częstochowę zmieniła się w dziesiątki małych potoków. Pomoc centralna dla repatriantów ustała w 1947 r. 27 września 1947 nastąpiła likwidacja punktu etapowego, w 1948 likwidacja PUR. Dłużej, do 1949 r. działał Rejonowy Komitet Przesiedleńczy, koncentrując się na kolonizowaniu Ziemi Zachodnich ochotnikami z powiatu częstochowskiego. Dla władzy problem przestał istnieć, a spontaniczna społeczna ofiarność stała się podejrzana. Ponieważ uznano, że wszyscy Polacy, którzy tego chcieli, wyjechali z obszarów zabranych przez ZSRR, przyznano jedynie „małą furtkę”, umożliwiającą łączenie rodzin. Można było zaprosić na trzy miesiące bliskich z ZSRR pod warunkiem pokrycia kosztów ich utrzymania i zakwaterowania. Uznano także w końcu 1947 r., że kto akceptował Polskę Ludową, ten skorzystał z możliwości repatriacji z zachodu. Wobec pozostałych rozpoczęto procedury pozabawiania obywatelstwa.

Wojenny przepływ migracyjny nie wpłynął na zmianę świadomości częstochowskiej. Istotniejszym czynnikiem zmian była kolejna fala napływu, związana z budową Huty im. Bolesława Bieruta i przekształceniem miasta w ośrodek przemysłu ciężkiego. Czas wojny był epizodem, o którym raczej chciano zapomnieć. I słusznie, bo nie da się żyć normalnie, nosząc w sobie traumy pamięci o latach wielkich zbrodni. ■

Literatura

S. Rybicki, *Pod znakiem lwa i kruka*, Warszawa 1990; J. Pietrzykowski, *Łowy na ludzi. Arbeitsamt w Częstochowie*, Katowice 1968; Akta Archiwum Państwowego w Częstochowie: PKO (sygn. 31), Zarządu Miasta Częstochowy (sygn. 249), PUR (sygn. 5).

Hybrydy (14)

TOMASZ BOCHEŃSKI

We trzech usiedli na mostku, sto metrów od sklepu. Każdy miał dwa energetyki i dwie paczki chipsów. Nad rzeczką pokazywali sobie, co mają w telefonach. Przyszli wprost z rozpoczęcia roku, białe koszule szarzały w pierwszej wrześnie-owej mgle. Ich śmiech słysząc było z daleka, pewnie nie spotykali się w wakacje. Niedaleko na brzegu lasu znajduje się krzyż, za nim dwa symboliczne cmentarze z pierwszej wojny, najpierw niemiecki, potem rosyjski. Aż do rzeki dochodzi rów, zarośnięty przez drzewa, nadal dobrze widoczny, musiał mieć kiedyś ze dwa metry głębokości. I z tego okopu wyszedł ktoś z wykrywaczem metalu, ubrany w moro. Wyglądało, jakby właśnie skończył kosić mgłę. Sięgnął do chlebaka, zobaczcie, powiedział do chłopców na mostku. Znalazłem pięć guzików i dwa kawałki karabinów. Niewiele? Siedem artefaktów to mało? Śmiesz was słowo artefakt? Była tu wielka bitwa, znajdę więcej, na dowód pokazał saperkę i nóż. Chłopcy na historii przerobili już wiele wojen, ale pierwszej światowej jeszcze nie.

Powstrzymywali śmiech. Gdy odjechał terenówką i znikł we mgle, wybuchnęli. Zakopię w rowie kawałek brony. A ja zlew. Albo wannę. Ja zakopię szelki ojca. Co, szczątki ojca? – mało nie pospadali z mostka. Kiedy przestały ich śmieszyć również artefakty, popędzili na czarnych hulajnogach w stronę Leśnicy. Jechali obok siebie, z daleka identyczni, z jednej formacji, ubrani odświętnie. Białe koszule uciekły we mgłę, a reszta je goniła, cała czarna. W końcu i czern zni-

kła na górce. „Hulajnoga, piękne słowo! Ma energię z innego świata”. Tak mówił do mnie Nelu, na rumuński tłumaczył polską literaturę. I udzielił mi się wtedy w Bukareszcie zachwyt nad hulajnogą. Szkoda – dodawał Nelu – że nie mówicie hulajgłowa. Ale mówimy – hulajnoga piekła nie ma. Moglibyśmy mówić.

Mgły wrześnie-owe zwykle są bardzo lekkie, puszyste, ta również, wrześnie-owych nie można zwinąć w trąbkę ani w główkę sałaty, nawet jedzie się z dużą szybkością, chyba żeby polecieć tuż nad rzeką. W taką lekką mgłę przyszłość wydaje się jasna, wystarczy nieco słońca i rzeczy stają się dotykalne, na wyciągnięcie ręki. Pod koniec lata czas jeszcze się nie zawija i nie skręca, trzeba się spieszyć, żeby przed jesienią zdążyć z optymistycznymi przepowiedniami.



W galerii poddał mnie testowi na bogactwo, wystawa była częścią festiwalu literatury. Za małe te obrazy, do małego domu, a ja kupiłem kamienicę w centrum Wrocławia. Ukradkiem spojrzał na mnie, czy nadal chcę z nim rozmawiać. Poszliśmy do galerii tylko dla malarstwa naszego wspólnego znajomego, tylko dla trzech obrazów przedstawiających Bug. Spojrzał mi w oczy, zamówię u niego coś naprawdę dużego, trzy metry na, ale mu przerwałem. Nawet pięć na trzy nie wystarczy. W kamienicy z widokiem na wrocławski rynek chciałby patrzeć na rzekę dzieciństwa, nawet największe płótno nie ustali jednak związku mię-

dzy milionerem a dzieckiem znad Bugu. Wie Pan, że Buñuel pokazywał w Prado amerykańskim turystom tylko obrazy wielkich rozmiarów? Nie wiedział. Tęta nie miałby nic do pokazywania. Przeszliśmy do innych wielkich liczb, do za- bytkowej sali koncertowej odnowionej za miliony, do chóru przez niego finansowanego, śpiewają nawet Gomulkę, do monodramu wprost z Warszawy, pewnie sprowadzi spektakl nad Bug, następnie do festiwalu, czasem zdarzy się coś zajmującego, a potem, kiedy zdałem już test na bogactwo, zaczął mówić o narracji *Ostatniego rozdania*. Stwierdził, że szkatułki w tej powieści, sen w śnie, pijaństwo w pijaństwie, list w liście wprowadzają niepokój. Nie wiadomo, gdzie kończy się jeden sen a zaczyna następny, gdzie kończy ktoś monologować, a zaczyna mówić inny. Spytałem naiwnie, to się panu podoba? Odpowiedział, że podoba mu się przywracanie porządku, jak malowanie poziomej linii na obrazach rzeki, a nie zacieranie granic.

Na scenę poproszono wszystkich, którzy przyłożyli się do festiwalu, kilkoro mecenasów, jego także i kilka dziesiątków urzędników od kultury. Czekał na moje spojrzenie, żeby ręką nakreślić poziomą linię. Obrazy Bugu kończy nasz znajomy świetlistą kreską, jakby chciał się wydobyć z głębi rzeki. Wtedy z widowni powinienem odwzajemnić gest, ale nie mogłem. Odzywały się we mnie i mieszały głosy z ostatniego tygodnia. Ojciec powiedział dwóm nastoletnim córkom o swoim uzależnieniu, żeby przestały kupować na wyprzedzaczach. Chłopak, w środku leczenia, jego facet umieszczał nagie zdjęcia na portalach randkowych. Matka z innej rodziny odczekała do matury syna i wreszcie się rozwiodła. Dwoje studentów rozstawało się z przekonaniem, że wszystko ma swoją cenę. Dziewczyna złamana przez matkę, przez lata starała się tylko spełnić oczekiwania innych. Wszyscy uśmiechnięci, dbają siebie, o mało co nie utonęli.

Zgaszono światła i zaczął się spektakl według powieści. Ze sceny padły słowa o klęsce, pamiętałem je dobrze, teraz miały większy ciężar. Uchronić przed własną klęską ukochaną – to była kulminacja, stworzona przez widzów. Dwie osoby obok mnie płakały. Z drugiego rzędu spojrzałem do tyłu. Ławki i krzesła falowały w ciemnościach, kto mógłby uspokoić ten ruch?



Myślenie niebieskie

RYSZARD JASNORZEWSKI

W praktyce dotkliwy brak myślenia jako takiego. Ale o tym później. Do lektury książki zachęcono w zgodzie z utrwalonymi zwyczajami. Na skrzydełkach biogram autora i rekomendacje. „Prawdziwym bohaterem tej książki jest zło” – zachęca Dariusz Kortko. Chyba jednak nie tyle zło, ile pewna oryginalna konwencja mówienia o grzesznych postępach kiboli Ruchu Chorzów. Zamiast sprawozdań z sądowych procesów, wypisów ze śledztw dziennikarskich, wypowiedzi socjologów lub psychologów – opowiastka w pierwszej osobie.

Narrator *Wojen niebieskich* Marcina Pietraszewskiego jest nie tylko pierwszoosobowy, lecz również wszytkowiedzący i wszędobylski. To skleiony z wielu osób podmiot bogatego w fakty i konteksty dziennika kibola (według Pietraszewskiego pamiętnika, ale wybacmy dziennikarzowi nieznaną poetyki i niuansów słownika terminów literackich). Pieczołowita chronologia, szerokie ramy opowieści. Niewinne otwarcie: „Jesień 1994 – Jestem szczyłem, chodzę do podstawówek.” Finał bez złudzeń: „15 czerwca 2023 – Podobno byliśmy gangsterami. Te słowa kurewsko bołą”.

Wszystkie czyny mają tło społeczne. Chętnie przypomina się o tym przy okazji czynów przestępczych. Tylko niektóre dzielą korzenie z fascynacją futbolem. „Moja dzielnica jest przejebana. I ja mam przejebane. I my wszyscy chyba też” – informuje nas narrator. Jeżeli się o czymś marzy, to o piłce. Jeżeli ma coś znaczenie, to klubowy sztandar. Dzielnica R jest tam, gdzie mieszka „niebieska rodzina”, gdzie najważniejszy jest niebieski szalik: „Cwajka w Chorzowie, Bobrek w Bytomiu, Zandka w Zabrze, Lipiny w Świętochłowicach.”

Psycho Fans to wspólnota najbardziej fanatycznych miłośników Ruchu Chorzów. I zawołanie bojowe. I różne przygody, i wiele epizodów. Jak je opisać? Proponuję w skrócie, ale od A do Z.

A jak antyterroryści, których obecność w książce umożliwia wyważanie drzwi i wyciąganie z mieszkań liderów Psycho Fans – ciąg dalszy odnajdziemy pod literą „P”. B jak Baluś – poza Śląskiem miałby ksywę Piłeczka (jako dzieciak „Za balą goni na przerwach, opuszcza dla niej lekcje, harata też po szkole”). Jeden z wiodących bohaterów gawędy, w kluczowych partiach książki „mały świadek koronny”. C jak Cieślik Gerard, legenda Ruchu. W Chorzowie legendę uhonorowano kiczowatym malowidłem ściennym, którego kibole jeszcze nie

zniszczyli, gdyż nie pamiętają, co bohater muralu mówił o późnych wnukach: „Za moich czasów kibice byli normalni. Dziś zachowują się jak zwierzęta”.

D jak Derby – najlepiej Wielkie Derby Śląskie, czyli pojedynki Ruchu z Górnikiem Zabrze, składające kiboli do wyrządzania sobie pomysłowych i okrutnych krzywd wzajemnych. E jak Ekipa – grupa i rodziła zastępcza, podobno jest najważniejsza. Przejawia ambicje przestępcze. Reprezentuje bezmyślność zbiorową. F jak Flaga lub Fana – chorągiew klubowa i bojowa. Własną należy chronić i czcić, obcą zanie i cnotliwie jest ukrąść bądź zniszczyć. G jak garniturki – działacze klubu, podobno jego dobroczyńcy; lubią poklepywać kiboli po plecach, prawią im komplementy, ale się ich boją. H jak Hajs – od jego posiadania zależy pozycja w ekipie i dostęp do dóbr konsumpcyjnych. I – Ino Ruch – teza, która potrzebuje antytezy, w pierwszej kolejności mającej postać kibiców Górnika z Zabrze. W myśl niepisanej instrukcji niezwłocznie po okrzyku „Ruch, Ruch, HKS!” obiecuje się nawiązanie brutalnych relacji seksualnych z ideologicznym przeciwnikiem. J – słowo na tę literę bezpośrednio powiązane z literą wcześniejszą. K jak Kosa – konflikt między kibolami, stan wojny permanentnej, przeciwieństwo Sztamy.

L jak lekcje polskiego w gimnazjum – były nudne, ale dzięki nim Baluś miał dużo czasu, aby opracować plany podboju dzielnic, miasta, a niewykluczone, że i całego świata. M jak Matka Boska – do jej wizerunku w Piekarach Śląskich co roku pielgrzymują mężczyźni z całego regionu. Nie brakuje również kibiców. Przy okazji można załatwić klubowe porachunki: „W pobliżu bazyliki ruszają na nas (...), ale trafiła kosa na kamień”. W roli kosy tradycyjnie wystąpili sympatycy Górnika Zabrze.

N jak Narkotyki, jedno z najpoważniejszych źródeł dochodów szefów Psycho Fans. O jak okiem za oko – tak mówi kodeks kiboli. Mówi jeszcze kilka dalszych bzdur, z których najgroźniejsza głosi: „śmiercią za śmierć”. P jak przesłuchanie, dialog prokuratora z kibolem. Nakłanianie do mówienia prawdy, która może być wykorzystana przeciwko zatrzymanemu i jego kompanom. R jak Ruch Chorzów – odnotowany w tym miejscu, ale wszędzie i zawsze ponad wszystko. S jak szalik klubowy. Nosi się go zimą i latem, „jest jak paszport, jak dowód, jak przepustka”. Ś jak „Śląskie podchody”, czyli forum kibicowskie ułatwiające dyskusję o postępach w budowaniu relacji niena-



wiści między sympatykami różnych barw klubowych. T jak Team Fight Championship – międzynarodowy, a nawet elitarny turniej kiboli, transmitowany w internecie. Pojedynki pięcioosobowych drużyn (do 550 kilogramów włącznie) toczą się na ringu. Wygrywa zespół, który najdłużej utrzyma pozycję pionową.

U jak Ustawka – kultowa debata plenerowa kiboli skonfliktowanych drużyn. Miejsce spotkania jest zazwyczaj las, gdyż „Na stadionie nie ma już atmosfery”. Zasady spotkania (dla policji: grzybobrania) ustalają wcześniej przywódcy grup, najważniejszym celem jest podtrzymanie i rozwijanie fizycznych kontaktów między zwolennikami drużyn przeciwnych. W jak Wewnętrzne życie – aspekt egzystencji nieznaną bohaterom *Niebieskich wojen*. Z jak Zdrajca – „kutas, złamas, tchórz” (pozostałe epitety wyłącznie do wiadomości czytelników książki) – skruszony sprawca czynów przestępczych, współpracujący z Policją i Prokuraturą. Pragnieniem, a nawet obsesją byłych kolegów staje się ZZ, czyli Zajebista Zemsta. Ż jak żabole – sympatycy Górnika Zabrze, niesympatyczni miłośnikom Ruchu. Jedni nie mogą żyć bez drugich.

To nie koniec alfabetu, pozostaje jeszcze X, gdyż przy wydatnej pomocy środowiska kibicowskiego doszło do zmiany władzy w Chorzowie. Wszystko z mocy prawa i w zgodzie z werdyktem wyborów samorządowych. Podobno w mieście dzieli się posady zgodnie z kluczem niebieskim. Ale to już temat na inny felieton.

Marcin Pietraszewski, *Wojny niebieskie*. Wydawnictwo Agora, Warszawa 2024, s. 360.

Wciąż się na coś czeka

WOJCIECH LIPOWSKI

Lubimy oglądać, kontemplować portrety. Sylwetki, cienie kobiet, mężczyzn, zastygłe w jakimś momencie życia, szczególnej sytuacji lub po prostu w powszednich dekoracjach codzienności. Oczywiście, każde nasze spojrzenie wyzwala przy tym szereg konotacji, odsyła do repertuaru odniesień, tropów, jakie funkcjonują w myśleniu, doświadczeniu i wcale nie muszą dotyczyć portretowanego. Przy odrobinie wysiłku i szczęścia można w ten sposób dotrzeć do wiedzy o drugim człowieku, poznania historii, czasem nadać znaczenie faktom z przeszłości, teraźniejszości, bądź wszelkich rejonów osobistej biografii. W polu uwagi pojawia się także niekwestionowane zagadnienie wątpliwości, przecież zmyślenie, trudne do weryfikacji, może zdominować ostateczną wiedzę, którą otrzymujemy zapoznając się z cudzą biografią, czasem bezpośrednio nam serwowaną przez innych.

Piszemy o tym w związku z portretem szczególnym, jaki odnaleźliśmy w niewielkim, skromnym, można powiedzieć, monodramie, który napisał Zbigniew Rokita dla wyjątkowej, lubianej i oczekiwanej na scenie aktorki. Barbara Lubos, bo o niej mowa, ma szczęście. Szczęście do ludzi, których spotyka. Otrzymała tekst, w zasadzie drobinę teatralną, z której w ponad godzinę ulepiła atrakcyjne widowisko, mieniące się różnorodnością, paletą barw i możliwości odbioru. Na zakończenie 26. Letniego Ogrodu Teatralnego oglądaliśmy, w zasadzie przedpremierowo, *Kocham Cię proszę pana* sztukę wyreżyserowaną przez Roberta Talarczyka, który ostatnio tworzy spektakle kameralne, lubi bliskość świetnych artystów teatralnych, niweluje dystans między sceną i widzem. To utwór na jednego aktora i nieprzewidywalną publiczność. Dlaczego nieprzewidywalną? Można odnieść wrażenie, że odbiór spektaklu, jego wymowa, ale też forma, zależeć będzie w dużej mierze od tego, jaki obiorca zasiądzie wieczorem na widowni katowickiego Teatru Korez, bo to w jego repertuarze obecny jest ten tytuł. Spora przestrzeń pierwszego pokazu na szczęście nie zaszkodziła w przyswojeniu przedstawienia, które zapewne inaczej wybrzmi na mniejszej scenie, dla mniejszej widowni.

Spotkaliśmy zatem tego wieczoru Barbarę. Od razu skradła nasze serca, chociaż zdawało się na wstępie, iż jej historia to ko-

lejna wersja dość banalnego losu kobiety mającej na liczniku pięćdziesiąt i coś tam lat, próbującej wypełnić swoje samotne życie poszukiwaniem prawdziwej miłości, której, mimo milionów podejmowanych prób, nie udało się do tej pory znaleźć. I tak byłoby zapewne, gdyby autor osunął się w ten banał i pociągnął za sobą aktorkę. Tak się jednak nie stało, na szczęście. Dziwnie, niepokojąco, w tej mieszance ko-

medii i dramatu, brzmiał od początku sygnał przypominający monitor funkcji życiowych, jaki słyszymy w szpitalach, Barbara śpi na wielkim łóżku pośrodku sceny i ten złowrogi zegar, tykający gdzieś w jej mózgu, przejmując także i nas na widowni, bo rozumiemy, że upływ czasu nie dotyczy wyłącznie jej samotnej i pogubionej kobiety, ale wszystkich równo. Oczywiście mara znika wraz z nagłym przebudzeniem



foto Arkadiusz Gola



i śmiech płynie w stronę sceny aż do kolejnego ściemnienia, gdy usłyszymy znowu ten dziwny, drażniący dźwięk.

Historia opowiadana na scenie niewiele robi sobie z płynącego czasu. Nasza Barbara raz ma lat pięćdziesiąt, kiedy indziej jest nastolatką, by przeskoczyć w bardziej dorzały przedział własnego życia. No i ciągle chce obdarzać miłością wszystkich napotkanych kandydatów na długą drogę w dal. Każda, nawet najbardziej obiecująca próba, kończy się jednak porażką. Barbara Lubos gra całą sobą. Zawsze podziwiałem jej umiejętności pantomimiczne, tutaj posiłkowała się nimi nieustannie. Jak to robiła, że raz dyrygowała swymi dłońmi opowiadane zdarzenia niczym z partytury na pulpicie, by niedługo po tym wystukiwać bosymi stopami rytm kolejnych miłosnych wspomnień nie powalając zapomnieć o mimice twarzy przesłoniętej burzą włosów. Chciałoby się zobaczyć to raz jeszcze na małej scenie, bliżej, zajrzeć w oczy, by stwierdzić czy oprócz płomienia jest tam jeszcze miejsce na łzy żalu, że znowu się nie udało, choć tylu innym dookoła idzie świetnie. Można odnieść wrażenie, że Talarczyk zezwolił aktorce na spory margines improwizacji w ramach ustalonej formy monodramu, ram narracyjnych. Widać od razu, że spektakl powstał w żywiole, burzy doświadczeń tworzących go ludzi, czuje się temperaturę tej współpracy, prawdopodobnie niejedna scena zdarzyła się naprawdę pośród ich codziennych doświadczeń.

Nie będziemy, rzecz jasna, streszczać losów Barbary, bo każdy chętny sam musi zmierzyć się z tym monodramem w Korezie, skupimy się raczej na tym, w jaki sposób autor i reżyser skonstruowali tę opowieść, którą każdy może sobie czytać jak mu się podoba i oceniać ten sceniczny świat, jaki jawi się naszej percepcji w formie opowieści, trzeba to przyznać, atrakcyjnie i dobrze sporządzonej przez Zbigniewa Rokitę. Czas i przestrzeń spektaklu oparto na prostej naoczności. Mamy wrażenie, że bohaterka chce nas zalać od

razu oceanem doświadczeń, wszystkim, co pamięta, a nawet może po prostu zmyśla. Nic nie jest zawieszone w próżni. Jesteśmy tu i teraz: na Śląsku, pośród ludzi, lokalnych drużyn sportowych, zapomnianych podwórek, kawiarni, gdzie spotykają się sanatoryjni seniorzy, w tasiągach miejsc oraz sytuacji, które nie sposób spać. Jest swatka Irenka, panowie o różnych życiorysach, są nazwiska znane i takie, których nie pozna nigdy świat. Wszędzie tam jest Barbara, podmiot sprawczy.

Śmiejemy się z jej paplania, by zaraz zamilknąć, bo jej głos się zmienia i przypomina jakiegoś świętaka przydrożnego, który wypłakuje swe pretensje do napotkanych ludzi. Barbara Lubos perfekcyjnie, mimo nadmiaru treści, porządkuje cały ten narracyjny dyskurs i wcale się w nim nie gubi. Robert Talarczyk ciekawie stwarza kolejne wcielenia swojej bohaterki, żongluje nimi, klei bardzo zwyczajnie portret kobiety, która pogubiła się w morzu tego, co już w jej życiu się dokonało i co udało się zapamiętać a co ewentualnie jeszcze ją czeka w nieodległej przyszłości. Czas płynie, ale głos Barbary to przecież, mimo wieku, nie jest jeszcze głos nieobecności, ale jak najbardziej życia łukanego garściami, gdzie to tylko możliwe.

Przestrzeń sceny, bardzo ascetyczna, ciekawie zaaranżowana przez Adriannę Gołębiewską, nie rozprasza uwagi, raczej dopowiada i dodaje znaczeń przedstawianej historii. Inspirujące są w tej zwiędłej kompozycji (wieczorne powiewy letniego wiatru wprawiły ją w ruch) płótna z namalowaną abstrakcyjną formą, przypominające okna wychodzące na świat. Domyślam się, że to cytat z emanującego światłem, barwą malarstwa ojca Barbary Lubos autora obrazów, witraży, scenografii, znakomitego Wernera Lubosa. Światło i dobro tkwi nie tylko w kobiecie, towarzyszy również jej otoczeniu, może oddaje nastrój, staje się wcieleniem także wrażeń, obaw czy marzeń. Egzystencja ma charakter czasowy nie dziwi więc, że monodram Rokity

zawiera także elementy zdarzeń i okoliczności, w jakich powstał. Taki sposób myślenia znajduje swój wyraz w palecie atrakcyjnych chwytów, które tak podołały się publiczności. Głośny aplauz i akceptację wywoływały nie tylko fragmenty tekstu wypowiedziane po śląsku, ale też wszelkie odwołania do zjawisk lokalnych i tych znanych wszystkim z codziennych doświadczeń. Z pewnością każdy odnajdzie w coś dla siebie w obfitościach wypowiedzianych zdań. Sam korowód mężczyzn, o których opowiada bohaterka może przyprowadzić o zawrót głowy.

Dopełnieniem tego spektaklu jest światło Sergiusza Brożka. Zawsze tam, gdzie jest ten artysta kolorów, spektakl uzyskuje głębię, nastrój i swój rytm. Nie bardzo wiadomo jak to się dzieje, że światło opowiada własną historię. Z pewnością na scenie Korezu będzie można tego doświadczyć pełniej niż w obszernej przestrzeni imprezy plenerowej, ale przedsmak otrzymaliśmy sobotniego wieczoru. Można chyba powiedzieć, że Brożek trzyma rękę na pulsie sztuki i aktorów, reagując momentalnie na wszelkie zmiany nastroju, tempa, całą żywiołowość bohaterki *Kocham Cię proszę pana*.

Uwagę przykuwa także istotny element tej całości, którą zestawili Robert Talarczyk: muzyka. I nie mówimy tu o szlagierach wykorzystanych w spektaklu, nawet hicie Dalidy, który porywa ludzi do tańca, ale o autorskiej muzyce Przemysław Pankiewicza. Może widzowie Teatru Śląskiego pamiętają jego muzyczne frazy w spektaklu *Koszt życia* w reżyserii Małgorzaty Bogajewskiej do tekstu Martyny Majok. Absolwent katowickiej Akademii Muzycznej na wydziale jazzu, pianista, inspiruje swymi elektro-akustycznymi dźwiękami, gdzieś tam słychać mieszanek różnych pomysłów, które zostały nieźle osadzone w realizacji scenicznej tekstu Zbigniewa Rokity. O tym artyście z pewnością usłyszymy nie tylko w teatrze.

Barbara wciąż czeka. Siedzi, czasem słyszy puls bicia własnego serca, który budzi ją w środku nocy. Musicie do niej zajrzeć, żeby nie czuła się tak samotna, nie myślała wciąż o tym, że znajduje się w dziwnym momencie życia. Ni to starość, a już nie młodość. Nie jest w tym wyjątkowa. Czasem jawi się jako postać niejednoznaczna, innym razem abstrakcyjna. Nieważne przy tym czy pamięta rzeczy, które nie miały miejsca, czy mówi prawdę. Najpiękniejsza jest i będzie czekając na miłość swojego życia. ■

Zbigniew Rokita
Kocham Cię proszę pana
 reż. Robert Talarczyk
 Teatr Korez
 Prapremiera na Letnim Ogrodzie
 Teatralnym
 31.08.2024



Zbigniew Rokita, „Kocham Cię proszę pana”, reż. Robert Talarczyk



Zbigniew Rokita, „Kocham Cię proszę pana”, reż. Robert Talarczyk

Litymbrion i Witkacy

HENRYK SZCZEPAŃSKI

W 2006 r., po przeszło 40 latach, prof. Piotr Strążewski z podalpejskiego Lyonu nad Rodanem przyjechał do Zakopanego u stóp Giewontu, aby odwiedzić wilę swego dziadka Edmunda. Ostatni raz był tutaj jeszcze jako przedszkolak. Nie było już dziadka, ale bliskie sercu „Edmarowo” nadal było takie, jak przed laty – przytulne, zadbane i tajemnicze.

Wciąż panował tam przyjazny genius loci malarskiej i poetyckiej twórczości mistrza Edmunda Stanisława Strążyskiego vel Litymbriona, dawnego właściciela tej posesji, zaprzyjaźnionego z Mahatmą Witkacem, Brzozowskimi, Kenarami, i plejadą królewskich Orłów zakopiańskiego Parnasu – szalonych latach 30. tamtego stulecia.

„w tego świata grzędzie”

Dnia 24 listopada 2024 roku, w przeddzień 135 urodzin Edmunda Strążyskiego, jego wnuk Piotr wraz z małżonką Marzeną jako goście honorowi wezmą udział w uroczystym finisażu malarstwa i grafiki Edmunda Strążyskiego, zapoznanego katowiczana, poety, filozofa i malarza, który przyszedł na świat w domu przy ulicy dziś noszącej imię ks. Konstantego Damrota.

Znakomity gość jest międzynarodowym autorytetem w dziedzinie chemii organicznej związanym z Uniwersytetami w Lyonie, Cambridge i Bazylei. Specjalizuje się w chemii syntezy biomolekularnej. Od 2001 r. ma profesurę w Uniwersytecie Claude’a Bernarda w Lyonie.

Wystawa *Litymbrion – katowiczanie i przyjaciel Witkacego* jest eksponowana w dawnym mieszczańskim salonie z czasów *la belle époque*, obecnie zwanym Salą Witkacego (kuratorki wystawy: Natalia Kruszyna, Faustyna Noras). Wernisaż odbył się dnia 18 września 2024 r. Był upamiętnieniem 86 rocznicy tragicznej śmierci S. I. Witkiewicza.

Zwiedzających osobiście witał mistrz Stanisław Ignacy Witkiewicz, którego rzeźbiarska podobizna uświetnia progi stylowego portalu mieszczańskiego pałacu wybudowanego ponad 100 lat temu. Adres: Muzeum Historii Katowic, ul. ks. Józefa Szafranka 9.

Gazdówka Litymbriona znad Rawy

Na parę kwadransów przed południem pan profesor z małżonką znaleźli się na zboczach wzgórza z rozległym widokiem na Giewont.

– Wydawało się, że to tu mieszkał dziadek, ale staliśmy na ruinie – w resztkach opuszczonego domu. Myślałem, że zburzyli „Edmarowo”, ale coś mnie podkuśiło, aby pójść kilkanaście metrów dalej, do ostatniej zagrody, gdzie pracował ktoś w ogrodzie. Podeszliśmy. Zza płotu uśmiechał się do nas góral. Pokazałem zdjęcie moich rodziców z dziadkiem i babcią. Zapytałem, czy zna te osoby. On na nie spojrział i zawołał: „Przecież to jest Pan Profesor!”

Gdy sympatyczny gazda miał około 10 lat, jego babcia mieszkała właśnie w tym domu, przed którym teraz stali Strążewscy. Posyłała go regularnie do „Edmarowa”, aby „Państwu Profesorom podać świeże jajka”. On jako chłopak wchodził tam jak do świętego przybytku.

„To nie był zwykły dom. Tam wszystko było jakieś odświętne, ładniejsze i nadszyczone” – opowiadał góral.

Pamiętał ostatnie dni ciężko chorego „pana profesora”, leżącego na kanapie i z szacunkiem wspominał „panią profesorową”, która młodzika wprowadzała do domu, pokazując gdzie ma postawić koszyk z nabiałem. No i wreszcie powiedział, że ten dom, owszem, jeszcze stoi, tylko że ta część Pardałówki znajduje się trochę dalej.

Starym góralskim zwyczajem gwizdnął głośno na palcach i zjawił się jego syn. Poleciał, aby wskazać gościom drogę do „Edmarowa”.

Przy pożegnaniu prawie się popłakał. Strążewscy dziękowali mu za pomoc, a on im za przywołanie tak miłych wspomnień. Na koniec przestrzegł, żeby się nie przestraszyli, gdy dojadą do „Edmarowa”, bo teraz tam całkiem inny widok.

– Ten góral miał rację – potwierdza prof. Strążewski. – „Edmarowo”, ten słodki domek z moich chłopięcych snów i oryginalny zabytek zakopiańskiej architektury, wybudowany według rysunków dziadka w 1925 r., ze wszystkich stron był ciasno otoczony przez wielopiętrowe, klockowate budynki. Przypominał oazę między Sodomą a Gomorą! Z jego okien nie było już widać Giewontu!

Legenda głosi, że ten domek zbudował sam dziadek Edmund, korzystając jedynie z pomocy przygodnego cieśli, którego po skończonej robocie wynagrodził złotym zegarkiem z podwójną kopertą.

Na razie, tylko przez płot – Podziwialiśmy piękny ogród w stylu angielskim a ja przypominałem sobie, jak to było w roku 1964, gdy wte i wewte jeździłem po uliczce (wówczas jeszcze nie asfaltowanej), na moim pierwszym dwukołowym rowerku, a moi najukochańsi zasiadali na ganku pod daszkiem, albo rozmawiali spokoj-



Witkacy, portret dr. Edmunda Strążyskiego, pastel, 1928

nie w tym ogródku dość dzikim i tajemniczym, prawie jak z jakiejś bajki.

Po pewnym czasie, do ogrodowej bramki wyszła rezolutna pani, a z nią dwa groźne szczekające psy. Zapytała, czy czegoś nie potrzebujemy. Pokazałem stare zdjęcie sprzed 42 lat. Popatrzyła, a po chwili mile zaskoczona stwierdziła, że to państwo Strążyscy. A ten mały brzdąc z zębami, to ja – dodałem – a ona: A więc to chyba pański dziadek. Zapytała, czy nie chcielibyśmy do niej wpaść za godzinę na herbatę i ciastka, bo teraz musi pójść z psami na łąkę. Cały czas ścisnęła to zdjęcie jakby z przekonaniem, że nie może go już oddać. To była Ewa Matyszewska, pisarka i dziennikarka, którą ja i moja żona „w serce włączyliśmy”, a ja ją jak moją siostrzyczkę traktuję. Oddała to zdjęcie przez żelazną kratę bramy, ale dopiero wtedy, gdy dałem słowo, że zrobię dla niej kolorową kopię, a zaraz potem wrócimy na herbatę.

Na Powiślu i pod Giewontem

Od 1921 r. dziadek Edmund mieszkał w Warszawie. Jako polonista najpierw pracował w prywatnym męskim gimnazjum Karola Schultza przy Żurawiej 2, a potem od 1924 w renomowanym męskim Gimnazjum Filologicznym Karola Ludwika Lorentza, gdzie był profesorem języka polskiego w klasie IV maturalnej oraz patronem szkolnego miesięcznika „Głos Młodzieży”. Pod jego okiem swoje talenty szlifowali później popularni literaci, bracia Jerzy i Tadeusz Paczkowscy. Jurek cieszył się sławą poety wirtuoza formy satyrycznej.

W tamtych latach na Brackiej 23 – niemal naprzeciwko gimnazjum Lorentza – wraz z żoną Jadwigą mieszkał Stanisław Ignacy Witkiewicz, a dwie ulice dalej, przy Moniuszki 4 zachęcały do spotkań

wolnomularska loża „Orzeł Biały” i gabinet medytacyjny teozoficznego Zakonu „Jutrzenki”, w którym na koleżeńskich zebraniach spotykali się dawni niepodległościowcy i weterani pierwszej wojny światowej, zaciekawieni wiedzą ezoteryczną.

Z Witkiewiczami Strążyscy przyjaźnili się od 1925 r. Poznali się w warszawskim Teatrze im. Aleksandra Fredry na prapremierze awangardowego pamfletu *Jan Maciej Karol Wścieklica*, w którym dramaturg Witkacy dał upust swojej namiętności do satyrycznego odkształcania rozmaitych regularności ludzkich postaci, przedmiotów i zdarzeń.

Edmund, miłośnik Tatr i patriota Podhala, mieszkał wtedy w Warszawie, na Powiślu. Po kilku latach kupił działkę i wybudował domek w Zakopanem. Od 1931 – wraz z żoną Marią – zamieszkał tam na stałe.

Z okien jego jednopiętrowej, drewnianej „gazdówki” otoczonej kępą drzew i krzewów – Salwatoriańska 8 – już wtedy nazywanej „Edmarowo”, widać było nieco wyżej na pagórku usytuowaną willę Witkiewiczów z adresem Antałówka 5, w której rezydował Witkacy. Zwoływali się donośnym gwizdaniem na palcach. Po górskim stoku ten świst niosło jak po wodzie.

Maria Strążyńska – z zawodu romanistka, jako nauczycielka pracowała w Sanatorium Dziecięcym na Bystrem. Tam też początkowo uczył polskiego jej mąż, który potem – od 1949 r. był dyrektorem Liceum Pedagogicznego przy ulicy Sienkiewicza, a następnie aż do emerytury nauczycielem tego przedmiotu i zagorzałym popularyzatorem teatru uczniowskiego w szkole Antoniego Kenara.

– Moi rodzice przyjaźnili się ze Strążyskimi. Bywali u nich w „Edmarowie”, a i oni często nas odwiedzali wspominała Urszula Kenar, córka Haliny i Antoniego, scenografka współpracująca m.in. z Teatrem Wyspiańskiego w Katowicach.

Po wojnie dr Strążyński ponownie podjął pracę w zakopiańskim liceum kształ-

cącym młodych artystów. Jednym z jego uczniów był Władysław Hasior, który utrzymywał kontakty z rodziną profesora i do ostatnich swych dni z atencją mówił o jego dorobku artystycznym.

Mistrz Edmund malował już wczesną młodości, ale wtedy traktował to jako hobby i pożyteczną rozrywkę. Dopiero jako emeryt bez reszty poświęcił się tej pasji. Recenzentem jego dzieł był wybitny artysta, czołowa postać malarstwa awangardy – Tadeusz Brzozowski (1918–1987). On odkrył talent malarski Strążyskiego i zorganizował ekspozycję jego prac w zakopiańskim Biurze Wystaw Artystycznych.

– Przyjaźniliśmy się od 1955 r. Maria i Edmund byli bardzo uroczymi ludźmi. Pani Maria okazywała mężowi wiele czułości, zawsze zwracała się do niego: Edziku. Z dużym sentymentem wspominają ich moi synowie Wawrzyniec i Joachim – mówiła autorka popularnych ilustracji i grafik Barbara Gawdzik-Brzozowska, żona Tadeusza, która z urodzenia jest Katowiczką. Przyszła na świat w kamienicy przy Mikołowskiej 11. Była uczennicą szkoły Emilii Plater przy Szafranka 5. Nieopodal jej szkolnego podwórka, jeszcze 30 lat wcześniej mieściła się fabryka należąca do Ludwika Katza, dziadka Edmunda Strążyskiego. W domowym archiwum Brzozowskich zachowały się dwa portrety Edmunda namalowane przez Witkacego.

Przypadli sobie do gustu i do końca zostali przyjaciółmi. Po śmierci Edmunda, Tadeusz Brzozowski napisał wzruszający i dobrze charakteryzujący przyjaciela nekrolog. Opublikował go na łamach „Tygodnika Powszechnego” z dnia 13 maja 1973 r. Zawiera informacje nie ujawniane w innych źródłach, a poza tym jest napisany bardzo oryginalnie. Przez szereg lat pełnił rolę jedynej oficjalnej noty biograficznej zakopiańskiego teozofa, poety, polonisty i rysownika.

Grobowiec Edmunda i jego żony Marii z Lipińskich znajduje się na cmenta-

rze parafialnym przy ulicy Nowotarskiej w Zakopanem. Góruje nad nim skalny obelisk z inskrypcją: „Całe życie krzewili idee humanistyczne dobra prawdy pokoju”.

Dzieciństwo nad Rawą

Narodziny, ząbkowanie, kinderland

Edmund Rappaport (od 1921 r. Strążyński) urodził się w Katowicach jako pierworodny syn dyplomowanego inżyniera Leona Rappaporta, absolwenta wydziału fizyki i chemii Uniwersytetu w Lipsku. Jego matką była Emma Rappaport z domu Katz. Na co dzień młodzi Rappaportowie mieszkali w Zawierciu, gdzie przedsiębiorczy Leon, kompetentny menadżer z powodzeniem zarządzał tamtejszym oddziałem górnośląskiej fabryki swego teścia. Był też właścicielem dużej firmy spedycyjnej, dobrze prosperującej na pograniczu zaborów rosyjskiego i niemieckiego. Wolne dni spędzali u dziadków w willi i ogrodzie przy Warszawskiej.

Chłopczyk, któremu nadali imię Edmund, przyszedł na świat w domu swego dziadka Ludwika Katza, właściciela fabryki papy i asfaltu. Jej hale znajdowały się na podmiejskiej Letohastrasse 10 (obecnie Damrota). Dziś na tej posesji – oznaczonej jako Krasińskiego 2 – mieści się Zakład Doskonalenia Zawodowego.

W południowej części fabrycznej parceli, pomiędzy dzisiejszą Krasińskiego i Przemysławą (Damrota 12–14) wznosiły się budynki mieszkalne, należące do właściciela firmy.

Z aktu urodzenia Edmunda Rappaporta wynika, że to właśnie tutaj, w dniu 25 listopada 1889 r. przyszedł na świat późniejszy filozof, poeta i rysownik dożgonie zaprzyjaźniony z filozofem, malarzem i dramaturgiem Stanisławem Ignacym Witkiewiczem, czołowym portrecistą międzywojennej Polski, któremu katowiczanie jako pierwsi na świecie wystawili spiżopodobny pomnik przed wejściem do mieszczańskiego pałacu przy ul. ks. J. Szafranka 9.

Posesję upamiętnioną dziecięcym poikiem i kołyską małego Edmunda (rocznik 1889) z rzeźbiarskim bliźniakiem jego przyjaciela, wystawionym w 2007 r., łączy około 160 metrów bieżących trotuaru, ułożonego wzdłuż murów katowickiej Świątyni Polihymnii, za jaką uchodzi Akademia Muzyczna im. Karola Szymanowskiego.

W rymowanych strofach, na pierwszy rzut oka przypominających wpis do sztambucha pensjonarek, ale po namyśle także złotą i powabną myśl filozofów, Mahatma Witkac zwraca się do Litymbriona:

Ach, pomyśl także, gdy mnie już nie będzie,
Żeśmy tu trwali duchem tuż przy sobie
Jak dwa kwiateczki w tego świata grzędzie,
I Tyś był we mnie i ja troszku w Tobie.

Stanisław Ignacy, przedstawiający się także jako Mahatma Ignac, był bratnią



fot. arch. dom. Strążyskich

Z Giewontem w tle: Strążyscy i Strążewscy – trzy pokolenia w ogrodzie dziadka Edmunda, Zakopane 1964

duszą Edmunda, którego poufale nazywał Litymbrionem lub Tymbeuszem.

Bezgrzeszne lata polonisty

Leon i Emma – pierwotna córka Katzów – pobrali się w Katowicach. Tutaj powitali pierwsze dziecko. W lutym odbył się ślub młodych Rappaportów, a w listopadzie wnieśli swego potomka do świątyni, gdzie został obrzezany. Obydwie uroczystości celebrowano jeszcze w starej synagodze u zbiegu dzisiejszych ulic Słowackiego i 3 Maja. Towarzyszyła im najbliższa rodzina i grono przyjaciół czczących wydarzenie tradycyjnym kubkiem wina. Byli wśród nich dziadkowie Rappaportowie z Warszawy oraz dwaj katowicki kupcy Isaac Frej oraz Hermann Dombrowski – radni miasta Katowice.

Wspólnie z nowożeńcami bawiło się liczne rodzeństwo panny młodej – jej szesnastoletni brat Józef i najmłodsza siostra Wanda, która skończyła dopiero 7. wiosnę. Dorosłe siostry Emmy – Felicita i Teresa – wystąpiły w towarzystwie swych przyszłych mężów Eugeniusza i Bertolda Böhmów, którzy potem zasłynęli jako wybitni ślascy wydawcy i drukarze.

Zawiercie było wówczas niewielką osadą fabryczną pozbawioną cywilizacyjnych komfortów. Dziadkowie zaproponowali, aby malutki Edzik z rodzicami zamieszkał w ich ekskluzywnej willi przy ulicy Friedrichstrasse 5 (obecnie: Warszawska 7).

Tak więc, pierwsze lata życia mały Mundzio spędzał u babci Emilii Katzowej, biegając w pobliżu starej huty nad rozlewiskiem Rawy, spacerując z dziadkami obok pięknych nowoczesnych hoteli i restauracji, bądź też oglądając huczne jarmarki na katowickim Rynku. Z upodobaniem przyglądał się ogromnym parowozom wtaczającym się na pobliski dworzec kolejowy. Czasem słuchał popisów konszabelantów, muzykujących w restauracyjnych ogródkach. Trochę ze zgrozą a trochę z ciekawością, podglądał zięjące ogniem i dymem fabryczne hale dziadkowej fabryki, w której snuły się cuchnące chmury szczypiących w oczy oparów.

Nad źródłami polskiej Warty

Gdy Edmund podrośł, z tatą i mamą zamieszkał w Zawierciu. Jego rodzice z urodzenia byli Izraelitami, ale w ich domu mówiło się po polsku. Należeli do grona ludzi zamożnych i wykształconych. Jeszcze w okresie dzieciństwa spędzonego w Warszawie przywykli do polskich zwyczajów i ulegali stopniowej asymilacji. Językiem polskim swobodnie posługiwali się także dziadkowie Edmunda, którzy do 1875 r. wraz z Emmą mieszkali w Warszawie.

Na jurze krakowskiej, nie po raz pierwszy, ale już na co dzień dorastający Edmund, przez rodziców nazywany Edzikiem, spotykał się z Polakami. Nie wykluczone, że

właśnie wtedy w jego świadomości zaczęło kiełkować jakieś ziarenko sentymentu dla polskiej mowy, które po latach zdecydowało o podjęciu studiów polonistycznych, stopniowej polonizacji, a w konsekwencji o przyjęciu nowego, polsko brzmiącego nazwiska.

Jako dwunastolatek zamieszkał w Warszawie, u dziadków ze strony ojca. Babcia Maria Rappaportowa wywodziła się z Rawskich. Dziadek Abraham był zamożnym kupcem. Tam Edmund spędził jednak zaledwie jeden rok szkolny. Był dzieckiem inteligentnym i uzdolnionym, dlatego rodzina zdecydowała, że powinien kształcić się w szkołach o poziomie wyższym niż ten, jaki wówczas oferowały warszawskie gimnazja nadzorowane przez carskich kuratorów. Przez kilka lat pobierał naukę w szkołach średnich Wrocławia, ale ostatecznie maturę zdał w Krakowie.

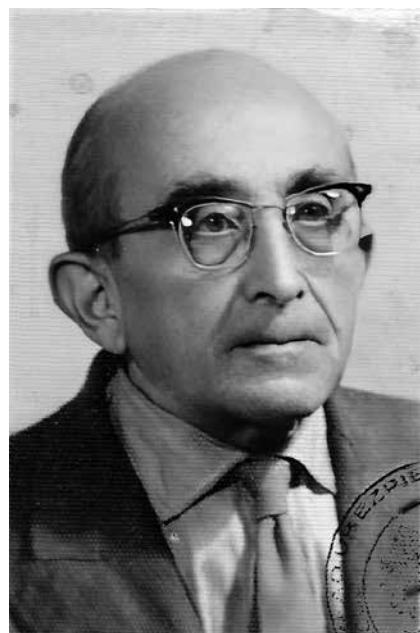
Dzięki swojej matce Emmie, miał także rozległe koneksje rodzinne w Europie. Przez jednego z kuzynów, Fryderyka Pringsheima, był spowinowacony m.in. ze słynną Katią Mann, żoną Tomasza, autora *Czarodziejskiej góry*. Babcia Edmunda – Emilia żona Ludwika, pochodziła ze starego rodu Krügerów, wywodzących się z podwrocławskiego „Schloss Goldschmieden” (obecnie: Złotniki), gdzie w 1865 r. prof. Carl Löwig wybudował jedną z najstarszych śląskich fabryk chemicznych.

W okresie międzywojennym i po II wojnie światowej kuzyni Edmunda, ciotki i wujowie mieszkali we Francji, Anglii i USA.

Edmund odwiedzał międzywojenne Katowice. Gościł w domu wujostwa Böhmów przy Mickiewicza 16. Zasłużeni dla śląskiego drukarstwa bracia, nad Rawę przenieśli się z Moraw. Wydawnictwo i drukarnie uruchomili w roku 1898. Po zakończeniu powstań śląskich i plebiscycie, pozostali w Katowicach. Wydawali m.in. naukowe czasopismo „Oberschlesien”. Ich firma funkcjonowała aż do wybuchu II wojny światowej. Podczas okupacji trafili do hitlerowskich obozów zagłady. Ocalał jeden z ich synów, potem zamieszkujący w USA. Na katowickim cmentarzu przy ulicy Kozielskiej znajduje się grób Josefa Katza, jedynego syna Emilii i Ludwika, który zmarł mając lat 17. Edmund był jego siostrzeńcem.

Z Polski i do Polski

Już od najmłodszych lat rodzice dbali o staranne i wszechstronne wykształcenie Edmunda. Najpierw pobierał nauki u pedagogów domowych. Dopiero po przeprowadzce do mieszkających w Warszawie dziadków Rappaportów, pod koniec lata 1902 r. rozpoczął naukę szkolną jako uczeń III klasy tamtejszego IV Gimnazjum Państwowego. W szkołach carskich obowiązywał wówczas język wykładowy rosyjski, a Polacy coraz gwałtowniej domagali się nauki w języku ojczy-



dr Edmund Strążyński, Zakopane 1971

stym. Uczniów karano różgą i karcerem. Było tak, jak we *Wspomnieniach niebieskiego mundurka*.

W 1904 r. zamieszkał nad Odrą, we Wrocławiu, w rodzinnych stronach swojej babci Emilii, gdzie najpierw ukończył kurs w Private höhere Lehranstalt Dr. Karl Mittelhaus (wyższej szkole przygotowawczej Dr. Mittelhaus) przy Neue Gasse 11 (obecnie: ul. Nowa). Ten zakątek uchodził za polską enklawę z siedzibami ówczesnych organizacji polonijnych.

Już po roku nauki u Mittelhaus, Edmund został uczniem najlepszego w mieście ewangelickiego Gimnazjum św. Magdaleny. Mieściło się wówczas przy ulicy Szewskiej, *vis a vis* monumentalnej gotyckiej świątyni ze słynnym średniowiecznym portalem (obecnie: Katedra Kościoła Polskokatolickiego). Tam w 1907 r. ukończył klasę VII.

W roku szkolnym 1907–1908 już prawie osiemnastoletni Edmund znów znalazł się nad Wisłą, ale tym razem w Krakowie. Ostatnią gimnazjalną klasę kończył w słynnym „Nowodworku”, czyli gimnazjum św. Anny, w którym kiedyś nauki pobierał Jan Sobieski, późniejszy król Polaków. Gdy w maju 1908 r. w szkolnych ogrodach u stóp wawelskiego wzgórza pachniało bzami i kwitły kasztany, Edmund Rappaport ścisnął pod pachą świadectwo dojrzałości, uzyskane w renomowanym polskim gimnazjum.

W związku z katowickimi proveniencjami Edmunda wypada przypomnieć, że w roku następnym, z podobnym certyfikatem, mury tej uczelni opuścił późniejszy dowódca powstań śląskich i wieloletni wojewoda śląski dr Michał Grażyński.

Zaraz po wakacjach 1908 r. młody Rappaport, jako słuchacz zwyczajny, zapisał się na Wydział Filozoficzny Uniwersytetu Jagiellońskiego. Jego akademicką karierę wyróżniały meandryczne zwroty. Przez cztery pierwsze semestry, podob-



Prof Pierre Strazewski (Piotr Strażewski)

nie jak ojciec i dziadek Ludwik, poświęcił się studiowaniu chemii. Dla zgłębnienia sekretów tej nauki przeznaczył też piąty semestr, przez rok studiując na Uniwersytecie w Lipsku. Potem wrócił w szacowne progi krakowskiej Alma Mater ale po to, aby przez ostatnie trzy semestry studiować – historię literatury polskiej!

Wykładał ją wtedy prof. Ignacy Chrzanowski, autor znakomitego podręcznika *Historia literatury niepodległej Polski*, spowinowacony z Joachimem Lelewelem i Henrykiem Sienkiewiczem.

Pod kierunkiem prof. dra Witolda Rubczyńskiego, etyka i historyka myśli filozoficznej, popularyzującego tezy filozofii konsolacyjnej, a później aktywnie walczącego o polskość Śląska i kresów zachodnich, Edmund Rappaport przygotował dysertację zatytułowaną *Wacław Potocki jako satyryk*. Zdał obowiązujące egzaminy z filozofii oraz historii i literatury polskiej i uzyskał promocję na stopień doktora filozofii. Stało się to dnia 11 lipca 1914 r. – na parę tygodni przed wybuchem pierwszej wojny światowej.

Pisarz i poeta

Drukiem rozprawę doktorską Edmunda Rappaporta opublikowało Wydawnictwo Gebethnera i Wolfa; ukazała się już po zakończeniu działań wojennych, w czternastym tomie serii „Prac Historyczno-Literackich” z 1920 r. Wcześniej w tym wyborze wyszły prace: Stanisława Pigonia, Wacława Borowego, Kazimierza Chodynickiego i innych wybitnych badaczy.

Prace badawcze i studia nad twórczością satyryczną siedemnastowiecznego pisarza, konwertyty, myśliciela, społecznika i polityka nie były dla Rappaporta sprawą przypadku. Potocki był mu bliiski swoim temperamentem, rozległymi zainteresowaniami i nieszablonywym *curriculum vitae*. Cenił go za to, że zobiektywizował i „znakomicie wzbogacił” wiedzę o życiu Polaków tamtego stulecia.

Rozprawa o pisarstwie satyrycznym Potockiego nie była debiutem Rappaporta na półkach księgarskich. W 1911 r., a więc w czasie, gdy wciąż jeszcze słuchał przede wszystkim wykładów z chemii, również u Gebethnera i Wolfa wydał

tom wierszy zatytułowany *Świt*. Złożyły się na niego cztery cykle poetyckich refleksji: *Na rozdrożu*, *Pieśń mojej doli*, *Chrystus przeszedł* oraz *Świt*. Pisał tam m.in.

Przyszedł do mnie wieczorną raz porą
smutny grajeł —
Na skrzypkach drżała pieśń skrzydlata...
Smutny grajeł —
duch czysty, a dumny pokorą
nie z tego świata...

Grał mi ciche, a rzewne piosenki
— dziwny grajeł —
dźwięczały utajonym płaczem...
Dziwny grajeł —
szczęśliwy bólem swojej męki,
życiem tułaczem...

W lirykach przepełnionych młodzieńczą zadumą i wystrojonych na dekadencją nutę, Rappaport sformułował swoje religijne credo: „wierzę, iż przyjdiesz kiedyś Chryste po mnie / i czyhające podepszesz Zło”.

Po drugiej wojnie światowej – już jako Edmund Strążyński – dawny student chemii, filozofii i polonistyki napisał też *Przewodnik po Poroninie*, gdzie w czasie okupacji ukrywał się przed hitlerowskimi antysemitami.

W jego osobie Katowice mają mistrza pióra! Wszystkie publikacje zapomnianego literaturoznawcy i poety, który dzieciństwo spędził w domu przy Warszawskiej 7 znajdują się w zbiorach Biblioteki Śląskiej. Zostały zapisane w młodopolskim stylu, trochę przypominają Asnyka, a trochę Wyspiańskiego, ale zniewalającym ich atutem jest szczerść i bezpośredniość poetyckiego wyznania. Są świadectwem nieprzeciętnej wrażliwości religijnej i etycznej autora, który we wspomnieniach najbliższych przetrwał jako człowiek o pogodnym usposobieniu, wielkiej wyrozumiałości dla słabostek bliźniego i erudyta rozmiłowany w literaturze staropolskiej.

Żytecki o Witkacym

Po 1945 r. w Katowicach, obfitym źródłem wspomnień i anegdot o przedwojennej Polsce był Edward Żytecki (1893–1982), jeden z wybitnych reżyserów katowickiego teatru. Jako aktor debiutował wkrótce po zakończeniu I wojny światowej.

Z Witkacem poznali się w Zakopanem w 1920 r. na jednej z koleżeńskich biesiad aranżowanych w willi „Łada”. U boku Stasia Edward uczestniczył w przygotowaniu formistycznych spektakli wystawianych w salach hotelowych „Morskiego Oka” przy Krupówkach, m.in. *Wariata i zakonnicy*, a wiersze Mahatmy Ignaca recytował przed publicznością podhalańskiego „Sokoła”.

Po zakończeniu II wojny Żytecki zamieszkał w Katowicach. Jego przyjaciel zginął tragicznie we wrześniu 1939 r. Edward o nim nie zapominał, a jedno-

ześnie na nowo odkrywał miasto nad Rawą, które kiedyś przed wojną znał tylko z przypadkowych relacji Witkacego.

W swojej katowickiej garsonierze na honorowym miejscu obok innych osobistych portrecików eksponował własną pastelową podobiznę w formie tradycyjnego portretu (70x50 cm). Wyszła spod ręki Mahatmy Witkaca. Oprawiona w ramkę, przetrwała lata okupacji i była najważniejszą ozdobą w jego katowickiej garsonierze. Obecnie jako dzieło i pamiątka znajduje się w zbiorach Muzeum Teatru Narodowego w Warszawie.

Witkacy w Katowicach miał swoich przyjaciół i klientów firmy portretowej. Jego modelkami były m.in. pani mecenasowa Maria Grabska, a także legendarna Asymetryczna Dama „Eugenia Kuźnicka, *primo voto* – Wyszomirska, *secundo voto* – Stopkowa, *tertio voto* Kuźnicka” – on ją malował, ona jego admiraowała. Po wojnie mieszała w Katowicach przy ul. Zaborskiej 5.

Dobre znajome Stasia, z jego niezwykłą małżonką Jadwigą – na czele – zwykły o nim mawiał: „Anioł, nie Belzebub!”. On sam swoje sekrety ujawnił na stronach *Nienasyceńca*.

W 1931 r. sportretował Wojciecha Korfantego.

W Katowicach Mahatma Witkac zwieźdzał przodki i chodniki kopalni „Ferdynand”, a z lotniska na Muchowcu, po raz pierwszy w życiu poleciał aeroplanem do Warszawy.

Latem 1938 roku sportretował kilka uroczych i osobliwych piękności ziemi śląskiej, a w Domu Oświatowym przy Francuskiej 12 wygłosił prelekcję pt. *O dziwnych zбочenaniach umysłu ludzkiego*. Jego słuchaczami było grono tutejszych myślicieli Polskiego Towarzystwa Filozoficznego. Na uwagę zasługuje, że dysputy uczonych mężów odbywały się pod dachem nowoczesnego Domu Oświatowego przy ulicy Francuskiej, a więc około 50 metrów bieżących od miejsca, na którym w 69 lat później wystawiono Witkacemu pierwszy na świecie pełnopostaciowy realistycznie wymodelowany pomnik!

Żytecki miał o czym opowiadać i co wspominać.

Jego warszawskie, i zakopiańskie wspominki przetrwały w pamięci bohemy, spotykającej się najpierw w „Cyganerii” przy Staromiejskiej, a potem w „Marcholcie” przy Warszawskiej. Witkacemu i Litymbrionowi w tych publicznie zakazanych reminiscencjach przypadało miejsce zaszczytne i poczesne.

W tamtych latach, oficjalnie aż do czasów odwilży politycznej 1956, byli egzemplifikacją zdegenerowanych mieszcuchów i birbantów, tłustym drukiem wyosłonych w „librorum prohibitorum” socrealistycznej cenzury. Na sceny teatralne i półki księgarskie wrócili dopiero w latach 60. ubiegłego stulecia.

Śląski problem numer 2

ANDRZEJ JARCZEWSKI

Wyobraźmy sobie system energetyczny, złożony ze stu nowoczesnych, niezależnych elektrowni. Każda z nich pracuje najlepiej, jak można. Każda osiąga maksymalną sprawność i niezawodność, ale cały system ma sprawność niewielką i działa zawodnie. Bo – fetyszyzując „niezależność” – zapomniano o jednym szczegółu, nieistotnym z punktu widzenia każdej elektrowni z osobna, a decydującym o jakości pracy całego systemu. Nie zadbano o synchronizację.

Podobnie działa nasze szkolnictwo na wszystkich poziomach. Uczelnie pracują dobrze, a przynajmniej tak twierdzą. Co z tego, skoro system kształcenia wytwarza niezsynchronizowany z potrzebami gospodarki chaos na rynku pracy?

Aspekt ilościowy

W poprzednim numerze naszego miesięcznika omówiłem **Śląski problem numer 1**, czyli kwestię demograficzną w aspekcie ilościowym. Zaprezentowałem tam (na podstawie danych GUS) infografikę, z której wynika, że za kilka pokoleń w naszym województwie nie będzie już ani Ślązaków, ani Goroli. Na tym polu pozostanie ściernisko, które jednak ktoś nawiezie, zaorze, po swojemu obsieje i zrobi tu... „San Francisco”.

Całkowita (pod względem etnicznym) wymiana ludności nie oznacza wyludnienia i upadku gospodarki. Ktoś przecież zawsze będzie się kręcił po mieście, coś będzie montował, coś będzie demontował. Nasze mieszkania raczej nie opustoszeją. Nie wiemy tylko, kto je zajmie.

Aspekt jakościowy

W sierpniu Uniwersytet Jiao Tong kolejny raz opublikował „Listę Szanghajska”, ilustrującą poziom nauki w różnych krajach. Wśród tysiąca najlepszych uczelni – na dalekich pozycjach osiem polskich i ani jednej z województwa śląskiego.

Jesteśmy silni w polemicznych bojach o pietruszkę, ale cierpimy na lekki niedobór noblistów w nauce. Chwalimy się „epokowymi” osiągnięciami uczonych, ale za indywidualnymi sukcesami nie idzie ekspansja gospodarcza. Czyżby dlatego, że jesteśmy głupszy? Nie. Raczej dlatego, że system kształcenia nie jest zsynchronizowany z tworzeniem nowoczesnych miejsc pracy. Nie znamy – z należytym wyprzedzeniem – odpowiadających potrzeb kierunków kształcenia zawodowego. I nie znamy uzdolnień młodzieży, bo nie bada się tego w sposób systematyczny i powszechny.

Rezultat taki, że byle kto otrzymuje dyplom byle jaki, zatrudnia się byle gdzie i robi byle co za byle ile.

Przykład sportowy

Jedyny złoty medal olimpijski przywiozła z Paryża zawodniczka, uprawiająca wspinaczkę sportową. W potrzebnym tu kontekście przypomnę też złoty medal, z poprzedniej Olimpiady (Tokio) w sztafecie mieszanej 4x400 metrów. Z dawniejszych czasów na pamięć zasługują rekordy świata, bite seryjnie przez nasze biegaczki na 100 metrów przez płotki.

Dlaczego wybrałem te konkurencje? Ano dlatego, że były to zupełnie nowe sportowe wynalazki i na początku można było względnie niewielkim wysiłkiem organizacyjnym wspiąć się na szczyt. Po kilku latach widzimy, że sam talent to za mało. Kto pierwszy skorzysta z nowego trendu, ten zbiera premie za przysłowność umysłu, za innowacyjność, za nowatorstwo. A ostatnich gryzą sumienia. Bo mieli talenty, ale je zmarnowali.

Energia idzie na północ

Szanownym kolegom górnikom (piszę „kolegom”, bo sam byłem górnikiem) życzę bezpiecznej pracy zarówno w sensie BHP, jak i stabilności zatrudnienia. Ale życzeniami obejmuję tylko górników i hutników. Nie ich synów. Młodzież powinna zdobywać zupełnie inne zawody. Energetyka – zarówno wiatrowa, jak i atomowa – przenosi się nad Bałtyk, a to oznacza, że cały energochłonny przemysł też wkrótce wywędruje na północ.

Śląska gospodarka musi się więc przeorientować. Węgiel zastąpić intelektem (prawdziwym i sztucznym), a produkty tego intelektu umieć sprzedawać.

Odwrotne przemiany przeżyliśmy na Śląsku kilka pokoleń temu. Ciężki przemysł lokowano tam, gdzie były źródła energii. To samo w latach 1960. w PRL, np. w Koninie, gdzie wybudowano energochłonną hutę aluminium tylko dlatego, że w pobliżu rozpoczęła się eksploatacja taniego węgla brunatnego. Ograniczenie wydobycia natychmiast zamknęło niektóre elektrownie, hutę i wiele zakładów.

Ślad węglowy

Już w tym roku zaczyna obowiązywać dyrektywa ESG, wprowadzająca nowe ciężary, w tym szczegółowe wyliczanie śladu węglowego. Przedsiębiorstwa będą musiały ujawniać 1100 parametrów, tzn. własnych słabości, przez co szybko zostaną rozpracowane przez obcą konkurencję.

Ja mogę uważać, że ESG jest szkodliwe dla Śląska, ale nie zmieni to faktu, że lekceważenie ESG wykluczy fir-

my z rynku finansowego (bankom nie będzie wolno kredytować produkcji). Wykluczone będą też wyroby, które ciągną za sobą ślad węglowy wyższy niż z sufitu brane wskaźniki. A później będzie za późno na płacz. To wszystko odbywa się powoli, w białych rękawiczkach. Żadnej przemocy. To prawo już obowiązuje!

Ostatnia rezerwa strategiczna

Proste rezerwy gospodarki zostały wyczerpane. Na tle Europy nasz rozwój wygląda nieźle, a nawet bardzo dobrze. Tyle że gospodarka Europy podupada i raportowanie ESG tego nie poprawi. Przeciwnie – akceptując zysk ujemny w imię ideologii – dobije gospodarkę, choć stworzy tysiące wysokopłatnych miejsc pracy w policji myśli, czyli ESG. To też przerabialiśmy: POP w każdym zakładzie pracy. Skończyło się rewolucją i wyprowadzeniem jacejek PZPR. Ale koszty społeczne (jako sumaryczny rezultat zysków ujemnych) były ogromne.

Pozostaje więc sięgnąć do rezerw nieoczywistych. Takich jak prognozowanie rozwoju i synchronizacja kształcenia i przyszłego zatrudnienia. Rzecz jasna – nasza przyszłość jest nieprzewidywalna w szczegółach, ale ogólne trendy są dość oczywiste. Dla Śląska będą to następstwa dekarbonizacji, rozumianej nie tylko jako zamykanie kopalń, ale również jako głęboka korekta modelu gospodarki.

Cała sztuka w przekładzie tej wiedzy ogólnej w zbiór decyzji szczegółowych. Znamy przykłady wielkich sukcesów w tej dziedzinie (Japonia, Korea Płd., Tajwan, Chiny itd.). Znamy też przykłady przeciwnie. W nadmiarze dostarcza ich Afryka i – coraz bardziej – Europa.

Trudne problemy, a do takich należy przeformułowanie paradygmatu gospodarczego naszego województwa, nie mają prostych rozwiązań. To jest zadanie dla nauki i polityki. W gazecie możemy tylko przypomnieć dobre doświadczenia, zdobyte na tym polu. Na przykład to, że latach dziewięćdziesiątych prężnie działał Międzygminny Ośrodek Doradztwa i Orientacji Zawodowej (Gliwice, Zabrze, Knurów, Pyśkowice), który wypracował metodę monitoringu zawodów deficytowych i nadwyżkowych, stosowaną od roku 2006 w całej Polsce. Ale czasy się zmieniły. MODiOZ został zamknięty i dziś nikt nie monitoruje monitoringu. System się rozsynchronizował.

Mała, zatarta, niebieska pieczętka, czyli o tzw. „zbiorach zabezpieczonych”

JAN MALICKI

Tę książeczkę kupiłem na aukcji internetowej, bo zainteresował mnie autor, tytuł i rok wydania: „Zygmunt Izdebski, *Rzeka Odra. Zagadnienie prawa narodów*, Katowice 1946”. A jeśli była ona wydana przez Instytut Śląski, to tym bardziej była dla mnie ważna, gdyż ukazała się zaledwie na trzy lata przed zakończeniem działań naukowych tej zasłużonej instytucji pod jej własnym szyldem, a momentem włączenia jej do Śląsko-Dąbrowskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Przypomnijmy przy tej okazji, że decyzja ta zamykała powojenny okres prób spontanicznego powrotu do sprawdzonych form działań, rekonstrukcji przedwojennego modelu kultury intelektualnej i długiego procesu zastępowania jej nowymi, podobnymi instytucjami, których znakiem rozpoznawczym była wszechdominująca wówczas kategoria „prawie, ale...”. Przypomnijmy, że w 1945 reaktywowano istniejący w Katowicach od 1934 roku Instytut Śląski wraz z oddziałami we Wrocławiu, Kłodzku i Cieplicach Śląskich. Oddział Wrocławski trzy lata później podporządkowano Instytutowi Zachodniemu z Poznania. Szło nowe.

Jest to książeczka niewielka, niemal broszura, wydana na kwaśnym papierze, a więc z góry skazana na zniszczenie. Wierzę jednak, że skazana na swój los wyłącznie przez zacytowanie. Jednak ten egzemplarz pozostał. Być może przez małą, niebieską, nieco zatartą pieczętkę „Książnica Księgozbiorów Zabezpieczonych”. W tym momencie zaczyna się fascynująca opowieść o losach książek, które przez zmienne koleje wojenne i powojenne skazane zostały na autentyczne zatrącenie, zarówno pojedynczych egzem-

plarzy, często jednak także całych unikatowych księgozbiorów. I to jedynie z tego względu, iż należą do innego, a więc wrogiego kręgu kulturowego.

Nie jestem pesymistą twierdzącym, iż to naturalna kolej rzeczy, skoro od zawsze znajdzie się jakiś lejtnant wrogiej armii, by – jak pisał siedemnastowieczny wydawca *Rajskiego Ogródca* Jana Arndta – „śliczną książeczkę wrzucić do ognia i spalić. Żalowała tego gospodyni ze łzami, że się Pan Lejtnant tak źle obchodzi z tak dobrą i zaczął książeczką”. Trzysta lat później, już w naszych czasach, spłonęła na stosie w Gdańsku *Harry Potter*, a wojny ani lejtnantów wszak wtedy nie było. Czyżby więc „powtarzający się cykl tworzenia i rozproszenia, rozpadu i odbudowy okazuje się normą historyczną”? – jak twierdzą Andrew Pettegree i Arthur der Weduwen, autorzy pracy *Biblioteki. Krucha historia*, czy jest to li tylko usprawiedliwienie dla Monteskiuszowych troglodytów, których współczesnym symbolem jest pojemnik na gruz z napisem „Makulatura”?

W czasach apokaliptycznych nieszczęść zawsze ujawniają się dwie postawy: tych, którzy ratują i tych, którzy grabią. We wszystkich epokach i we wszystkich miejscach świata. Zatem dzisiejsza gawęda filologiczna jest nie tylko opowieścią o losach jednej książki, lecz o tragicznych dziejach wielu, całych kolekcji i o ich ratowaniu.

Wstrząsający jest bilans strat polskiego bibliotekarstwa po sześciu wojennych latach. Jest przerażający. Unieście uległo 90% wszystkich książek na terenach dawnej Wschodniej Rzeczypospolitej, w Polsce centralnej – 70%, a na

terenie Dolnego i Górnego Śląska straty w księgozbiorach spowodowane „wojną, okupacją i chaosem powojennym szacowane są na 4–5 mln tomów” (za: A. Dróżdż, „Sobótka” 2012, nr 2; por. M. Pawłowiczowa w: *Książka na Śląsku w latach 1945–1956*, Katowice 1997). Od początku 1945 roku prowadzono też akcję przejmowania i ratowania książek. Przybierała ona rozmaitą formę, od spontanicznych wyjazdów bibliotekarzy, całych ekip przeszukujących ważne dla kultury tereny, po zespoły działające w ramach Delegatury Ministerstwa Oświaty na rzecz ochrony zbiorów bibliotecznych. „Ogółem w okresie od lutego 1945 r. do grudnia 1946 r. – pisze Andrzej Dróżdż – dzięki nadludzkim wysiłkom grupy uczonych bibliotekarzy [...] udało się uratować przed zniszczeniem 10 mln woluminów”.

Ten właśnie czas był dla kraju i dla Śląska przełomowy. Działały już instytucje kultury, teatr, opera, czasopisma kulturalne, jak katowicka „Odra”. Aktywne były instytucje naukowe. Doskonale to widać nie tylko w intensywności naukowej nielicznych badaczy, w systematycznie organizowanych zebraniach, czy publicznych wykładach, ale nade wszystko w licznych publikacjach. I tak np. Instytut Śląski wydawał prace Józefa Feldmana, Kazimierza Popiołka, Karola Maleczyńskiego, Romana Grodeckiego, Józefa Szaflarskiego, Edmunda Osmańczyka, Wilhelma Szewczyka, Kazimierza Gołby.

Tutaj też ukazały się w 1946 roku dwie z trzech książek Zygmunta Izdebskiego (1907–1986). Pierwsza to *Rzeka Odra. Zagadnienie prawa narodów*, druga to *Niemiecka lista narodowa* (taki tytuł znajdo-



Zbiory przywiezione ze Lwowa podczas porządkowania w 1948 r.

wał się w zapowiedziach wydawniczych). Obie ważne, podejmujące zagadnienia aktualne i niezwykle w owych czasach gorące, wręcz prowokujące do dyskusji oraz reinterpretacji przywoływanych i stosowanych na co dzień definicji, stanowisk badaczy, wreszcie innych jeszcze czytelników. Analizy Zygmunta Izdebskiego, wybitnego znawcy prawa międzynarodowego, za trzy lata profesora Politechniki Śląskiej w Gliwicach, w przyszłości rektora Wyższej Szkoły Ekonomicznej w Łodzi, były w pełni przekonujące. Był bowiem nie tylko erudyta, ale niezwykle konsekwentnym, a zarazem przekonującym mówcą. Znacomie posługiwał się i wykorzystywał w pracy sztukę retorycznej perswazji, szczególnie umiejętności deliberacji, rozważań, dopełnień rozszerzających zakres tematyczny. A, co ważne, precyzyjnie i jasno definiował podstawowe pojęcia. Erudycja historyczna pozwalała mu nie tylko wskazywać zbieżności między pojęciami w przestrzeni historycznej, ich dookreślanie, ale i konsekwencje dla współczesnej mu rzeczywistości.

Nadchodzi rok 1947. 1 lutego rozpoczęła swoją działalność Zbiornica Księgozbiorów Zabezpieczonych. Na dodatek bez zarządzenia powołującego tę instytucję do życia. Nadejdzie później. Śląska Biblioteka Publiczna wskazała kierownika, Franciszka Szymiczka, siedzibę w Bytomiu i nowa instytucja mogła rozpocząć działalność. Trwała do 15 grudnia 1955 roku. Zachowało się ostateczne sprawozdanie z działalności Zbiornicy. Czytam w nim: „Ogólne rozliczenie wpływów i rozchodów w książkach za lata 1945–1955 przedstawia się, jak następuje: Przychody – 1 004 849 + 30 000 zbiorów podworskich polskich [dopisane ręcznie – J.M.]. Rozchody – książki wydane instytucjom – 540 174 t.; książki wydane na makulaturę – 398 850 t. Razem: – 939 034 t. Pozostało 15 XII 1955 – 95 813 t.”

Różne są oceny działalności Zbiornicy. Jednych satysfakcjonuje wzbogacanie księgozbiorów naukowych w całej Polsce, dla innych przekazywanie książek na makulaturę, a z czasem likwidacja – podobnych jak w Katowicach – zbiornic w Gdańsku,

Poznaniu, Szczecinie, Krakowie – to skandal. Katowice, a właściwie Bytom, w tej przestrzeni byli monopolistami. Na dobre i na złe.

W owym ostatecznym już sprawozdaniu z działalności Zbiornicy Księgozbiorów Zabezpieczonych w Stalinogrodzie (sic) z roku 1955, znalazłem też rozwiązanie tajemnicy małej niebieskiej, zatartej pieczętki. „W czerwcu 1954 roku nastąpiło przejście ostatniego wielkiego księgozbioru po zlikwidowanym Instytucie Śląskim w Stalinogrodzie..., 7000 książek z biblioteki byłego Instytutu, spore nakłady wydawnicze dawnego Towarzystwa Przyjaciół Nauk na Śląsku; bibliotekę b. Instytutu Śl. przekazano w całości Bibliotece Śląskiej, a nakłady umieszczone zostały w naszych magazynach, gdzie po woli się rozchodzą”. Już z małą zatarętą, niebieską pieczętką: „Zbiornica Księgozbiorów Zabezpieczonych”. A po latach trafiły na internetową aukcję.



Annalistyczne zasoby i zasady (Jeszcze o „Rocznikach Literackich”)

JERZY PASZEK

Przedwojenne tomy „Rocznika Literackiego” odróżniają się jedną ważną cechą od woluminów powojennych: nie mają indeksu nazwisk. Nie muszę wyjaśniać, jak wielką sprawą to dysproporcję w lekturze obu serii tych wydawnictw. Może wytłumaczeniem byłaby opinia, iż przed 1939 rokiem mniej w Polsce drukowano książek, więc i aniały były cieńsze (ok. 200–300 stron), i inny był adresat tych publikacji (bardziej wykształcony). Pomijam istotny czynnik, jakim jest cenzurowanie wszystkich druków, ukazujących się w PRL. Cenzura wszakże ograniczała się do eliminacji nazwisk autorów podejrzanych o wrogą działalność (szczególnie tych z emigracji), ale nie wtrącała się – z zasady – do brzmienia poszczególnych onomastycznych zapisów, czyli w poprawność identyfikacji imion i nazwisk z rzeczywistymi osobami. Stąd zaczynam od kwestii pomyłek w charakterystyce postaci o tym samym nazwisku, a czasem nawet identycznym imieniu. Mamy tu elementy detektywistycznej zabawy, świadczącej i przesądzającej o odpowiedzialności autorów i redaktorów za prawidłowe brzmienie drukowanych tekstów. Także w indeksach nazwisk!

Antroponimia

Jest to ta część onomastyki, która zajmuje się imionami ludzi (toponomastyka zaś opisuje nazwy geograficzne). W piśmiennictwie ważne bywają różnienia np. krytyka literackiego Stanisława Brzozowskiego od poety o tym samym nazwisku i imieniu. Obaj żyli w epoce Młodej Polski, stąd pierwszego wyróżniano poprzez dodawanie pseudonimu Czepiel, a drugiego ozdabiano szlacheckim herbem Korab. Dziś niektórym redaktorom „Rocznika Literackiego” sprawiają kłopot Teodor i Tadeusz Bujniccy (zob. RL 1970, s. 702, 287, 352, 670) czy też Stanisław i Stefan Zabierowscy (RL 1970, s. 780, 269, 285). W RL 1976 w indeksie osób przy nazwisku Trzynadłowski Jan połączono dwu uczonych wrocławskich: Jana (polonistę) i Jana Jerzego (historyka sztuki; zob. RL 1977, s. 775). Myli się też Jerzego i Juliusza Żuławskich (RL

1970, s. 787 – sprostowanie dotyczące RL 1969). Do pouczającej i kompromitującej wydawców pomyłki doszło w RL 1972, gdy Józef Chudek w materiałach biobibliograficznych umieścił nekrolog Tadeusza Chrzanowskiego, historyka sztuki oraz publicysty „Tygodnika Powszechnego” (1926–2006), zamiast Tadeusza [Samuela] Chrzanowskiego (1903–1972), librecisty, reżysera filmowego i teatralnego; sprostowanie ukazało się w RL 1973, s. 755. Innym oryginalnym błędem w indeksie nazwisk jest połączenie w jednym zapisie Władimira Odojewskiego (rosyjskiego księcia, pisarza i filozofa) z Włodzimierzem Odojewskim (1930–2016), polskim powieściopisarzem (RL 1973, s. 727; RL 1974, s. 763).

Indeksy nazwisk zawierają w „Rocznikach Literackich” tysiące informacji (niekiedy nawet na prawie 100 stronach), stąd nic dziwnego, że myli się ojców ze synami, jeśli mają te same inicjały imion! W erudycyjnych wywodach Juliusza Wiktora Gomulickiego często pojawiają się poprawki dotyczące dwu różnych osób o tym samym (lub zbliżonym) nazwisku. Przykładowo: biskupa Józefa Kossakowskiego pomyłkowo w *Wielkiej Encyklopedii Powszechnej* PWN z Józefem Ignacym Korwinem Kossakowskim i to w tomie XIII, suplementowym, w erracie do 12 tomów WEP (zob. RL 1970, s. 345). Przy innej okazji JWG pisze o spełnieniu fantazji twórcy *Pegaza dęba*: „do Erraty [...] wcisnął się nowy błąd (o takim błędzie w erracie marzył kiedyś Julian Tuwim), boć przecież drukarnia Dufoura nie ‘przetrwiała do końca XIX w.’ (str. 514, rubryka ‘Powinno być’), ale jedynie do końca XVIII” (RL 1970, s. 345). Trzeci „szczęśliwy traf” pojawia się w sprostowaniu z RL 1969 (s. 767), gdzie poinformowano, że w RL 1968 w erracie błąd w nazwisku Tadeusza Strumppffa nie dotyczy indeksu nazwisk, lecz s. 628, gdzie przez pomyłkę tom *Każdego dnia* przypisano Tadeuszowi Strumffowi!

Leksykografia

Piotr Grzegorzcyk (1894–1968) przez kilka lat recenzował w „Roczniku Li-

terackim” nowe encyklopedie i słowniki. Nie mając w bibliotece potężnego dykcjonarza polszczyzny (musiałby on objąć i objaśnić zapewne milion haseł!), a jedynie leksykony ledwie, ledwie przekraczające granice 100000 haseł, możemy dzięki wyszukaniom przez Grzegorzcyka frazom zapoznać się z tą ciemną i „zakazaną” (dla wielu lingwistów istnieją „brzydkie wyrazy”) strefą naszego języka. Już w pierwszej ocenie *Słownika języka polskiego* pod red. Witolda Doroszewskiego (RL 1961, s. 264) bibliograf ma dość poważne wątpliwości, co do pomijania wielu indywidualizmów językowych, czyli neologizmów oraz okazjonalizmów: tu ma rozstrzygać nazwisko autora. Czyli „dano więc np. Słowackiego: bezmogiłę, jaskółczychę, księżycowzdychanie – lecz pominięto dziesiątki i setki innych neologizmów, pełnych czasem walorów ekspresyjnych i komunikatywnych”. W kolejnych recenzjach szperacz ów wymienia pomijane określenia poetów, rymotwórców, wierszopisów, trubadurów i bardów. Są to: poetessy (Norwid), poetkowie (Słowacki i Trembecki), poetnicy (Witkacy), poetiny, poeciści, półpoeci (Malczewski), poeciątka, poetyczki (Fredro), poecjanci (Tuwim i Nowaczyński), poetastry (Helsztyński), poetusy (Deotyma), poetrie (Trotz, 1800); rytmoczyńcy, rytmoskaldcy, rytmosławcy, rymaki, rymomanowie, rymotwórki, rymarki (Pawlikowska), rymotfuki (Tuwim), rymokuje (Kasprowicz), rymowładcy (Nowaczyński), rymopiski (tenże), rytmisty, rymatory (J. Krzyżanowski), rymokupcy (Gałczyński), rymoplety, rymokupuje (Tuwim), rap-sodysty; soneciarze (Siemieński), soneciści i sonetysty (M. Winiarski i S. Windakiewicz), strofkarze, skrobiry-my (Nowaczyński), sztukoroby (Kasprowicz) (RL 1964, s. 323–324; 1965, s. 362; 1966, s. 426).

Grzegorzcyk potrafi również ukazać ciekawą historię odcieni semantycznych poszczególnych haseł. Nie zgadza się ze SD (skrót Słownika Doroszewskiego) np. z charakterystyką lafiryndy jako ‘kobiety lekkomyślnej; kobiety lekkich obyczaj-

jów, nie zasługującej na szacunek'. Pisze bowiem: „Tymczasem przed z górą stu laty była to tylko strojnisia, owładnięta manią cudzoziemszczyzny. Paulina Wilkońska w szkicu obyczajowym pt. *Lafirynda* („Kalina” 1866, nr 14) wymienia dwadzieścia jej określeń, ale żadne z nich nie dotyczy niemoralnego prowadzenia się. >Moda jest dla niej wyrocznią, podstawą wszystkiego – nawet i religijności! Bo lafirynda bywa także i pobożnością. [...] Moda dla mody! stało się hasłem. Wygląda jak istny koczokodan. Język francuski jest dla lafiryndy prawidłem. [...] Lafirynda wiecznie goni za adoratorami, dopóki tylko służy lata. Później osidla ich dla córek<. Widzimy więc, że nastąpiła zmiana znaczeniowa tego wyrazu, zabarwienie uczuciowe nabrało cech zdecydowanie pejoratywnych w innych kategoriach. Tej zmiany z cytowanych w *Słowniku* przykładów odczytać nie możemy” (RL 1962, s. 276).

Wniosek sam się z tych cytacji wyłania: Gdy zdobędziemy się – po połączeniu słowników prasłowiańskich, staropolskich, gwarowych i zasobów języków regionalnych, a w tym i „godki” śląskiej – na taki najobszerniejszy polski dykcyonarz, wówczas dopiero zobaczymy, jak głębokie i rozległe są mateczniki, puszcz i bory polszczyzny! Zresztą trzeba sobie uprzytomnić, że zwykły zjadacz chleba ogranicza się w mowie i piśmie do zaledwie 20000 haseł!

Memuary i epistoły

Chyba nie pomyłę się twierdząc, iż najbardziej czytany i zaczytany współpracownikiem „Roczników Literackich” w latach 1958–1983 był Edmund Jankowski, który najpierw recenzował materiały zgrupowane w dziele „Pamiętniki. Wspomnienia. Listy”, a w latach 1974–1983 ograniczał się tylko do epistolografii. Marzył ten wydawca 9 tomów listów Elizy Orzeszkowej, że nieprzeczytane książki (bo redagowanie i objaśnianie pism autorki *Marty* zajmowało mu większość czasu, jaki mógł – mając kłopoty ze wzrokiem – poświęcić na lekturę) pozna na emeryturze, ale los sprawił, że musiał wtedy tropić dla *Słownika pseudonimów pisarzy polskich* (jego 4 tomy ukazały się w latach 1994–1996 w Ossolineum) nowe dla siebie zagadnienia powiązań i zawężeń sensu „siedmiu grzechów głównych pseudonimiki (obawa, obojętność, ostrożność, pycha, skromność, złośliwość, wprowadzanie w błąd czytelnika)” [Andrzej Biernacki: *Jerzy Edmund Jankowski (1912–1991)*, „Teksty Drugie” 1992, nr 6, s. 152]. Nb. kraina pseudonimów obejmuje hrabstwa aletonimu, anagra-

mu, monachonimu, hagonimu, alonimu, alienonimu, asteronimu, kryptonimu, grafonimu i opunimu (to dla informacji tych, którzy chcą dojść do miliona haseł polszczyzny).

Tak więc Jankowski (Jurek tylko dla przyjaciół), amator archaizmu „aludować”, w czym jest mi pobratymcą, czytał setki pamiętników staropolskich (Pasek!) i powojennych, dotyczących przede wszystkim bojów od 1939 do 1945 roku, a także wspomnień muzyków, aktorów i literatów, nie licząc słabiej w omawianym dziale annałów reprezentowanych listów, które jemu – edytorowi i czułem komentatorowi epistolografii Orzeszkowej – były oczywiście najbliższe.

Zacznę od *Listów miłosnych dawnych Polaków* oprac. przez Michała Misiornego i Antoninę Łęgową-Grybosio-wą (Kraków 1971, ss. 154). Śp. Nina była językoznawczynią z Uniwersytetu Śląskiego, z którą w latach 1972–1975 dojeżdżałem do Cieszyna, gdzie znajdowała się wówczas Wyższa Szkoła Nauczycielska (filia UŚI). Nie pamiętam po półwieczu, czy podarowała mi ten bardzo interesujący tomik, dla którego sporządziła odpowiedni słowniczek wyrazów staropolskich. Jankowski pisze, iż Misiorny „dokonał osobliwego harakiri” (RL 1971, s. 149), gdyż nie wydrukował w swojej libelli słynnych i „świntuszających” epistoł Jana III Sobieskiego do Marysienki. Wspomina tylko o tej miłosnej korespondencji, prezentując epistolografa Bogusława Radziwiłła, który złośliwie wypomina królowi, że „wziąwszy ślub z świeżo owdowiałą Marysienką, «poszedł z nią zaraz bez żadnego bankietu do pościeli». Surowy, nie dla siebie, moralista dodał jeszcze: «Ceremonia wprawdzie krótka i niekosztowna bardzo mi się podoba, ale proceder wdowy bynajmniej, bo tak zacny człowiek, który ją w nędzy wziął i Panią uczynił, godzinę był trochę leż i pożałowania»” (RL 1971, s. 149–150).

W kilku kolejnych tomach RL recenzował Jankowski obszerne zbiory listów Zygmunta Krasińskiego w oprac. Zbigniewa Sudolskiego. Omawiając korespondencję poety z Jerzym Lubomirskim, Sudolski zwraca uwagę na konflikty erotyczne autora *Nie-Boskiej komedii*: kobiety nazywa „hienami” i „nierządnicami”, grzmi na „rozpustnice świńskie” i na „purchawki miłości własnej” (RL 1965, s. 180). Jankowski porównuje styl fraz antyfeministycznych wieszczki do języka Zagłoby: „Ja albo zwariuję od ludzkich świństw, albo jak Kirgiz nóż w zęby pochwyć jeden, a dwa w ręce i trzy baby [Bobrową, Delfinę i Elizę?] przy najmniej [...] zarżnę!” (ib.). W listach poety do Konstantego Gaszyńskiego (pomniejszego twórcy emigracyjne-

go) objawiają się uzdolnienia krytyka literackiego, potrafiącego umieścić w roku 1840 *Pana Tadeusza* „w rzędzie trzech największych epepej europejskich, tj. obok arcydzieł Homero-wskich i *Don Kiszota*. Uważał, że dzieło Mickiewicza jest ‘zlewkiem’ między epepeją Homera i Cervante-sa. Że zaś o *Don Kiszocie* wyraził się kiedyś, iż jest to epepeja pełna śmiechu i łez, nietrudno wywnioskować, że w *Panu Tadeuszu* widział ‘zlewek’ elementów bohaterskich i heroikomicznych” (RL 1971, s. 151).

Jankowski urażony zapewne był faktem, że Gabriela Zapolska w swoich listach „nie bez pewnego poczucia wyższości traktowała Orzeszkową”. Ale Sienkiewiczza zaliczała do „purchawek”, Prusa zaś do „gadów” (RL 1970, s. 192). Nazywała siebie samą „erotomanką”, a mściła się na swoich kochankach, pamiętając o krzywdzie, wyrządzonej przez „wylakierowanego pięk-noducha”, który był ojcem jej dziecka, a później „oszelmował swoją dawną kochankę w powieści należącej do typowej literatury brukowej” (RL 1970, s. 191; mowa o Gawalewiczu). Jankowski recenzuje również *Wspomnienia z lat ubiegłych* Zofii Szeptyckiej, córki Fredry, pisząc m.in.: „Kto nie zna warsztatu literackiego Fredry, może ze zdziwieniem wyczyta wiadomość, że miał on stale pod ręką słownik Lindego – «bez którego ojciec utrzymywał, że pisać po polsku nie umiałby»” (RL 1967, s. 192). W ten zaskakujący dla mnie sposób otrzymują uzasadnienie moje wywody w pierwszym tomie *Blasku arcydzieł*, gdzie badam w kontekście *Dożywocia* zasoby staro-go dykcyonarza (hasła Fiut, Fircyk, Fiok czy Diabeł). Gdy natomiast na okładce drugiego tomu tegoż *Blasku* przy nazwisku Orzeszkowej daję w nawiasie słowa „też pretendentka do Nagrody Nobla”, to aluduję do monografii biograficznej Jankowskiego o pani Elizie [obecnej w bibliografii trzeciego tomu *Blasku*], gdzie mowa o tym, że pisarka „wykłada własne pieniądze, by przyjaciółom ułatwić zdobycie dla niej... Nagrody Nobla” (RL 1964, s. 254, autor omówienia: Henryk Markiewicz). Tenże Markiewicz, recenzując książkę Michała Głowińskiego pt. *Powieść młodopolska. Studia z poetyki historycznej* (RL 1969, s. 297), używa rzadkiego słowa „przedmurze”: Głowiński zaopatrzył swój tom „w przedmurze teoretyczne, traktujące o zagadnieniach gatunku i prądu literackiego”, cechujące się tym, że „nie wszystkie tezy [...] sformułowane są [tutaj] z dostateczną jasnością!” Studentom polecałem, by w lekturze libelli ibloty pomijali te wstępne dwa rozdziały! Jak przedmurze, to przedmurze!

Wieża Montaigne'a – taki tytuł nosi dwudziesty szósty tom poezji wydany w serii *Ut Pictura Bibliotheca* przez Bibliotekę Śląską. Często, zwłaszcza najmłodszy poeci mianują swoje książki poetyckie na zasadzie *pars pro toto*, czyniąc tytuł jednego z wierszy, tytułem tomu. Leszek Pułka postąpił jednak inaczej, bowiem wieża Montaigne'a jest figurą intelektualną niosącą z sobą zarówno bogactwo, jak i konkretną treść. Znamyca Michela Eyquema de Montaigne'a – pisarza, filozofa, humanisty i jego *Prób*, prof. Remigiusz Forycki tak ją obrazuje: „Moim ukochanym tematem Montaigneowskim jest biblioteka. Pomieszczenie to, umieszczone na ostatnim piętrze wieży zamku, w którym Montaigne pracował i czasami mieszkał, zostało poświęcone jego najbliższemu przyjacielowi – tragicznie zmarłemu w wieku 32 lat – Étienne'owi de la Boétie. Możemy w tym miejscu, pieczołowicie do dzisiaj zachowanym, odczytać zapisane na belkach oraz na prowadzących do biblioteki schodach wypisy, cytaty z ksiąg bliskich sercu pisarza. Zostajemy niejako oczarowani wiedzą o upodobaniach literackich Michela de Montaigne i zaczynamy, szcztując te fragmenty, wypełniać „puzzle” do jego autoportretu”. Tyle szczyt wieży, a ona sama? Ona sama – jak twierdzi badacz – jest swoistym prototypem wzoru człowieka współczesnego. Pisarz w ten sposób buduje swój własny wizerunek, autoportret. Czy Pułka czyni podobnie? Owszem. Dowodem, jeszcze zanim otworzymy tomik, niech będą grafiki prof. Wiesława Gołucha, obrazy nie tyle dopełniające, co współtworzące przestrzeń odbioru wierszy. Ich wspólnym bohaterem jest właśnie kontur człowieka wielorako uwikłanego w rzeczywistość. Biała, nerwowa kreska na czarnym tle niczym na tablicy rwie się, skacze, wiruje – żyje!

Już na dzień dobry Pułka otwiera metaforyczno-filozoficzno-estetyczną przestrzeń wierszem o imieniu *Ostatnia godzina*, którego poszczególne segmenty otwierają opatrzone warunkową anaforą: „Gdyby miał pewność...” otwierają estetyczną przestrzeń „pożegnania” pełną zmysłowego piękna. Owa zmysłowość, estetyczne wysublimowanie i wrażliwość będą towarzyszyć nam na każdym kroku na przykład w wierszu *Przed klasztorem Hieronimitów* – a takich podróży odbędziemy sporo – „dziewczyna o hebanowej skórze / w czerwonym fartuchu / sprzedaje albumy z muzyką fado // wtem nagły łoskot i rozczarowanie: / Madredeus to nie poezja / a żółty napis na wyświetlaczu autobusu”. Uwodzicielski wzrok poety często przywołuje czyste barwy, a eksplorując przeszłość i teraźniejszość nasycą obraz polisensorycznie, jak w wierszu *Smak dzieciństwa*, gdzie: Stukot trzewików i skrzywienie poręczy / Zamiast Eskimosów sprzedawca z termosem / Niedzielne światło ścieka powoli / z patyka lo-

Umyka życie po troszeczkę

KSIAŻKI



PIOTR SKOWRONEK

dów pingwin // Gdy odwijam pergamin / Władca szronu w białej furażerze mru- ga okiem / Wrzuca pieniążek do drewnianej skrzynki / Zamyka wieko jakby wiewiół skrawek Arktyki // Zimne są war- gi w słońcu / Niesforna wanilia namięt- nie skleja palce / Pod językiem stroszą się włoski / Między kciukiem a przegubem dłoni // Nagle lepka kropla na marynar- skiej bluzie / – Mówiłam że się ochlapie! – krzyczy kobieta / Z pomalowanymi jaskra- wo ustami // Może matka a może demon z teatru kabuki”. Poeta wprawia w ruch wszystkie zmysły. Krążą oko, ucho, nos, język i palce. Zaczynają pracować nasze neurony lustrzane, a ślina napęla usta. Ale to tylko jedna z płaszczyzn wiersza za nią, a może równoległe do niej roz- pościera się świat namysłu, intelektualnej refleksji, zastanowienia, oglądu trwania. Detal staje się zatem pretekstem do naj- głębszych Faustycznych rozważań, a po- eta wśród zmysłowego spojrzenia, a może właśnie dzięki niemu otwiera czytelnika do nowych wyzwań.

Recenzując tom na łamach miesięcz- nika „Odra” (marzec 2024), Karol Mali- szewski tak opisuje zamiysł poety: „Oto człowiek, który nie przestał kochać, a taki ktoś patrzy na świat przez różowe okula- ry. Nie znaczy to, że nie dostrzega okru- cieństwa i przemocy, dostrzega i neu- tralizuje, umieszczając tuż obok empa- tii, a przede wszystkim miłości. Obcuje- my z kimś, kto ma w niej oparcie, tylko w nią wierzy. Te późne wiersze charak- teryzują się wyciszeniem i dystansem, gestem mędrca, który nie oczekuje cu- dów, bo już wie, że ten największy po- zostaje wciąż w zasięgu czułego serca. Jest nim trwanie w miłości na przekór zmienności świata”.

Leszek Pułka sam wyznał, że powrót do poezji po czterdziestu latach, bo wów- czas ukazał się jego ostatni tom wyni-

ka z autorskiej dojrzałości poety, z chę- ci pozostawienia po sobie zapisków ni- czym w tytułowej *Wieży* (Radio Wrocław rozmowa z Grzegorzem Chojnowskim). Stąd predylekcja do rozważań egzysten- cjalnych i eschatologicznych. Stąd pró- ba przyjrzenia się sobie w lustrze czasu i jednocześnie smakowanie życia. Pyta- nie: *Co po nas zostanie* zostaje zadane wprost, a odpowiedź nie jest łatwa, bo: „być może / fotografie // obłuska / z za- pomnianych mistrzów drugiego planu, z nieistotnych opowieści / i niemych żartów (...) może drewniane wieszaki / z cieniem naszych cieni (...) może za- chwył / nad domniemaną wiecznością / awatara w meta uniwersum // a może kosz notatek / otwierających martwe skrzela / że to już / i tylko”.

Z rzeczy ważnych, na pomoc przy- chodzi nam wówczas poezja, ów „kosz notatek” do odczytania dla tych, co idą za nami. Montaigne przebył tę drogę mądrze przed nami. Jej poetyckiemu oglądowi poświęcony jest ostatni, fi- nalny wiersz tomu zatytułowany *Świa- tłoienne*. Obok muzealnego anturażu „narożnej wieży w Montaigne”: „wygod- ne łóżko z baldachimem/ dwa szerokie otwarte okna/ belki stropu ze słowami mędrców i poetów” są i „odczytane na nowo” zapiski mistrza i mędrca: „trzeba nauczyć się cierpieć to / czego nie da się uniknąć”. Pułka próbuje za pisarzem i fi- lozofem przyglądać się ludzkiej egzysten- cji i wyciągnąć z owego przyglądania się uniwersalne dla naszego życia wnioski: „zło uwidatnia dobro// jak boleść rozkosz i beztroskę”.

Leszek Pułka, *Wieża Montaigne'a*, Wydawnictwo Biblioteki Śląskiej, Katowice 2023, s. 74.

Znać trzeba osobiście wiele lat Bogusławę Chwierut, aby zrozumieć/dostrzec/poczuć podział na: Bogusławę Chwierut – kobietę zagonioną codziennością i Bogusławę (Bodzię) Chwierut jako artystkę – poetkę, prozaikę, fotografa – balansującą na krawędzi obu światów. Z wychyleniem na **Południcę!** (przypołudnicę). Demonkę powietrzną – może z „zielonego szlaku” – dokuczającą rolnikom przebywającym w samo południe w polu, szczególnie odpoczywającym beztrudnie na miedzach. Ubrana na białe, piękna i groźna. Schowana za metaforą i mitem – w znaczeniu łacińskim *dæmon meridianus* – przybiera postać tumanu pyłu podniesionego nagłym porywem wiatru w upalne popołudnie na polu. Dokucza, męczy i wabi... By po chwili opaść w strugach deszczu na rozstaju dróg przy kapliczce Najświętszej Maryi Panny.

Zadziwia fenomen pisarski, organizacyjny i systematyczność Bogusławy Chwierut ur. w 1960 roku. Mimo niedawnego „wejścia” na literacką scenę (2013, *Babski Comber*), zdążyła już opublikować: osiem tomów wierszy, pięć książek prozatorskich i album fotograficzny. Do tego dochodzą krajowe i zagraniczne antologie, wystawy. Udział w europejskich festiwalach literackich – gdzie bywa duszą towarzystwa..., ale i słowa. Podpora grupy artystycznej źródeł słów i prowadząca spotkania z wybitnymi ludźmi pióra. Teraz oddaje w ręce czytelników *Jesiennych powrotów* cykl pięćdziesięciu wierszy dotyczących „krawędzi horyzontu” gdzie w przeżycia poetki „wślizgują się iskry przemijania”. „Talent to kwestia ilości. Talent nie polega na napisaniu stronicy, ale trzystu stronic... Silni nie wahają się. Zasiadają do stołu, nie ustają w trudzie... W literaturze są tylko woły. Geniusze to najtęższe woły, orzą przez 18 godzin na dobę, niezmordowanie. Sława to ciągły wysiłek”. – Píše Jules Renard w *Dzienniku*.

Prawda nie objawia się w postaci gotowych reguł. Poetkę interesuje własne przeżycie, ziszczające się w nieuchwytnym przeblasku intuicji, w wrażeniu, które nie sposób zatrzymać dłużej niż przez chwilę. Czasem czuje niemożność opisu... by po chwili utrwalić w słowie tchniętą palcem Bożym. To zaświadcza o samorodnym talencie (wartość powierzona), wyznaczonym celu Niebios i opiece Euterpe (Radosnej). W dodatku jest

Południca poszukująca Ducha

KSIAŻKI



JERZY STASIEWICZ

właścicielką samej siebie, posiada przestrzeń wokół siebie, przestrzeń niewidoczną, a jednak – nienaruszalną. Z indywidualnym, charakterystycznym – czasem zaskakującym – zamyśleniem nad znaczeniem werbalnym słowa. Jakby podnosiła temperaturę upału? Dogrzewała wrzątek.

Pisząc o *Jesiennych powrotach* – to przecież przegląd minionego czasu: „Dmie w żagle Orfeusz. / Na bezkresie przesuwają się chmury. / Drepczą jak robaki to w jedną to w drugą stronę. // (...) / Jedyne obraz, / gałązka jarzębiny uschniętej w wazonie”. – Odnieść się muszę do Stendhałowskiej koncepcji sztuki jako zwierciadła, które panoszy się po gościńcu. Zamglona jest rola „słupa”, który stoi poza lustrem lub stara się go dźwigać po traktach świata. Tajemnicą, czy jest całkowicie niewidzialny i spełnia tylko rolę tragarza, czy też jest to działanie świadome – nie zwierciadło kieruje jego krokami – lecz on sam decyduje o azymucie, w którym się wraz z taflą przemieszcza. Zamierzchły problem źródeł inspiracji twórczej... Wszelkie świat ujawnia się w nim poprzez lustrzany obraz. Stąd ta wędrówka Bogusławy Chwierut „bez marionetek, masek, parasoli / (...) w milczeniu” z piórem i aparatem fotograficznym w dłoni. Rozedrganej strużką klepsydry niczym osika targana zdradliwym jesiennym wiatrem Doliny Górnej Wisły, ścieżyną na Garbie Tenczyńskim. Jednocześnie emocjonalna, silna, przemawiająca swoją głębią do wyobraźni. Napięcie w dyskursie poetyckim (kon-

wersacji) przyspiesza rytm serca, wyznaczając upór i umiłowanie słowa, które poetka dźwiga w zamyśleniu by po czasie zakodować na kartach ksiąg. Te emocje w samotności wyciszenia niosą jednak krzyk i łzy – „zginę w odmětach wspomnień?”.

Liryzm ukryty w *Jesiennych powrotach* wypływa jakby z kilku źródeł. Źródło pierwsze to gorejący stan metafory. Bogusława Chwierut – tak mi się wydaje – od zawsze „niech owocują noce” była poetką mimo szarej codzienności, trosk i zmartwień wynikających z macierzyństwa, prowadzenia domu, pracy zawodowej. Czekala tylko latami na „przydział” pióra. Wtedy na palcach w czerwonej sukience dotykaniem potrafiła przeniknąć chaos?! Źródło drugie to mityczne zawierzenie poezji – wierzę, że do końca?... Źródło trzecie to sekwencje na temat przeszłości mocno osadzone w rodzinie (ukochanym). Z dużym naciskiem na regiony: w którym wyrosła, dojrzała i w którym osiadła na stałe. Źródło czwarte to kobiecość pełna zmysłowej erotyki, ale do pewnych granic wszak kuszenie... to powinność niewiasty.

Całość tomu znakomicie uzupełniają: okładka i grafiki (surrealizm, makabreska, akt) Lecha Lamenta czującego – jak nikt inny – słowo obrazem.

Bogusława Chwierut, *Jesiennych powrotów*, Wydawnictwo FUNDACJA POETARIAT, Wieluń 2024, s.72.

Do napisania najnowszej powieści skłoniła Sabinę Waszut rozmowa z synem, który pewnego dnia zapytał ją o „Solidarność”. „Ta rozmowa uzmysłowiła mi, że dla młodego pokolenia PRL strajki, stan wojenny to już historia, taka sama jak druga wojna światowa” – wyjaśniła w posłowniu, nie wypierając się także inicjacji redaktorki wydawnictwa. Jako lubiąca rozdrapywać historyczne rany Górnoszlazaków, co udowodniła powieścią o obozie Zgoda, odwołała się do tragicznych wydarzeń, jakie zaszły w pierwszych dniach stanu wojennego w kopalni Wujek. Sama urodzona w 1979 roku była zbyt młoda, żeby pamiętać rządy generała Jaruzelskiego, dlatego sięgnęła do wspomnień znajomych i rodziców oraz ówczesnych doniesień prasowych czy późniejszych historycznych opracowań. Nie wpłynęło to najlepiej na świat przedstawiony jej prozy, który sprawia wrażenie nazbyt papierowego i opartego o propagandowe slogany: „Polska ostatnimi czasy faktycznie przypominała tonący statek, z którego wszyscy starali się uciec. Im bardziej zaostrzał się konflikt rządu z opozycją, im częstsze były pogłoski o planowanej interwencji Związku Radzieckiego”.

Tytuł powieści *Sztuczny miód* Sabina Waszut zaczerpnęła ze zwrotki piosenki Agnieszki Osieckiej. Być może pisarka usiłuje się w ten sposób pobudować ideologicznie i artystycznie albo oddać hołd swojej ulubionej poetce polskiej piosenki z lat PRL. Jednak na pewno w tytułowym sztucznym miodzie dopatrzyła się dwuznaczności, oznacza on bowiem propagandowe kłamstwa, którymi władza ludowa karmiła społeczeństwo. Równie dobrze zatem chorzowska pisarka mogłoby nazwać swoje dzieło cytatem z innej zakazanej piosenki „usta jak cukierek”, bo akcję umieszcza w czasach gospodarczego kryzysu spowodowanego przez rządy ekipy Edwarda Gierka i zdemaskowania propagandy sukcesu.

Ramy czasowe powieści obejmują dwa nacieki miesięcy, od grudnia 1980 roku do grudnia 1981 roku. To czas, gdy w Polsce po sierpniowych strajkach w 1980 roku narodziła się nadzieja na zmiany polityczne i gospodarcze, powstał Niezależny Samorządny Związek Zawodowy „Solidarność”, dążący do przemiany ustroju państwa. Ale komunistyczny rząd wcale nie zamierzał ustąpić przed żądaniami, przetasowywał siły, szykując się do rozprawy z działaczami „Solidarności”. W ten sposób wrzucone są bohaterki powieści Waszut, o których pisarka opowiada w narracji trzecioosobowej, bardzo kobiecej, z doskonałą znajomością damskich problemów – także tych sercowych. W tym kontekście nie są zaskoczeniem dokładne opisy przygotowywanych świątecznych potraw i bożonarodzeniowych obyczajów, kłopotów z zakupami. W opisach szarzyzna życia codziennego, pustych sklepowych półek kontrastuje z radosnymi strajkowymi

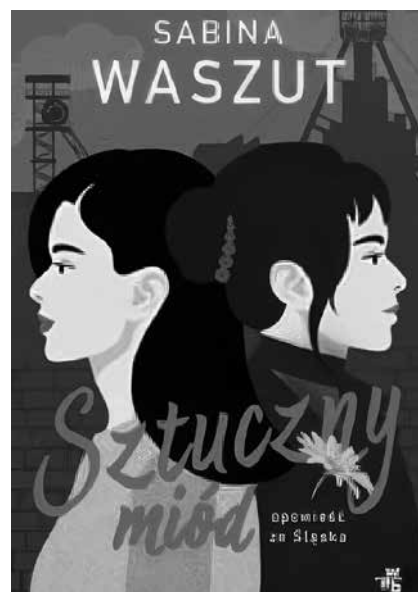
Usta jak cukierek

KSIĄŻKI

kontredansami i buńczucznymi wolnościowymi deklaracjami.

W polityczne imadło wkręcona jest zwłaszcza bohaterka powieści Barbara Uniszewska, pielęgniarka pracująca w katowickim Centralnym Szpitalu Klinicznym. Jej mąż Albert jest milicjantem, dzięki czemu żyją na przyzwoitym poziomie. Basia, kobieta czterdziestolatka, uważa siebie za nowoczesną, bo chodzi do kina, na dancingi z wódeczką i trochę lekceważy te wszystkie śląskie tradycje, czego raczej nie demonstruje. Najbardziej jednak zaskakują ją podziały w społeczeństwie, jakie pojawiły się po sierpniowych strajkach w gdańskiej stoczni. Nagle za uważa niechęć znajomych do milicyjnego munduru jej męża, co ma zły wpływ na jej psychikę. „Za każdym razem, gdy ktoś wspominał w jej towarzystwie o ZOMO lub MO, czuła jakby ją atakowano. Spinała się cała. Czekając, aż popłyną kolejne przykre uwagi. Nawet pozornie niewinne dowcipy sprawiały jej przykrość. Choć Albert jako technik kryminalistyki w Wojewódzkiej Komendzie Milicji Obywatelskiej najczęściej chodził do pracy po cywilnemu, zdarzały się dni, kiedy musiał stawić się w komendzie w pełnym umundurowaniu. Mijani wówczas sąsiedzi grzecznie się z nim witali, ale na ich twarzach można było dostrzec również mniej przyjazne myśli”. Uniszewska, mimo że uważa męża za przyzwoitego człowieka, bezwiednie ulega presji otoczenia. Mocny wpływ na jej postępowanie ma Zbyszek Rolski, kolega z pracy. Chociaż należy do partii, za jego sugestią zapisuje się do Solidarności. Jej więź z małżonkiem rozluźnia się także z powodu flirtu nawiązanego z Rolskim.

Pisarka umiejętnie ukazuje rozterki Barbary, która rozważa porzucenie męża i związanie się na stałe z kolegą z pracy. To cecha firmowa jej narracji; wiarygod-



RYSZARD BEDNARCZYK

ne przedstawianie emocji i psychicznych katuszy kobiety, w tej powieści wynikających z rozdzźwięków politycznych i moralnych. Potrafi jednak autorka zaskoczyć, gdy ujawnia, że niby romans Basi i Zbyszka kończy się bez negatywnych konsekwencji. Małżeństwo ocaleje, chociaż Albert wykrywa sympatyzowanie małżonki z kolegą z pracy, który okazuje się tajnym współpracownikiem bezpieki.

Także zaistniałe z powodu narodzin „Solidarności” aspiracje młodego pokolenia prozaiczka opisuje przekonująco, przy okazji wnikając w swary Majki z rodzicami Barbarą i Albertem oraz obawy Maryli i Waldka Wieczorków, bohaterów drugiego wątku powieści, o losy ich syna Tomka nierozważnie angażującego się w polityczne akcje.

Ulokowanie miejsca akcji powieści w szpitalu, na osiedlu w okolicach kopalni „Wujek”, gdzie Waldek jest górnikiem, prowadzi nieuchronnie do zbiorowej konfrontacji postaw politycznych i etycznych postaci, jaka następuje po wprowadzeniu stanu wojennego. Waszut pozwala stworzonym przez siebie bohaterkom i bohaterom wyjść obronną ręką z czasu próby. Dostrzega w każdym ludzkie odruchy; współczucie, żal, chęć niesienia pomocy. Nie potępia nikogo, nie osądza, bo rozumie, że wydarzenia na „Wujku” były tragedią dla każdego uczestnika konfliktu. Znamionują to słowa zakończenia: „Pomyślał o swoim ojcu i o ojcu Majki. O górniku i milicjancie, i o kopalnianym placu, na którym nikt nigdy nie powinien stawiać barykad”. Dystans czasowy umożliwia takie pisanie.

Sabina Waszut, *Sztuczny miód*, Grupa Wydawnicza Foksal, Warszawa 2024, s. 298.

Trzecia książka Patrycji Dołowy, *Pęknięte lustro. Próba portretu Adama Czerniakowa*, ze względu na popularyzatorski charakter, przypadnie do gustu czytelnikom poszukującym narracji nieprzeciążonych przypisaniami, aparatem krytycznym i siatką kontekstów. Dołowy nie jest pionierką w zakresie badań nad życiem Czerniakowa, co jednak nie dyskredytuje jej projektu biograficznego, który przywraca prezesa Judenratu społecznej pamięci w momencie, gdy nasza wiedza o realiach getta warszawskiego jest całkiem dobra (już w 2001 roku Barbara Engelking i Jacek Leociak opublikowali *Getto warszawskie. Przewodnik po nieistniejącym mieście*, natomiast w 2024 roku ukazała się *Encyklopedia getta warszawskiego*). *Pęknięte lustro* warto czytać wraz z monografią Marcina Urynowicza *Adam Czerniaków 1880–1942. Prezes getta warszawskiego*, która została opublikowana nakładem Instytutu Pamięci Narodowej w 2009 roku, by dostrzec różnice w sposobie konstruowania narracji i podejściu do zadania, przed jakim staje każdy biograf.

Pisarka ma już na koncie publikacje związane z Zagładą (*Wróć, gdy będziesz spała. Rozmowy z dziećmi Holocaustu*, 2019; *Skarby. Poszukiwacze i strażnicy żydowskiej pamięci*, 2022), a także artykuły zamieszczane w projektach wieloautorskich (*Przecież ich nie zostawię. O żydowskich opiekunkach w czasie wojny*, 2018; *Kwestia charakteru. Bojowniczkę z getta warszawskiego*, 2023). Czy można wyobrazić sobie lepszą kandydatkę do rekonstrukcji losów prezesa Judenratu? Wśród wielu talentów Dołowy należy wymienić przede wszystkim umiejętność empatycznego współlbycia z bohaterami i bohaterkami powierzającymi jej swoje opowieści oraz bardzo dobrą znajomość realiów historycznych. Bez specjalistycznego rozeznania każde przedsięwzięcie byłoby skazane na niepowodzenie. W przypadku historii osadzonych w czasach Zagłady konieczna jest również wyobraźnia ułatwiająca postawienie się w sytuacji kogoś, kogo pozycja wydaje się nie do pozazdroszczenia.

Dołowy udało się nakreślić wiarygodny portret Czerniakowa, który nie tylko sprawował władzę w getcie warszawskim, pozostając odpowiedzialnym za jego mieszkańców, lecz również pełnił inne role, mające znaczenie w procesie rekonstrukcji jego życia (mąż, ojciec). Pisarka odstepuje od osądu przewodniczącego Judenratu i skupia się na rekonstruowaniu obrazu człowieka, który zapamiętany został jako egoista ze względu na podjęcie decyzji o samobójstwie drugiego dnia wielkiej akcji likwidacyjnej. Gest ten był potępiany między innymi przez Marka Edelmana. Przywódca powstania z 1943 roku zarzucał Czerniakowowi, że uczynił swoją śmierć prywatną. Według krytyków Czerniaków powinien zmobilizować mieszkańców getta do stawienia oporu nazistom, dodać otuchy ofiarom i wskazać właściwy kierunek działań, który wiązał się ze śmiercią z bronią w ręku. Prezes zrezygnował z jakichkolwiek prób agitowania i mobilizowania mieszkańców i podjął decyzję o samobójstwie (pozostawił dwie wiadomości wyjaśniające przyczyny, z których jed-

KSIAŻKI

Próba oporu

na adresowana była do żony Felicji). Gest ten zadecydował o recepcji biografii Czerniakowa. Dołowy udowadnia, że rola, jaką odgrywał on w getcie, wiązała się z pertraktowaniem z okupantem i chronieniem najsłabszych (przede wszystkim dzieci).

Osobny wątek stanowią losy notesów Czerniakowa, które zostały opublikowane jako *Dziennik getta warszawskiego 6 IX 1939–23 VII 1942*. Żona prezesa Judenratu zaproponowała sprzedaż zapisków Żydowskiemu Instytutowi Historycznemu, jednak jej oferta została odrzucona ze względu na negatywną ocenę działalności Czerniakowa. Zapiski zostały zakupione przez instytut Jad Waszem w 1964 roku. Pierwsze wydanie dziennika Czerniakowa zostało opublikowane w 1968 roku w Jerozolimie. W 1979 roku w Stanach Zjednoczonych ukazało się wydanie w języku angielskim. W Polsce dziennik został po raz pierwszy wydany drukiem w 1972 roku na łamach „Biuletynu Żydowskiego Instytutu Historycznego”. W 1983 roku został wydany jako osobna publikacja w opracowaniu Mariana Fuksa.

Pęknięte lustro nie tyle wypełnia lukę w badaniach nad historią getta warszawskiego, ile pozwala spojrzeć na Czerniakowa jako człowieka uwikłanego na wielu poziomach w proces eksterminacji Żydów, przy czym wspomniane uwikłanie dotyczyło konieczności współpracy z nazistami. Próba postonowania Czerniakowa na niewiele się zda, może jedynie obnażyć niewiedzę krytyków, którzy nie zdają sobie sprawy z warunków panujących w getcie i nie potrafią przewidzieć, jak niewiele zależało od Czerniakowa. Bardziej zasadne okaże się spojrzenie na niego jako na człowieka w potrzasku, który oczekiwał na powrót syna, martwił się o los żony oraz najmłodszych mieszkańców dzielnicy zamkniętej. Być może jego największymi wadami były ufnosć i karność wobec zwierzchników. Gdyby przewidział, że Żydzi nie przetrwają w getcie jako najemnicy,



ANDRZEJ JUCHNIEWICZ

możliwe byłoby wdrożenie scenariusza, którego domagał się Edelman. Choć nie miał wpływu na odroczenie deportacji, istniała szansa ostrzeżenia ludności i zaburzenia regularnych wywozków do obozu zagłady.

Biografię Czerniakowa warto zestawzić z publikacjami dotyczącymi Chaima Rumkowskiego w celu uchwycenia specyfiki życia na świeczniku i w poczuciu odpowiedzialności za los wspólnoty. Obu mężczyzn wiele łączyło – przede wszystkim obaj rządili dużymi społecznościami żydowskimi w czasie wzmożonego terroru w dwóch największych gettach Europy Środkowej, choć efekty tych rządów różnie bywają oceniane. Jak dotąd o Rumkowskim pojawiła się książka Moniki Polit *„Moja żydowska dusza nie obawia się dnia sądu”*. Mordechaj Chaim Rumkowski. Prawda i zmyślenie. Publikacja *„Słuchają słów Prezesa”*. Księga przemówień Chaima Mordechaja Rumkowskiego przygotowana przez Adama Sitarkę i Michała Trębaczę zawiera treść poszczególnych przemówień prezesa. W obu przypadkach eksponowane stanowiska pozwoliły mężczyznom żyć w uprzywilejowanych warunkach, jednak nie uchroniły ich od podzielenia losu wspólnoty. By zrozumieć, w jakiej sytuacji się znaleźli, warto nieustannie uświadamiać sobie, że dla obywateli Imperium Rosyjskiego urodzonych w XIX wieku Zagłada była doświadczeniem bezprecedensowym. Ich uwikłanie w ludobójcze działania nazistów miało niewiele wspólnego ze sprawczością, dlatego krytycy powinni uwzględnić nie tylko ich uprzywilejowaną pozycję, lecz również brak realnego wpływu na politykę nazistów.

Patrycja Dołowy, *Pęknięte lustro. Próba portretu Adama Czerniakowa*, Wydawnictwo Filtry, Warszawa 2024, s. 352.

Na początku sierpnia 2024 roku mija osiemdziesiąta rocznica wymordowania w pierwszych dniach Powstania Warszawskiego cywilnej ludności zachodniej dzielnicy Warszawy, Woli. Hitler, dowiedziawszy się o wybuchu Powstania, wydał rozkaz całkowitego zniszczenia miasta i eksterminacji jego ludności. Himmler zaś przekazał ten rozkaz wojskom niemieckim w Warszawie. Brzmiał on niezwykle barbarzyńsko: „Każdego mieszkańca należy zabić, nie wolno brać żadnych jeńców. Warszawa ma być zrównana z ziemią i w ten sposób ma być stworzony zastraszający przykład dla całej Europy”. Tak się zaczęła „rzeź Woli”, będąca jedną z największych zbrodni niemieckich w latach drugiej wojny światowej. Zanim tę zbrodniczą akcję przerwano, w pierwszych dniach sierpnia zamordowano kilkadziesiąt tysięcy cywili – dzieci, kobiet i mężczyzn. Za popełnienie zbrodni nigdy nie ukarano głównych wykonawców, zaś jeden z nich SS-Gruppenführer Heinz Reinefahrt pełnił w okresie powojennym ważną funkcję w systemie administracji niemieckiej na wyspie Sylt.

Ludobójstwo dokonane przez Niemców w warszawskiej dzielnicy Wola do dnia dzisiejszego nie zostało właściwie gruntownie przebadane. Dopiero w ostatnich latach podjęto starania na rzecz upamiętnienia ofiar Woli. Została także zainicjowana akcja zbierania nazwisk zamordowanych mieszkańców dzielnicy. Również i piszący te słowa dorzucił do podjętego spisu imię i nazwisko siostry swojego ojca, która zamieszkiwała w domu jego dziadka przy ul. Wolskiej 114.

Rzeź Woli. Zbrodnia nierozliczona przypomina osiemdziesiątą rocznicę tragicznych wydarzeń. Stanowi też pierwszą książkową próbę opisu niemieckiego ludobójstwa. W formie opracowanej relacji z zebranych wspomnień przedstawia ówczesne losy tych, co przeżyli, dając pojęcie o tym, co wówczas działo się na Woli i do jakich czynów zdolni byli Niemcy w stosunku do bezbronnych Polaków. Mówi o czasie, o którym było już wiadomo, że hitlerowcom nie uda się zrealizować swoich barbarzyńskich planów, a podjęta przez nich akcja była przejawem bezsilnej wściekłości wyładowanej na ludność cywilnej.

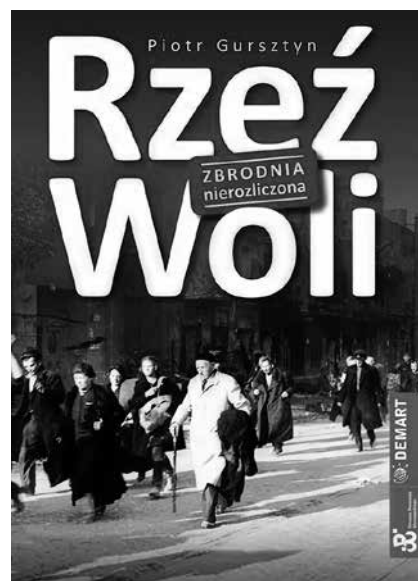
Bezwzględna jej eksterminacja w okupowanej Warszawie nie było w sierpniu 1944 roku nowością. Już jesienią poprzedniego roku Niemcy zaczęli mordować więźniów i zakładników w różnych punktach Warszawy, co miało stanowić przejaw terroru w celu zastraszania ludności.

KSIAŹKI

Autor *Rzezi Woli* podkreśla z naciskiem, iż „świadomość panującego terroru i grożącej śmierci docierała nawet do małych dzieci. Były one baczными obserwatorami, a ich codzienne zachowania i zabawy doskonale odzwierciedlały tę wiedzę”. Jak dalej czytamy w książce Piotra Gursztyna, „ustrzeżenie nas, dzieci od stresującej wiedzy o poczynaniach okupanta w mieście było absolutną niemożliwością. Przeto odwzorowując rzeczywistość i borykając się z własnym lękiem, nie bawiliśmy się już w policjantów i złodziei, lecz w łapanki i rozstrzeliwania”. Autentyczność tych słów potwierdza również autor niniejszego omówienia, dodając od siebie, iż powyższe wydarzenia wpływały często na późniejsze ukształtowanie osobowości małych obserwatorów tragicznych wydarzeń, wbijając się mocno w ich świadomość, zanim dotarły do nich istotne przekazy o charakterze etosowym ze strony starszego pokolenia, które kształtowało się w normalnych czasach. Tragiczny świat w pewnym sensie stawał się prosty: my i oni – potworni, odczłowieczeni Niemcy, których panowanie całkowicie wypełniało pierwsze lata dzieciennego życia, stając się jakby miernikiem tamtych czasów, które stanowiły całą epokę w dziecięcej świadomości. Rodziły się w niej także pytania: „Dlaczego?” i „Kiedy się to wszystko skończy?”. Jak się wkrótce okazało, po niemieckiej niewoli nie nastąpiła – zapowiadana niekiedy przez starszych – „epoka normalna”, pozbawiona okrucieństwa i eksterminacji. Nadeszły czas przyniósł ze sobą także wiele nowych zagrożeń, rodząc kolejne pytanie: „Co się tu właściwie dzieje?”.

Rzeź Woli

BOGUMIŁ GROTT



Niekiedy następowało nawet swoje „upolitycznienie” najmłodszych, którzy od początku swojego świadomego życia oddychali tylko takim powietrzem, które stawało się pewną normą, odciskając się swoistym piętnem na dalszym życiu.

Autor *Rzezi Woli* w sposób syntetyczny, ale również zasobny w szczegóły, przedstawia własną próbę opisu niemieckiej zbrodni na warszawskiej Woli. Zebrał on wiele relacji od osób, które przeżyły kataklizm, stając się świadkami popełnianego w tej dzielnicy barbarzyństwa. Książka ma charakter pionierski. Miejmy nadzieję, że za nią pójdą inne opracowania, czemu zapewne przysłużą się bardziej kompletne spisy zamordowanych niż te, które dzisiaj są w naszym posiadaniu. Temat jest nadal otwarty i bynajmniej nie został wyczerpany. Jest on niezwykle ważny, gdyż dokładnie pokazuje, co czekałoby cały naród polski, gdyby III Rzesza nie upadła i była zdolna do stworzenia warunków potrzebnych dla celu pełnej realizacji swoich wizji. Szczególnie w świetle tych wszystkich faktów przenikliwie są słowa Stefana Żeromskiego z *Wiernej rzeki*, nawiązujące do geograficznego położenia Polski i wynikających z niego zagrożeń: „Polskie plemię popadło między dwa młyńskie koła zagłady – między Niemców i Moskwę. Musi się stać samo młyńskim kamieniem, albo będzie zmielone na pokarm Niemcom i Moskwie. Nie ma wyboru”.

Rzeź Woli składa się z przedmowy, wstępu, dwunastu rozdziałów oraz posłowia. Na końcu zamieszczono obszerną bibliografię, zawierającą duży zasób prac o Powstaniu Warszawskim. Całość zamyka indeks

osobowy. Czytelnik znajdzie w książce także trzy plany miasta Warszawy: jeden przedstawia całe miasto z zaznaczonymi obszarami, które opanowali powstańcy; drugi i trzeci – tylko zachodnie dzielnice miasta, na których uwzględniono zaistniałe tam tragiczne wydarzenia z 5 i 6 sierpnia 1944 roku. W książce nie brakuje także wielu ilustracji przedstawiających różne sytuacje, w których znaleźli się mieszkańcy Woli w tym czasie.

Każdy z dwunastu rozdziałów poprzedzono takim samym zdjęciem, dokumentującym różne sceny, obrazujące losy mieszkańców Woli po wybuchu Powstania Warszawskiego. Pokazano także wizerunki morderców w mundurach niemieckiego Wehrmachtu i członków kolaboracyjnej rosyjskiej formacji RONA, którzy dokonali wielu zbrodni w mieście, wysługując się jego okupantom.

Autor rozpoczyna swoją narrację rozdziałem zatytułowanym *Wola przedwojenna*, charakteryzując tę dzielnicę przed rokiem 1939. Dowiadujemy się tam wiele o jej mieszkańcach i ich profilu społecznym i zawodowym. Wola została przedstawiona jako dzielnica głównie robotnicza, chociaż nie brakowało w niej również fabryk oraz domów ich właścicieli. Zwraca uwagę bliskość getta, które graniczyło z dzielnicą, wzbudzając w jej mieszkańcach nastroje pesymistyczne z uwagi na niezwykle tragiczny los żydowskiej części miasta. „Skończą z nami, wezmą się za was” – głosi podtytuł innego rozdziału książki. Autor poświęca uwagę warszawskim Żydom, przypominając o dobrych z nimi relacjach oraz aktach pomocy ze strony mieszkańców w pobliżu Polaków. W całej książce czytelnik znajduje wzmianki jak i szerokie opisy egzekucji dokonywanych przez Niemców na mieszkańcach Woli. Byli to w olbrzymiej większości bezbronni cywile, ofiary nieludzkich planów, jakie starali się zrealizować Niemcy.

O stosunku mieszkańców Woli do powstańców mówi rozdział *Bardzo chcieliśmy tego powstania*. Wskazuje na uporczywe oczekiwanie na chwilę, kiedy znów nastanie wolność po pięcioletniej okupacji. Powstańców Wola traktują przyjaźnie, identyfikując się z nimi, mimo przeżywanych ogromnych cierpień i otaczającego ich żniwa śmierci. W książce nie brakuje opisów walk toczonych w dzielnicach przez powstańców, jednak główny wysiłek autora jest skierowany na dokonywane przez Niemców zbrodnie, ich uwypuklenie i zabezpieczenie przed zapomnieniem. Książka, co zaznaczono już wyżej,

ma otwierać cykl badań nad morderstwem, który charakteryzował się przede wszystkim unicestwianiem ludności cywilnej, szczególnie tej, która nie uczestniczyła w walkach z bronią w rękę. Do ówczesnego porządku należało także używanie przez Niemców ludności cywilnej w roli osłony czołgów przed ostrzałem powstańców. Inny rozdział zatytułowany *Warschau wird glattrazirt* (Warszawa zostanie zrównana z ziemią) zwraca uwagę na fakt dokonywania szczególnych mordów właśnie tam, gdzie aktualnie nie było już walk, a ludność była całkowicie zdana na łaskę agresorów. Można powiedzieć, że było to specyfiką opisywanej sytuacji na Woli.

Głównymi źródłami są zeznania osób, które przeżyły wolską masakrę i były skłonne udzielać informacji po latach, ale także i istniejąca już dzisiaj literatura historyczna.

W rozdziale *Czy AK mogła powstrzymać rzeź?* autor stoi na stanowisku, iż było to niemożliwe. Na ten temat pisze: „Nie ma dowodu na to, że jakkolwiek szczebel dowodzenia Armii Krajowej czy jej oddział uchylił się od udzielenia pomocy ludności Woli. Przeciwnie, skromne powstańcze siły dokonywały nadludzkich wysiłków w celu zatrzymania zbrodniarzy. Mieszkańcy Woli (...) uciekali w stronę kontrolowaną przez powstańców; nigdy na stronę niemiecką”. Podkreśla też, „że w żadnych wspomnieniach osób ocalałych z rzezi nie znajdujemy żalu kierowanego w tę stronę. Przeciwnie, dominuje w nich sympatia i szacunek wobec powstańców”.

Książka *Rzeź Woli* ukazuje, głównie za sprawą zebranych relacji od mieszkańców, którzy przeżyli straszne dni sierpniowe roku 1944, różne metody stosowane przez Niemców, celem zlikwidowania kilkudziesięciu tysięcy ludzi. Poza rejestracją i przypomnieniem wielu przerażających faktów, które przetrwały w ludzkiej pamięci do naszych czasów, przynosi zadumę nad kondycją moralną niemieckich elit i szerokich mas (przede wszystkim jednak politycznych i wojskowych decydentów i wykonawców ich rozkazów) oraz mechanizmami kulturowymi, jakie legły u ich podstaw. Próba odpowiedzi na pytanie, skąd brała się gotowość do popełniania czynów, opisywanych nie tylko w książce Piotra Gursztyna, ale i w rozmaitych innych tekstach dotyczących drugiej wojny światowej, niejednokrotnie była podejmowana zarówno w Polsce, jak i za granicą. Interesowała ona nie tylko ludzi, którzy na własne oczy widzieli to, co działo się w Warszawie, czy w innych miej-

scach okupowanej przez III Rzeszę Europy, ale także uczonych, starających się dotrzeć do specyficznych pokładów niemieckiej duszy. Niestety, w Polsce tego typu badania zostały wraz z umacnianiem się stalinizmu wyhamowane, jako nieodpowiadające schematom coraz to bardziej rozpieierającej się ideologii marksistowskiej. Dla rozważań o „duszy” oraz roli religii w kształtowaniu człowieka, a raczej o jej wypieraniu z ludzkiej świadomości, który to proces zaczął się realizować w Niemczech w już w drugiej połowie XIX wieku, nie było miejsca. Ponadto pojawienie się NRD, kraju „budującego socjalizm”, wykluczyło możliwości totalnego kwestionowania „niemczyzny” jako pewnej formacji kulturowej. Dopiero dzisiaj, tj. po upadku komunizmu możemy, a nawet powinniśmy przypominać badania polskich uczonych z końca lat 40., którzy wypracowali własne refleksje na ten temat. Czytelnikom tego tekstu sugerujemy więc lekturę prac profesorów Bogdana Suchodolskiego oraz Leona Halbana, wznowionych niedawno przez piszącego te słowa pod zbiorowym tytułem *Przedhitlerowskie korzenie nazizmu czyli dusza niemiecka w świetle filozofii i religioznawstwa*. Lekturę tę można traktować jako formę uzupełniającą książki *Rzeź Woli. Zbrodnia nierozliczona*.

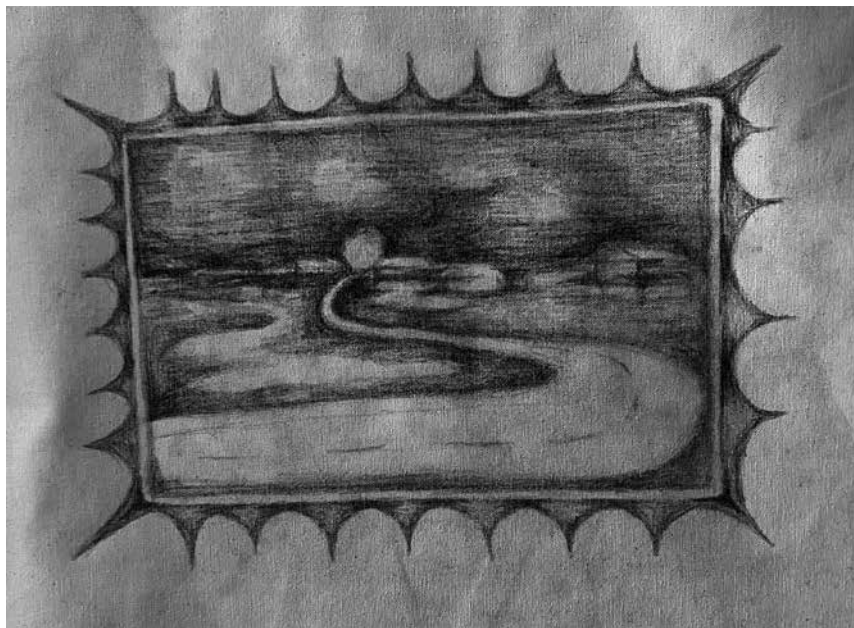
Zamykając – w osiemdziesiątą rocznicę wybuchu Powstania Warszawskiego – uwagi nad książką Piotra Gursztyna, należy przypomnieć kwestię liczby zamordowanych przez Niemców cywilnych mieszkańców warszawskiej Woli. W publikacjach podejmujących to zagadnienie najczęściej wymienia się liczbę 50 tysięcy osób. Ostateczna liczba zamordowanych nie jest jednak do końca pewna. Być może, że było ich jeszcze więcej. Trzeba też pamiętać, że „rzeź Woli” nie została ukarana. Bezspornie dużą winę ponoszą władze PRL-u, które dość opieszale odnosiły się do różnych kwestii, bardzo istotnych dla polskiego interesu narodowego. Dzisiaj co prawda już dysponujemy możliwością swobodnych badań, ale ze względu na upływ czasu, niektóre sprawy są już niewykonalne. Tak też jest i ze ściganiem wielu przestępców, którzy spokojnie dożywali swoich dni. Koronnym przykładem był SS-Gruppenführer Heinz Reinefahrt, kat warszawskiej Woli. ■

Piotr Gursztyn, *Rzeź Woli. Zbrodnia nierozliczona*, Demart, Warszawa 2022, s. 398.

Człowiek, który wyszedł z trawy. Malarstwo Susanne Szombary

Nieskończenie inspiruje i prowadzi mnie ciekawość życia i próba jego zrozumienia, albo chociaż oswojenia. Moje malarstwo mówi o rysach w naszych własnych systemach, które raz zauważone prowadzą do miejsc, gdzie musimy na nowo zinterpretować, co oznacza dla nas prawda i kłamstwo, dobro i zło, sens i jego brak. Moje obrazy często przedstawiają samotne, zamknięte postacie; to zwyczajni ludzie, zawieszeni na momencie. Pozornie nic ich ze sobą nie łączy (choć myślę, że nic jest czasami wszystkim), to takie muchy w pajęczynie systemów wartości, sposobów postrzegania, zaplątani w obowiązki i wybory. To jest trochę ten moment, kiedy zamawiając pizzę nagle zdajesz sobie sprawę ze skończoności życia i ograniczeń postrzegania. Jesteś żywy i martwy równocześnie. Interesuje mnie również kwestia atmosfery, która sama w sobie może być nośnikiem treści.

Pracuję w różnych mediach, zazwyczaj historia sama prowadzi mnie w odpowied-



nią stronę. Swoje malarstwo określam jako anegdotyczne, bo zawsze za postacią stoi jakaś opowieść, czasami opowiedziana jednym zdaniem, gotowa do włożenia w nią całego bogactwa świata i myśli odbiorcy, np.: koniec przyszedł niespodziewanie, a przyniósł go ze sobą pewien człowiek.

Gdybym miała opisać swoje malarstwo zwięźle w kilku zdaniach brzmiałoby to tak: Bohater nigdy nie rozróżnia siebie i świata, ale są wypadki, w których musi znaleźć jakieś ja – odezwane od myślenia o sobie jako o wszechświecie.

A to jest takie miejsce, taki kraj, gdzie nie potrzeba nawet ziemi. Tu się wraca skądś do siebie. Tu się liczy dni na palcach i to wszystko, co wydaje się być poza – staje się i przychodzi.

A to, co przychodzi jest czymś, co by mogło być, czymś, czego do końca jeszcze tutaj nie ma, albo co już tu było, minęło, ale zostawiło za sobą echo tamtego świata.

Oni zobaczyli coś, czego nie powinni byli zobaczyć, albo na co byli jeszcze niegotowi (i może nigdy nie będą), a czasami wręcz przeciwnie – oto oni w momencie chwały, w ich ostatnim momencie bez troski, jakieś niekończącej się rajskości życia. ■

Susanne Szombara

Susanne Szombara jest studentką katowickiej Akademii Sztuk Pięknych.

Uczestnictwo w wystawach: „Antonińskie Biennale Sztuki” – wystawa zbiorowa, Antonin 2021; „Dogmat” – wystawa zbiorowa Academy of Fine Arts in Katowice 2021; „Doping” – wystawa zbiorowa, Katowice 2021; „Zawierucha” – wystawa zbiorowa, Wrocław 2022; „Wyświetlono” – wystawa zbiorowa, Kraków 2021, 2022; „Niedoczas” – wystawa zbiorowa, Katowice 2022; „Moim wstydlwym sekretem jest to, że chodzi o mnie” – wystawa zbiorowa Katowice 2022; „We are leaving” – wystawa indywidualna, Cluj Napoca, Rumunia.



Susanne Szombara, „Człowiek, który wyszedł z trawy”







Susanne Szombara, „Brutalizm figuratywny”



Susanne Szombara, „Nie mów tam, gdzie cię nie ma”

Dzień pierwszy

Wpadł pies do kuchni i porwał mięsa ćwierć,
a jakiś kucharz głupi zarząbał go na śmierć....
Dom był wysoki, wygodny,
zbudowany z kości, rosołu, kostek rosołowych,
kuchnia długa i do tańców.
Przestronny był dom, a ona w nim mała, mała.
Szuka go w kuchni i w pokoju, kuchnia długa i do tańców.
Gdzie oni byli, że nie dostrzegli tej pełzającej wojny?
I otwartej furtki,
przez którą weszła Buka.

Dzień drugi

Tęskni za jego ciałem, kawałek po kawałku.
Biodra-brzuch, uścisk (nie).
Miód, pomarańcza.
Ramiona-przedramiona, tulenie (nie).
Gęste powidła.
Nie usta i nie język.
Włosy jej – jego, głaskać – głaskać.
Biodra jej-jego, objąć–objąć.
Wrasta, kora w korę.
Kardamon, cynamon.
Na froncie kora odpada z drzew.
Grunt jest wilgotny od wieczornej rosy.

Dzień trzeci

Mężczyzna obejmował ją słowami,
łaskocząc szeptem do tchu i tchawicy,
misterium miękkiej tkanki.
Potem pisał: moja, moja,
gładził jej skórę i wygładzał kości.
Teraz żebra trzeszczą, zapadają się:
mostek, żebra prawdziwe, żebra rzekome.
Jest kością, która śni o życiu.

Dzień czwarty

Czuła się lekka i leniwa jak oliwka pod wysokim niebem.
Trawa spłowiła, a oliwki zjadła.
A przecież mogła śpiewać, spacerować po śniegu,
który otula tak, jakby była kochana.
Spacer – ścięgno,
spacer – tkanka,
spacer – głód.

Dzień piąty

Ciało kochane pachnie cynamonem.
Jakie to łatwe, jakie trudne,
nie patrz pod słońce,
rach–ciach–ciach,
jeszcze życie i zielony pęd.
Jeszcze nic nie wiadomo.
Nie patrz pod słońce,
rach–ciach–ciach.
Ciało kochane pachnie.



rys. Bogna Skwara

Dzień szósty

Nie wymawia już przymiotników: ciepły i chrupiący.
I rzeczowników,
bo nie widelczyki i nie do ciasta na stole.
Nie ma czasowników,
bo nie wchodzi na drabinę we śnie
i nie woła: Oddaj mi go!
Wspomnienia, których nie chwyciła,
słowa, których nie powiedziała.
Dzień odkleił się od,
noc odkleiła się od.

Dzień siódmy

– Ja żyję, żyję, moja małeńka.
Wszystko rośnie, jak na drożdżach,
kardamon, cynamon.
Widelczyki, talerzyki, serwetki na stole.
Ciało po prostu rośnie: on, ona.
Ramiona i biodra,
głaskać–głaskać.
Usta i język,
objąć–objąć.
Kawałek po kawałku.

Sublimacja

Oblizwał wargi popękane jak chodnik, którym przemykał się między blokami. Słońce było już całkiem wysoko, ludzie wyszli z mieszkań, by napychać kieszenie codziennością i tylko Dawid wiedział, że świat właśnie się kończy. Inaczej – tak czuł. Wykonał nawet głęboki wdech przez nos by potwierdzić swoje przypuszczenia, ale zalepione drogi oddechowe wydały z siebie jedynie żaloszny świst, nie osąd na temat losów planety. Starał się odwrócić powrót do domu jak najdłużej. Jest dziewiąta, jeśli Stefa ma coś do załatwienia w Górnych, powinna wyjść najwcześniej za czterdzieści minut. *Dobrze, dobrze. Jest dobrze.* Powtarzał nerwowo, a czas dłużał się i wyciągał jak przemielona o jeden raz za dużo guma. Właśnie, guma. Musiał ją przez przypadek połknąć, bo od jakiegoś czasu konsekwentnie przeżuwał swoje policzki. Snuł się bez celu po osiedlu, a okna rzucały mu podejrzliwe spojrzenia. *Wiemy, co zrobiłeś,* szeptały zawieszane w nich firany. *No dalej, wracaj do mieszkania, gorzej nie będzie,* bzyczały muchy nad śmietnikiem. *Pedał,* zagruchał gołąb. Dziewiąta osiemnaście. Postanowił zaryzykować i chwiejnym krokiem ruszył w stronę drzwi wejściowych klatki. Trzęsącymi się rękami wyciągnął z kieszeni kurtki klucze i, po kilku nieudanych próbach, trafił do zamka. Drugie piętro. Głęboki wdech, wydeptana mata z napisem *Welcome* i wszechogarniające poczucie beznadziei. *Bądź naturalny!*, pisała klamka pod naciskiem jego wychłodzonej dłoni.

Z kuchni dobiegał dźwięk włączonego radia. Kurwa, jest w domu.

– Dawidek, to ty? I jak było u koleżanki? – krzątała się plecami do niego, jeszcze mógł odwrócić się na pięcie i uciec, biec przed siebie tak długo, aż nie roztrzaska się na masce jakiegoś samochodu. Tylko wycieraczek szkoda.

Za późno. Odwróciła się i przeszyła go wzrokiem.

– Co, godać nie umiesz? Jak ty wyglądasz? Spoliście tam co w ogóle? Jeruna, zaś mi bydzie Danucha godać że tyn mój Dawid jakiś taki miżerny – wyrzuciła na jednym oddechu. Nigdy nie potrafił pojąć, jak w tak małej kobiecie potrafi kłócić się tyle słów naraz.

Stała podparta na środku kuchni, z różowymi papilotami w świeżo zafarbowanych, wiśniowych włosach, schodzonych kapciach, które kupił jej w zeszłe święta i niebieskiej koszuli nocnej z rysunkowym kotkiem. *Keep smiling!* zamiauczało kocię i Dawid rozpadł się na dokładnie pięć miliardów kawaleczków. Płakał każdy z nich, płakał aż trzęsło całym blokiem, rozszczękały się psy, sąsiadom wypadły garnki z szafek i wyłączyły się telewizory. Płakał tak, że wszystkie jego organy zrobiły fikołka i wywróciły się na lewą stronę. Stał w przedpokoju i powoli przechodził w stan ciekły, dopóki nie podbiegła do niego przerażona Stefa.

– Babcia, ja... – krople łez zaczęły formować się w wyrazy – Ja przepraszam... Ja... Wolę chłopaków... Przepraszam... – kałuża sięgała już do kostek – Ja chciałem nie... Ale wolę i... Musiałem ci powiedzieć...

Stefa, kurczowo wczepiona w ramiona wnuka, delikatnie się odsunęła. Spojrzała na jego zaczerwienioną twarz i podniosła zabarwione czarną henną brwi.

– Dawid, jo cie powinnach zdzielić szmatom za coś takiego! Miała żech stracha jak stōnd do Żor! Wiym wnusiu, beztōż ōd bajtla cie chowōm. Wiym, ale dziynkuja żeś mi pedzioł. A terozki idź się umyć, bo mosz całō gymba czorno.

Cały czas się trzęsąc, przytulił Stefę i mocno pociągnął nosem. Poczuł jej ciepły, momentami duszący zapach piżmowych perfum, papierosów, domu. Świat się nie skończył. Dawid odzyskał wdech.

Opowieści startych podszew

Trasa I

Ostatnimi czasy stała się moją ulubioną. Skręcam w lewo, a potem długo idę prosto wąską drogą, na której teoretycznie muszą zmieścić się dwa samochody oraz moje granatowo-różowe buty. Mijam znak informujący o nazwie miejscowości, w którą właśnie wkraczam. Mikołów. To tu zaczynają pojawiać się domy, rosną jeden na drugim, po obu stronach upstrzonej studzienkami kanalizacyjnymi ulicy. Najbardziej lubię „kwadracioki”. Ich prosta budowa wcale nie ogranicza fantazji właścicieli; oklejone kawałkami szkła lub płytami, pomalowane na niebiesko bądź w paski, podparte kolumnami i stojące dumnie w towarzystwie dobudówek, o których nawet nie śniło się inżynierom budownictwa. Zza zazdrostek wychylają się czasem bujne wąsy czy imponujących rozmiarów trwałe, ale psy przestały już szczeleć. Znają mnie, przechrzę przychodzę tędy prawie codziennie.

Abby znaleźć się na rynku, szczególnie nadkładam drogi – lubię wąską uliczkę, która do niego prowadzi. Raczej nie ma w niej nic specjalnego. Smród moczu miesza się z zapachem smażonych na głębokim tłuszczu potraw jednej z pobliskich restauracji, a gołębie wciskają się w zapomniane, strychowe okna i cicho gruchają w rytm muzyki puszczonej przez właścicielkę butiku z odzieżą dla puszystych pań. Idę dalej, witriny sklepowe próbują złapać moje odbicie, ale bezskutecznie. W ścisłym centrum ocieram się o wiele podstarzałych ramion, nienaturalnie wydłużonych dźwiganiem ciężkich toreb.

Kilka tysięcy kroków później całkowita zmiana scenerii, tereny przemysłowe. Spaliny stada zamieszkałych tu ciężarów, dym papierosowy zrezygnowanych panów w kombinizonach. Oni chyba też nie wiedzą, czym dokładnie się zajmują. Na pogiętym, ale odmalowanym na sterylny kolor ogrodzeniu wisi kartka: ZAKAZ FOTOGRAFOWANIA. Odwracam więc prędko głowę i chociaż nie mam tego w zwyczaju, wbijam wzrok w chodnik. Pełen kocich łbów, ale spełnia swoją funkcję – zaprowadza mnie na półmetek mojej wyprawy. Dwa różowe bloki i trawa sięgająca do pasa. Zamiast mieszkańców widuję częściej wywieszone na balkonach prania, tyle mi wystarczy. Trzy skarpetki nie do pary, na zaparkowanej nieopodal Hondzie delikatnie wyblakła naklejka. *Dej pozor, bajtel we aucie.* Przecinam podwójną cięgłą i wpadam w płataninę ulic, które niewiele byłyby w stanie powiedzieć mi o poczuciu przynależności. Dom po prawej jest w Mikołowie, ten po drugiej stronie już nie, a ten obok łapie się jeszcze jedną trzecią komina. Nie zaprzęgam sobie tym zbytnio głowy, zdobywam się tylko na delikatne skinienie w stronę psa z przykrótką łapą. I cały czas prosto. Koło kapliczki, pomnika przyrody i masarni. Przez przejście dla pieszych, wśród pól i drogowisków. Nie furtką, a dziurą w płocie.

Siadam na schodku prowadzącym do drzwi wejściowych i zaczynam bawić się zerwanym gdzieś po drodze liściem. Daję butom odpocząć.

Trasa II

Łaziska dzielą się na Dolne, Średnie i Górne. Kolejność przyjazdowa. Wszystkie jednakowo sennie, zawsze kojarzyły mi się z niedzielnymi powrotami zdezelowanym autobusem linii 45, który skutecznie potrafił wytrząść ze mnie resztki ubiegłej nocy. Ale to było kiedyś, teraz idę. Tym razem kilka zakrętów w prawo, dopóki na horyzoncie nie ukażą się pano-

wie sączący piwo pod sklepem ABC. Dolne, z zatartymi granicami i serpentynami uliczek, które przecinają się i kończą w najmniej oczekiwanych momentach. Mijam park i basen, ale tabliczka na przystanku autobusowym oświadcza, że to już Górne. Zeskakując z dwóch ostatnich stopni prowadzących do przejścia podziemnego, czuję motyle w brzuchu na myśl o tym, co czeka mnie po drugiej stronie Wiślanki.

Choć jestem już z tą okolicą na „ty”, w ogóle mi nie spowszechniała. Każdy kiczowaty szyld, naiwne napisy motywacyjne, klomby na rondzie ułożone w kształty mniej lub bardziej przypominające herby Łazisk. Górne są makietą spreparowaną karykaturalnie tłustymi paluchami burmistrza, chlubnym przykładem małomiasteczkowości. Tym sposobem, przechodząc obok Lidla, Pepco i hotelu, gdzie można tanio, szybko i niekoniecznie po bożemu, znajduję się w Średnich.

Kolorowe ogródki działkowe w cieniu olbrzymiej hołdy, krajobraz namalowany pędzlem przedstawiciela nurtu sztuki naiwnej. Niedaleko umownej granicy z Dolnymi stoi dom-wysypisko. Stary samochód bez drzwi, materace, piętrzące się wszędzie ubrania, szmaty oraz inne bliżej nieokreślone materie. Przy płocie pomalowana na biało skrzynka z bratkami. Na wygryzionym, kamiennym progu siedzi czasem kobieta. Często zauważam ją dopiero w ostatnim momencie, jest jednym z wszechogarniającym natłokiem śmieci. Dalej tylko cegła i blacha, ale przy światłach na fotokomórkę odbijam w prawo. Jeśli pogoda dopisuje, doskonale widać stąd góry. Zdarza mi się przystanąć u koleżanki. Chodziłyśmy razem do liceum, pamiętam jak cieszyła się, że będziemy sąsiadkami. Cmentarz wygląda w tym roku pięknie, otoczony morzem rzepaku.

Historie z hasioka

Słowem (przydługiego) wstępu

Wychowałam się w bloku, który przez długi czas służył jako hotel górniczy. Nigdy nie mieliśmy telewizora, więc jako dziecko dla rozrywki oglądałam przez okno częste bójki lub przykładając ucho do kaloryfera wylapywałam poszczególne słowa małżeńskich kłótni naszych sąsiadów. Z czasem zaczęłam odnajdywać komfort w tym wszechobecnym brudzie – oswoiłam go. Byłam tutejsza, miejscowa. Paliłam do filtra z panami sączącymi Warkę Strong, a potem chowałam się w krzakach, bo szła krawcowa, a ona mogłaby wygadać mamie. Przeżyłam tam wiele dobrych, jak i złych, chwil; każdą wspominam z rozrzewnieniem, którego nie powstydziliby się osiemdziesięcioletnia staruszka.

Ani ja, ani moi rodzice, już tam nie mieszkamy. W dniu swoich 21 urodzin przeszłam 21 kilometrów – z obecnego lo-

kum, na stare śmieci. Miałam odciąć pępownię, a zacieśniłam więzy jeszcze bardziej. Najwyraźniej od pewnych rzeczy nie ma ucieczki, nieważne jak bardzo by się tego (nie) chciało.

Okno

Na drugim piętrze, w trzecim oknie od lewej, wisiał drewniany aniołek. Miał różową szatę i brązowe, kędzierzawe włosy, rozwiązanie dość kontrowersyjne – cherubiny z natury przecież są blondwłosymi istotkami odzianymi w białe sukienki. Może dlatego tak bardzo go lubiłam. Był dwustronny, więc monitorował nie tylko podwórko między blokami, ale również mój dziecięcy, a później – nastoletni pokój.

Znalazłam go ostatnio na strychu, równo trzy lata po przeprowadzce. W nieoznaczonej, papierowej torbie, wśród rzeczy, które niby powinno się wyrzucić, ale z drugiej strony sentyment na to nie pozwala. Mój aniołek, z którym pewnej wrześnie nocy paliłam swojego pierwszego papierosa (na pewno nasłuchiwał, czy ktoś akurat nie wstaje do łazienki). Aniołek, który nie pisał ani słowa, gdy pod nieobecność rodziców zapraszałam do domu chłopaków lub robiłam inne rzeczy, za które prawdopodobnie czeka mnie wieczne potępienie – zdarzało mu się jedynie wymownie spadać na parapet.

Przyjrzałam się mu uważnie. Zakurzony, wyblaknięty, zapomniany. Wyglądał niemalże groteskowo; opierające się na nim przez te wszystkie lata promienie słońca wyżyły jego źrenice, pozostawiając w ich miejscu cieliste plamy. Osłępił. Starty nos, szeroko rozchylone usta – śpiewa, krzyczy, czy łapczywie chwyta powietrze w płuca? Chryste, przecież to tylko



okienna ozdoba. Zawiesiłam go na palcu i zakręciłam. Ślepy i zdziwiony, ogromne oczy z długimi rzęsami, ślepy i zdziwiony, ogromne oczy z długimi rzęsami, ślepy... Przytuliłam go do piersi (choć odwodził się jedynie wbiciem skrzydła w mostek), a potem wyniosłam ze strychu. Jakiś czas później pojawiłam się całkiem przypadkiem na moim starym osiedlu. To dziwne – na drugim piętrze, w trzecim oknie od lewej, zupełnie nic nie wisi.

Pan Janek

Każda nasza rozmowa zaczynała się tak samo.

- Jak się nazywa piesek? – padało pytanie ze szczytu schodów prowadzących do drzwi wejściowych bloku.
- Fistaszek – odpowiadałam.
- A wie pani, że prezydent Reagan miał fermę fistaszków?
- O proszę, naprawdę? Nie wiedziałam.
- Jak to jest, ferma czy farma? – drapał się po nieogolonej brodzie.
- Farma – po drugiej takiej interakcji zasięgnęłam wiedzy w Internecie – Ferma może być na przykład drobiu, żywe zwierzęta muszą być.

Potem zazwyczaj opowiadał o owcy Dolly, czasem o wydarzeniach sportowych z lat osiemdziesiątych. Kiedyś wybił mnie z rytmu pytając, jak jest rzepa po angielsku; pisał listy do prezydenta Stanów Zjednoczonych, aby powiadomić o strasznej niesprawiedliwości, która spotkała go za Gierka. Od babci wiem, że były taksówkarz, od sąsiadów – że skurwiel i wariat, bo spalił kiedyś mieszkanie. Z jakiegoś powodu znał dobrze włoski, w kapsie marynarki nosił małe radyjko, a na głowie górnicze czako, albo koronę.

Lubiłam go słuchać. Miał pamięć do wydarzeń historycznych i ogromną wiedzę, a to, że z czasem mu się pomieszała, to już przecież nie jego wina. Bardzo często przyozdabiał osiedle swoimi instalacjami artystycznymi; mokra kajzerka owinięta kartką Super Expressu (urywek: 23 DNI W MIESIĄCU), na tym zdjęcie nagiej kobiety siedzącej tyłem do kamery z przyklejoną głową znieśmaczonego dziecka. Pod spodem odręczny podpis: *porodu posładkowego*. Gąbka, okrągłe okulary. To wszystko przytwierdzone do drzewa. W oknie kuchennym karteczki – BAZYLIA bordol, LEN bordol, PODKOWY burdol. Liście przyklejone na papierze toaletowym. DZIADZIA JEST GŁUPI K-ce. TEREN MONITOROWANY K-ce. Kiedyś powiedział, że traktuje mnie jak wnuczkę, nauczył swojego tajemnego kodu i pokazał znaki ochronne, które zawsze nosił przy sobie. Na parapecie pojawiła się nowa kartka – POLUBIŁAM PANA.

Czasem przychodziłam zjeść z nim obiad. Siadaliśmy wtedy po turecku przy pniu drzewa, stojącym na środku pustego pokoju.

- Wyprowadzam się. Końcem grudnia. – powiedziałam, wręczając mu gorzką czekoladę i paczkę papierosów
- Pani Fistaszkiewna! A daleko?
- Trochę tak, za Mikołów. Ale babcia mieszka tutaj, to będę odwiedzać.
- Dobrze, to dobrze – pociągnął nosem – czytałaś w końcu *Idiotę* Dostojewskiego? Myślę sobie, czy by nie opisać Fistaszka. Po rosyjsku.

Nie przeczytałam. Nie odwiedziłam. Mam nadzieję, że nie pamięta.

1473 dni

Nad barkiem stało zdjęcie z wesela wujka. Ciotka w białej sukni (choć zarzekała się, że jest to *écru*), moja mama i jej brat. Uśmiechnięci strażnicy mojego nieumiarkowania w jedzeniu oraz piciu. Bardzo często spoglądałam w wymalowane niebieskim cieniem oczy panny młodej i odkładałam ciastko. Albo butelkę. To drugie trochę rzadziej, choć patrząc z perspektywy czasu, lepiej mieć wątrobę otłuszczoną, niż obumarłą.

Piłam co popadnie. Lepkie, słodkie, cierpkie, gorzkie – im bardziej wykrzywiało twarz, tym lepiej, przecież robiłam to za karę. Gdy ogień pałacy przetyk przewiercał się przez żołą-

dek, by osiągnąć swój cel podróży w opuszkach palców, od czuwałam spokój. Miałam 17 lat i dość pociętych ud, musiałam znaleźć nowe ujęcie dla gotującego się we mnie gniewu. Wlewałam więc w siebie coraz więcej i przeklinałam cały świat. Łykałam zapalki w nadziei, że doprowadzą do wybuchu zalegających we mnie materiałów łatwopalnych. Obijałam się od ścian i nadziewałam na klamki, tłukłam kolana i talerze padając na posadzkę. Dawałam ponieść się szumowi, a za zwyczaj znaczyło to mniej więcej tyle, co zapchanie spływu w wannie wymiocinami.

Do powrotu domowników. Szczęknięcie klucza w zamku działało cucąco – schować pustą butelkę, napchać do ust pałsty. Mruknąć *cześć*, spuścić wzrok i zakopać się głęboko pod powiekami, w przepoconej pościeli. Liczyłam w głowie mijające sekundy, tępy ból obijał się w mroku mojej czaszki. Zza niebieskiej rolety zerkał na mnie drewniany aniołek.

A czemu te zdjęcia wszystkie poobracane? – padało za drzwiami, ale tego już nie słyszałam, chrapiąc ciężko i nierównomiernie.

P.

Nie wiem, czy można powiedzieć, że się kolegowaliśmy. Mieszkała w bloku na przeciwko i czasem wychodziłyśmy razem na podwórko. Miała starszą siostrę, która szybko opuściła rodzinne gniazdo. Matka odstawiała butelkę od ust tylko wtedy, gdy krzyczała na ojca, że ma przestać chlać; często zamykała go na balkonie, a on ześlizgiwał się po balustradach w dół, rwąc przy tym maty wiklinowe sąsiadów. Jakiś czas później matka zachorowała na raka i umarła, a wyraz twarzy P. zmienił się z nieobecnego na naburmuszony. Płuła, siedząc na oparciu ławki, zaczęła chodzić na tory ze starszymi dziećmi, żeby krztusić się wódką i nie zaciągać fajkami. Nasze dramaty naszły się w czasie, więc chwilowo zniknęła z mojego radaru. Gdy na niego wróciła, chodziła z brzuchem i jeszcze bardziej niezadowoloną miną. Zresztą podobnie jak jej ojciec, a później syn – ciężko stwierdzić, co malowało się na twarzy partnera, bo spod czapki z daszkiem dostrzec można było jedynie tłące się papierosa.

P. zafarbowwała włosy na wiśniowo i snuła się po osiedlu jak dym, wspomnienie po narzeczonym. Synek dużo płakał. Proporcjonalnie do tego, jak rósł, był coraz głośniejszy. Stawał na balkonie w samej pieluszcze i szarpiał za kraty wydawał z siebie rozdzierające ryki; P. zaganiała go do środka, a potem długo wpatrywała się w chodnik pod blokiem. Często wpadałyśmy na siebie w sklepie i zamieniałyśmy parę słów, wpatrzone w kolorowe promocje i półki z detergentami. Uśmiechała się wtedy półgębkiem – tyle, na ile potrafiła, kazała pozdrowić mamę, ja tatę (nigdy na odwrót) i ruszała w swoją stronę, pchając spacerówkę pełną zakupów oraz wykrzykiwanych samogłosek.

Przyszła wiosna, a z nią parne lato, zmuszające mieszkańców do otwarcia się na świat (albo przynajmniej swoje osiedle) – setki szeroko rozwartych okien wpuszczały i wypuszczały chmurę dźwięków. Stało się wiadomym, kto słucha audycji radiowych, gdzie mieszka najbardziej gadatliwy pies, i u kogo była za słońca zupa. W całym tym harmidrze, symfonii szczeknięć, smarknięć, chrząknięć, westchnięć, zapalnych dyskusji i spadających gąrków najbardziej wybijał się jeden brak – dlaczego syn P. nie płacze?

– Zabiła się. Tak przy wszystkich! Pod pociąg skoczyła, jak piła z kolegami. Ponoć znowu w ciąży była, a ojciec dziecka pitnął. Małego zabrali no bo gdzie to, dziadkowi go przecież nie dadzą. No szkoda, szkoda. Każdego szkoda. Ona jak taka niemrawa zawsze była, taka nieobecna. Z resztą, co ja pani będę gadać. Do widzenia!

I zostawiła mnie, sąsiadka, na środku sklepowej alejki, pomiędzy ryżem a makaronem. Po głowie chodził na zapętleńiu jej konspiracyjny szept, opowieść blokowiska, które nieuchronnie zbiera swoje żniwa.

Każdego szkoda.

Podróże po Skandynawii

JANUSZ PLEWNIAK

Kraina tysięcy wysp

Zapytałem kilkoro znajomych: Z czym kojarzy ci się Szwecja? Różne padały odpowiedzi: zespół ABBA, samoloty Saab, samochody Volvo, IKEA, nagrody Nobla itd. Mnie, po krótkim ośmiodniowym pobycie na północy, Szwecja kojarzy się z przezroczystymi wodami, zielenią lasów i łąk, czystym powietrzem. Oraz wolnością przemieszczania i biwaków. Kraj duży, większy około 1,4 raza od Polski, przestrzeni sporo, ludności zagęszczenie niewielkie, wszystkich raptem nieco ponad 10 milionów, więc jest zgoda na biwakowanie w dowolnie wybranym miejscu.

Po wylądowaniu i stresowych sytuacjach na olbrzymim lotnisku Sztokholmu, by znaleźć stanowisko turystycznego autobusu do Uppsali, ruszyliśmy w drogę przez trzy kraje do Nord Kapp – Przylądka Północnego. Czyli najpierw drogą na północ wzdłuż całej Szwecji.

Pierwszy przystanek to ruiny kościoła św. Olafa, świątyni na trasie niegdyśszych pielgrzymek, a obecnie częsty cel wycieczkowy. Zatrzymujemy się w drodze do Uppsali, na końcu ścieżki tradycyjnej procesji. Kościół został zbudowany w XII wieku, ale podczas wykopalisk (2000–2001) pod spodem odkryto pozostałości jeszcze starszej budowli. Obecnie obok historycznych ruin stoi współczesny ceglany kościół poświęcony Maryi.

Olaf Haraldsson był królem Norwegii (1015–1028). Wprowadził w kraju chrześcijaństwo, zniósł niewolnictwo, ograniczył władzę arystokracji i wprowadził lokalne ustawodawstwo. W 1028 został wygnany z kraju przez opozycję wspomaganą przez duńskiego króla Kanuta Wielkiego. W 1030 r. wrócił do Norwegii, chcąc odzyskać tron. Po śmierci został ogłoszony świętym Kościoła katolickiego.

Chociaż jesteśmy w Szwecji, już na pierwszym przystanku doświadczamy skomplikowanej historii Skandynawii, czyli splecionych losów Szwecji, Danii, Norwegii i Finlandii.

Na cały dzień zatrzymujemy się w Uppsali. Uppsala to miasto niedaleko Sztokholmu w Szwecji. Znanie jest z Uniwersytetu, który został założony w XV wieku. Pierwotny budynek uniwersytetu, Gustavianum, jest obecnie muzeum i mieści wspaniały Augsburski Gabinet Osobliwości z XVII wieku. W pobliskiej Bibliotece Carolina Rediviva można podziwiać srebrną Biblię z VI wieku. Katedra w Uppsali jest miejscem pochówku członków

szwedzkiej rodziny królewskiej, w tym króla Gustawa Wazy. Nie tylko. Tamże w lewej nawie katedry ku naszemu zaskoczeniu znajdujemy sporą kaplicę, w której są tylko dwa nagrobki. To kaplica nagrobna Jagiellonów. Średniowieczny kapitułarz został przekształcony w kaplicę pogrzebową królowej Katarzyny Jagiellonki (1526–83). Zachowały się ozdoby sztukatorskie powstałe pod koniec XVI wieku. Znajduje się tu także pomnik nagrobny jej męża, króla Jana III.

Jeszcze niejedna ciekawostka spotkała nas w Uppsali. Wspomnieć muszę o uczonym tutejszego Uniwersytetu, Andreassie Celsjuszu. Tak, to ten, którego skalą temperatur posługujemy się codziennie. Może pobudzić chęć pgrzebania w historycznych kronikach, gdy podpowiem, że twórca konkurencyjnej skali temperatur, Daniel Gabriel Fahrenheit urodził się w Gdańsku.

Następnie, kolejne dni jesteśmy w drodze. Dość często widzimy znaki drogowe z odwzorowaniem łośa. Same łośie, a jeszcze częściej renifery nie są rzadkością. W następnych dniach podczas postojów będziemy je oglądali z bliska, bez mała twarzą w twarz (głową w łeb?).

Spotkany na lotnisku Austriak, chłop dwumetrowego wzrostu Jürgen, jest zakochany w Skandynawii i będzie nam towarzyszył przez następne dni. Od niego dowiadujemy się, że znaki drogowe z łośiem bardzo często są kradzione. Ponoć szczególnie niemieccy turyści gustują w takich pamiątkach. W 2023 roku trzeba było uzupełnić 30% tych znaków drogowych.

W lasach Szwecji żyją nie tylko łośie, ale też niedźwiedzie, sarny, wilki, rysie, borsuki. Natomiast łośie nauczyły się nurkować w morzu w poszukiwaniu pokarmu, a inne stworzenia morskie, orki, nauczyły się na nurkujące łośie polować. Orka występuje na całym świecie i jest największym spośród delfinowatych – dorosłe mierzą do 980 cm (niewiele poniżej 10 metrów) długości i ważą od trzech do czterech ton. Spożywają ponad 140 gatunków stworzeń morskich, specjalizując się w polowaniu na ssaki morskie, aczkolwiek odrębne odmiany geograficzne, jak te u wybrzeży Szwecji wybrały inne ofiary, właśnie łośie.

A ludzie? Częstą formą zajęć w wolnym czasie są kąpiele w licznych rzekach, jeziorach i naturalnych kąpieliskach. Różnice kulturowe bywają tu widoczne gołym okiem. Szwedzi są pomocni,

łagodni, spokojni, otwarci i tradycyjnie mają swobodny i bardzo naturalny stosunek do własnej nagości. Ważne jest przy tym, że Szwedki i Szwedzi się sobie w takich sytuacjach wzajemnie nie przyglądają, a nagość podczas kąpieli w jeziorze albo w saunie jest kompletnie asekualna. Taki pozbawiony kompleksów stosunek do rozebranego ciała nie wziął się w Szwecji znikąd. To produkt zsekularyzowanego społeczeństwa, które kocha naturę, stawia na równouprawnienie płci, a do tego ma liberalny stosunek do spraw seksu. W latach 30. zeszłego wieku znany szwedzki profesor medycyny Johan Almkvist proklamował naturyzm i kulturę „wyzwolonego ciała”. „Tylko czyni mogą być wstydlive lub nieobyczajne – pisał. – Ten, kto widzi coś niemoralnego w nagości, jest człowiekiem chorym”.

Szwecja to oczywiście także nagrody Nobla, wyróżnienie przyznawane od początku XX wieku za wybitne zasługi dla ludzkości: naukowe, literackie lub w działaniach na rzecz pokoju. Zostało ustanowione ostatnią wolą fundatora – Alfreda Nobla, szwedzkiego przemysłowca i wynalazcy dynamitu. Początkowo było przyznawane w pięciu dziedzinach, później w latach 60. XX wieku ustanowiono dodatkową nagrodę z ekonomii. Laureaci są wyłaniani corocznie. Są nimi osoby żyjące, najwyżej trzy w każdej z dziedzin, nie licząc przypadków, kiedy nagrodę pokojową otrzymują całe instytucje.

Nie sposób w krótkiej opowieści o Szwecji zawrzeć wielości wrażeń. Szwecja oficjalnie jest krajem luterańskim (a więc chrześcijańskim, tyle że protestanckim). Szwedzi nie są zbyt religijni. Nie chodzą regularnie do kościoła i nie biorą aktywnego udziału w jego życiu. Niemniej zapewne interesującym dla nas wychowanych w katolickiej tradycji będzie informacja, że w okresie reformacji zrezygnowano w Szwecji z odwzorowań wszelkich postaci świętych pańskich na pomnikach, malowidłach itp. Jedynym, który się ostał i jest licznie prezentowany także poza świątyniami, na placach, w miejscach publicznych, to święty Jerzy pogromca smoka. Przy czym dla Szwedów jest to alegoria zwycięstwa nad odwiecznym wrogiem, częstym okupantem – Danią.

Nam, w realiach XXI wieku po turystycznej przygodzie niezapomniane pozostają we wspomnieniach szwedzkie pejzaże, olbrzymie połacie lasów oraz wolne przestrzenie, gdzie woda czysta i trawa zielona.

Białe noce nie potrzebują snu

W podróży na północ przekroczyliśmy Krąg Polarny, inaczej Koło Podbiegunowe Północne, równoleżnik ziemski o szerokości geograficznej 66°33'39"N. Już w drodze przez Szwecję noce były coraz krótsze; kładę się spać o północy, na zewnątrz jeszcze jasno, przebudziłem się o drugiej w nocy, już znów jasno. Teraz za kręgiem polarnym w czerwcu będzie jasno pełne 24 godziny na dobę. Lato w Arktyce to mgnienie oka, którego nie chce się przeoczyć. Mówi się czasem: wyśpisz się po śmierci. Norwegowie mówią: wyśpisz się zimą. Nam, przyzwyczajonym do dobowego rytmu dnia i nocy, nocny jasny błękit nie pozwala zasnąć bez czarnych zasłon lub folii aluminiowej na szybach.

W drodze mijamy obszary pasterckiego ludu Samów. Samowie (Laponczycy to przestarzała nazwa, przez Samów odbierana niechętnie) to rdzenni mieszkańcy północnej Skandynawii. Ich obecny obszar osadniczy, Sápmi, rozciąga się przez północne części Szwecji, Norwegii i Finlandii, a na wschodzie do wybrzeży Morza Barentsa i Morza Białego na terenie dzisiejszego rosyjskiego Półwyspu Kolskiego. Języki lapońskie należą do rodziny języków ugrofińskich, a wraz z nimi do języków uralskich i są szczególnie spokrewnione z fińskim. Samowie (Laponczycy) są uznawani za „lud pierwotny” we wszystkich czterech krajach, jednak tylko Norwegia objęła ich ochroną międzynarodowej Konwencji ochrony mniejszości.

Po drodze spotykamy raz przydrożnego łosia; on gapi się na nas, my na niego, wolno się mijamy. Natomiast renifery oglądamy co rusz. Niektóre mają na szyi nadajniki GPS, co ułatwia Samom orientację, gdzie pasą się ich stada. Podobno nie ma dzikich reniferów, chociaż takie sprawiają wrażenie, gdy oglądamy pasące się grupy po kilka zwierząt. Zachowują się spokojnie, powiem, ignorują naszą obecność.

Tu w północnej Norwegii lasy są rzadsze, trudno te zagajniki nazwać lasami. Drzewa mają cienkie, poskręcane pnie, a gałęzie licznych brzoź jakby rozczochrane na wszystkie świata strony.

Mijamy także nieliczne osiedla drewnianych, malowanych na czerwono jedno i dwupiętrowych domów. To tradycja, każąca wierzyć, że barwa czerwona odstrasza trolle. Drewno, w przetworzonej postaci wraca do budownictwa skandynawskiego. Za najnowszą karierą drewna w budownictwie stoją najnowsze technologie nie tylko jego przetwarzania, ale i projektowania cyfrowego. Wysoką ognioodporność nowoczesnego drewna budowlanego zapewnia zjawisko stare jak pożar – powierzchnio- we zwęglenie, które powoduje, że pali się ono gorzej niż syntetyczne materiały stosowane w budownictwie. Spory skok zrobiło drewniane budownictwo wysokościowe w 2019 roku, kiedy to powstały Hoho Viena Tower (24 piętra, 84 m) i Mjøstårnet w norweskim Brumunddal. Obok wybudowano drewnianą halę z pływalnią.

Konserwacja drewna ogniem to lapoński patent – *shou sugi ban*. Opalona warstwa chroni materiał nie tylko przed ogniem, ale i przed wodą, zapobiega gniciu i czyni je mniej atrakcyjnym dla owadów i grzybów. To chyba najbardziej uderzający przykład retroinnowacji, czyli starego rozwiązania odkrytego na nowo.

Nikomu chyba nie jest obce muzyczne określenie Heavy Metal. Najbardziej ekstremalna scena black metalowa w Europie istniała w Norwegii. Do dziś krytycy popu mają trudności z oceną norweskiego black metalu. To muzyka mrocznej opozycji; buntuje się przeciwko szaremu, pełnemu ograniczeń społeczeństwu, przeciwko banalności codzienności, a także często przeciwko religii. „Bada” ciemną stronę człowieczeństwa. Czasem przekraczana była granica pomiędzy prowokacją a działaniem, co kończyło się poważnymi przestępstwami. W Norwegii zwolennicy Heavy Metalu na przełomie lat 60 i 70 podpalali drewniane kościoły. Afirmowane były samobójstwa. To czas przeszły, acz niezapomniany.

Długim bezpłatnym podmorskim tunelem wjeżdżamy na wyspę i jej północny kraniec Nordkapp. Metalowy, ażurowy globus na płaskowyżu jest symbolem Przylądka Północnego.

Wyznacza geograficzny koniec Europy, najbardziej na północ wysunięty punkt kontynentu. Nord Kapp faktycznie błędnie uznawany jest za najdalej na północ wysunięty przylądek Europy; w rzeczywistości znajdujący się na tej samej wyspie około cztery kilometrów dalej Knivskjellodden jest wysunięty o 1457 metrów bardziej na północ; acz nie prowadzi do niego żadna droga jezdna i dlatego to Nord Kapp jest celem wycieczek w te rejony. Podmorski tunel związał wyspę, niejako przyczepił ją do stałego lądu Norwegii. Bo niektóre z wysp europejskich leżą dalej na północ niż Przylądek Północny. Najbardziej na północ położone są wyspy archipelagu Spitsbergenu i Ziemi Franciszka Józefa z przylądkiem Fligely.

Pogoda nam sprzyja. Krajobraz oferu- je zapierające dech w piersiach widoki na płaskowyż górski i bezkresne morze. Wystarczy patrzeć i nie zaga- dywać ciszy.

Kraina tysiąca jezior

Do Przylądka Północnego Nord Kapp jechaliśmy zachodnią trasą, przemierzając Szwecję z południa na północ. Z powrotem wybieramy wersję wschodnią, z północy na południe, przez Finlandię do Turku. A stamtąd nocnym promem do początku podróży, do Sztokholmu. Ponownie, wprowadzie przez inne państwo, przemierzać będziemy krainę Samów, Laponię.

Laponia to teren o ogromnej powierzchni, który rozciąga się na obszarze koła podbiegunowego od Norwegii, poprzez Szwecję i Finlandię, aż do północy Rosji. Lasy, góry, śnieg i renifery – to charakterystyczne elementy jej krajobrazu. Kraina przepięknych Gór Skandynawskich, jezior polodowcowych i niezwykle czystego powietrza. Jak wskazuje raport WHO z 2022 roku, to właśnie Finlandia uplasowała się na szczycie listy państw z najczystszym powietrzem na świecie. Niewiele dalej znalazły się inne państwa Skandynawii-Szwecja, Norwegia oraz Islandia. W tej bajecznej krainie śnieg zaczyna topnieć dopiero w połowie maja, kiedy mija długa, polarna noc i rozpoczyna się niepodzielne całodobowe władanie słońca. Po drogach spokoj-



nie przechadzają się stada reniferów i samotne długonogie łosie.

Zatem zwierzaki są stałym elementem krajobrazu Laponii spotykanym niemal na każdym kroku. Normalnym widokiem są znaki drogowe ostrzegające przed nimi. Bez tych zwierząt nie byłoby Laponii i Lapończyków (Samów). Niezliczone stada tych łagodnych ssaków przemierzają codziennie bezkresną tundrę, żywiąc się tym, czym poczęstuje je natura. Lapończycy wierzą, że zwierzęta te przynoszą szczęście i nikomu nie przeszkadza widok reniferów swobodnie przechadzających się po ulicach. Obecnie Laponia wypasa około 200 tysięcy reniferów, co przewyższa wielokrotnie liczbę jej mieszkańców. Chociaż cywilizacja wymusiła zmiany, to, oprócz turystyki, hodowla reniferów jest nadal bardzo ważnym elementem dla tamtejszej ludności. Zwierzęta te wykorzystywane są do przemieszczania się po zamarzniętych jeziorach, a z ich skór szyje się buty i czapki. Mięso to regionalny przysmak, a gulasz z dodatkiem borówek to prawdziwy rarytas. Wracając, już na promie z Turku do Sztokholmu kupiliśmy kilka konserw z mięsem renifera z nadzieją, że to będzie dobrze przyjęty upominek dla przyjaciół po powrocie z wojaży.

Gdzie mieszka Święty Mikołaj? O to spiera się kilka miejsc na świecie. Ci współcześnie najsłynniejsi są już produktem marketingowym, ze świętością mają niewiele wspólnego, ale i tak dotarcie do ich domów może być miłą przygodą. Otóż w drodze zatrzymujemy się w wiosce Mikołaja, bardziej Santa Claus zwanej. Tutaj „wszystko na sprzedaż”.

Wracając na południe, ponownie przekraczamy krąg polarny, czyli Koło Podbiegunowe Północne. Za pierwszym razem, w drodze tam, Jürgen postawił szampana. Teraz, o dziwo w extra gorącym dniu – wierzcie, nie wierzcie, w czerwcowe południe było plus 27 °C, zwiedzamy „wioskę” samodzielnie. Wioska Świętego Mikołaja znajduje się w Rovaniemi w Finlandii, oficjalnym mieście rodzinnym Świętego Mikołaja. Tak się o zgrozo reklamują! I wmawiają

przybyszom; Święty Mikołaj od wieków uczynił Laponię swoim domem w północnej Finlandii, a koło podbiegunowe jest bliskie jego sercu, ponieważ w tym magicznym miejscu ma swoje korzenie wiele bożonarodzeniowych tajemnic. Wioska Świętego Mikołaja lub inaczej Santa Clausa to miejsce dla rodzin z mnóstwem atrakcji dla osób w każdym wieku. Dla nas atrakcją raczej kiczowata. A jednak skusiło nas wysłanie stąd widokówek do przyjaciół, wielokrotnie przeplacając cenę znaczków pocztowych, bo stąd.

Dalej na południe mkniemy aż do stolicy Finlandii, do Helsinek. Tu także sporo ciekawostek i niespodzianek. Przykładowo w hotelu oświetlenie w pokoju zmienia się kolorystycznie w rytm falowania zorzy polarnej. W mieście zaskakują nazwy ulic. Że dwujęzyczne, to normalka. Językami urzędowymi Finlandii są fiński (jako język większości populacji) i szwedzki (jako język mniejszości). Istnieją również inne oficjalnie uznane mniejszości językowe. W całym kraju 88,7% populacji uważa fiński, a 5,3% szwedzki za swój język ojczysty. Zauważyliśmy to w telewizyjnych programach tych nacji; w Szwecji leciały na ekranie podpisy po fińsku, w Finlandii po szwedzku. Aliści jest jeszcze tradycyjny język obrazkowy. To zaszłoś, kiedy nie wszyscy Finowie byli piśmienni. Czyli ulice mają także nazwy – symbole rysunkowe. Przed laty gospoia, wysyłając posłańca z paczuszką do przyjaciela, mówiła słudze np., *zanieś ten pakunek pod dom pod łabędziem*. Te rysunkowe, podtrzymujące tradycję nazwy ulic w Helsinkach pozostały. Czyli dwa razy napis, a nad nimi rysunek kota, psa, lwa, bociana, drzewa itp.

Nie tylko języki urzędowe są dwa. Najważniejsze świątynie, czyli katedry Helsinki mają też dwie. Sobór Uspieński – prawosławny sobór katedralny to główna świątynia Fińskiego Kościoła Prawosławnego. Świątynia została wybudowana w 1868 według projektu rosyjskiego architekta Aleksieja Gornostajewa. Zlokalizowana, jest w historycznej dzielnicy Helsinek – Katajanokka. Posiada czerwoną fasadę i reprezentuje przykład rosyjskich

wpływów w Finlandii. Jest to największa świątynia prawosławna w Północnej i Zachodniej Europie.

Równoległa ewangelicka katedra w Helsinkach (fiń. *Helsingin tuomiokirkko*) znajduje się na placu Senackim. Jest jednym z najlepiej rozpoznawanych obiektów w Helsinkach. Co roku świątynię odwiedza ponad 350 000 ludzi. Część z nich to wierni regularnie uczęszczający do tego kościoła, jednak większość stanowią turyści.

Do czasu odzyskania przez Finlandię niepodległości w 1917 roku katedra nosiła nazwę Nikolainkirkko (kościół św. Mikołaja od imienia cara Rosji), a następnie zmieniono ją na Suurkirkko (wielka/duża katedra). Gdy w 1959 roku na placu Senackim wybuchł pożar, katedra stanęła w płomieniach, jednak dzięki grubym murom większość pałatek nie uległa zniszczeniu. Schody prowadzące do wejścia są ulubionym miejscem spotkań i hucznych obchodów Nowego Roku. W krypcie mieści się kawiarnia.

W przeddzień zaokrętowania na prom w Turku, przewożący nas z powrotem do początku podróży, do Sztokholmu, odwiedzamy jeszcze miasto Oulu nad Zatoką Botnicką, odległe od Turku około 600 km. Oulu jest ważnym fińskim portem i też miastem uniwersyteckim, a ze względu na niezwykle efektywną współpracę uniwersytetu, ośrodków badawczych i parku technologicznego zwanym „Doliną Krzemową Północy”.

W centrum Oulu, przed halą targową napotykamy komiczną postać z brązu; Toripolliisi (policjant targowy) to posąg o wysokości 2,20 m znajdujący się na rynku tego fińskiego miasta. Pieniądze zebrano dzięki darowiznom mieszkańców Oulu. Pomnik przedstawia korpulentnego policjanta. Wzniesiono go i poświęcono we wrześniu 1987 r. Dziś uznawany jest za jedną z wizytówek miasta. Toripolliisi poświęcony jest policjantom, którzy dbali o porządek i spokój na rynku w Oulu.

Fotografując się pod pomnikiem korpulentnego policjanta, starałem się zrozumieć specyficzny charakter i humor Finów. Aż to równie trudne, jak ich język. ■



Czytając Ksenofonta

MIROSŁAW TYL

Ksenofontowi zawdzięczam wyjątkowy czytelniczy trans. Przed laty, wypełniając czas do odjazdu pociągu, znalazłem na stoisku antykwarycznym warszawskiej księgarni Prusa dziewiczy egzemplarz *Wyprawy Cyrusa*, wydany przez oficynę Czytelnik w 1955 roku w tłumaczeniu Władysława Madydy. Lektura skróciła kilkugodzinną podróż do chwili. Nigdy wcześniej i chyba nigdy później nie spotkałem się tak bezpośrednio z autorem i jego dziełem.

Ateńczyk uważany jest dzisiaj za martwego klasyka. Ucenie zgodnie podkreślają, że jego metoda pisarska polegała na fabularnych wariacjach na temat doświadczeń własnych lub materii faktów znanych z przekazów, nieraz skąpych. Nie budzą ich zaufania barwne opowieści, irytuje stroniczość, dydaktyczna maniera wielu jego pism historycznych, filozoficznych i biograficznych. Wydaje się jednak, że w autorskich wariantach była to i jest nadal metoda powszechnie stosowana. Odnajdujemy ją w *Dziejach* Herodota, u genialnego Tukidydesa, który utkał *Wojnę peloponeską* z mów, które sam przecież układał (sztuki tej za młodu uczył się u słynnego sofisty, logografa i polityka – Antyfonta). Platon w dialogach stworzył swojego Sokratesa, który istotnie różni się od sportretowanego przez Ksenofonta. Współczesne biografie autora *Wspomnień o Sokratesie* są również niepokojąco obszerne. Badacze starożytności mają pewnie rację, twierdząc, że jego myśl nie jest już w stanie wpływać na współczesny umysł – sceptyczny, liberalny, hedonistycznie usposobiony, krytyczny stosownie do form poprawności, którym ulega – tak, jak oddziaływała na Scypiona Afrykańskiego, Cezara, Cicerona, Katona, Flawiusza Arriana, Machiavello czy Montaigne’a, by wymienić tylko niektórych. Jest przedmiotem zainteresowań na ogół historycznych. Pewien ceniony profesor miał ponoć powiedzieć, że nie wytrzymuje konfrontacji ze znacznie bardziej utalentowanym uczniem Sokratesa – Platonem. Któż jednak wytrzymuje taką próbę?

Życie autora *Wyprawy...* przypada na czas wielkiej wojny domowej i rozpadu greckiego świata. To doświadczenie ukształtowało jego osobowość,

stało się spoiwem twórczości. „Fenomen Ksenofont” daje się zatem ująć w potrójnej perspektywie nadającej mu jedność: zjawiska historycznego, osobowości i wielopostaciowej twórczości. Centralnym problemem jego pisarstwa wydaje się bowiem postawa w obliczu różnych form egzystencjalnego zagrożenia doświadczanego przez jednostkę lub zbiorowość, które zawsze wiąże się z ryzykiem. Jak przetrwać? Stąd tematy, które podejmował: troska o siebie (samopoznanie, panowanie nad sobą), forma życia, przyjaźń, przywództwo i oczywiście wojna.

Wyprawa..., archetyp wspomnień wojennych, przypomina *Pamiętniki* Paska, *W stalowych burzach* Jüngera, który Ksenofonta znał i rozumiał. Analogii między nimi jest z pewnością więcej. Elzenberg w jednym aforyzmów pisał, że „mistrzem jest ten, kto pewnej ilości swych bliźnich pomógł wyjść z honorem z opresji życia na ziemi”. Jeśli tak, to krok w tę stronę wykonał Ksenofont wcześniej, w wieku lat trzydziestu. Stał się mężem opatrnościowym, który po śmierci i klęsce armii Cyrusa Młodszego pod Kunaksą, po wymordowaniu greckich strategów w trakcie rokowań przez wiaromnych Persów, potrafił przywrócić zrozpaczonemu greckim kondotierom ducha walki, wiarę w siebie i w ocalenie. Wybrany strategiem, dowodził nimi ze spartiatą Cheirisofosem podczas wielomiesięcznego odwrotu dziesięciu tysięcy ludzi z serca imperium Artakserksesa. *Wyprawa...* to świadectwo tej drogi. Wojaczkę miał Ksenofont we krwi. Potrafił to robić, choć się do niej nie garnął, w czym widzieć można formacyjny wpływ Sokratesa. Część swoich doświadczeń w tej materii zawarł w rozprawie/instrukcji *Dowódca jazdy*.

Niektórzy widzą w nim rzecznika ponadkulturowej kalokagatii, autora, dla którego ideałem politycznym było braterstwo ludów zrealizowane ponoć w imperium Cyrusa Wielkiego. Kreśląc portret Cyrusa Młodszego jako niespełnionego władcy, zdolnego przeprowadzić wielokulturowej współpracy, pisząc *Cyropedię*, miał Ksenofont walczyć ze stereotypem Persa barbarzyńcy i Greka urodzonego po to, by nad barbarzyńcą panować.

Nie ma jednak większego sensu na podstawie lektury między wierszami widzieć w Ksenofoncie obywatela świata lub wielbiciela wyidealizowanej perskiej monarchii rządzonej przez króla-mędrca. Krytyka kosmopolityzmu Arystypa włożona w usta Sokratesa we *Wspomnieniach...* jest jednoznaczna, tak jak gorzka uwaga z prologu *Cyropedii* na temat żywiołowej zmienności ustrojów politycznych w rozpadającym się świecie greckim i wynikający stąd problem efektywnego przywództwa. Kontrapunktem dla takich odczytań *Cyropedii* pozostanie zawsze *Wyprawa...*, która uświadamia, co rzeczywiście na podstawie własnych doświadczeń sądził Ksenofont o Persach (czytaj perskich arystokratkach). Ukazuje ich bowiem, przykładem Tyssafernes, jako ludzi wyjątkowo fałszywych, których raczej trzeba się obawiać niż fascynować się ich etosem życiowym.

Ksenofont uważał, że tylko silne przywództwo wybitnej jednostki jest funkcjonalne politycznie. To sedno jego filozofii politycznej, która wbrew pozorom, z punktu widzenia realiów przełomu wieku V i IV p.n.e., była wyjątkowo realistyczna, daleka od pobożnych życzeń współczesnych humanistów. Stąd w jego tekstach portrety: obu Cyrusów, greckich strategów wyprawiających się z Młodszym po łupy i sławę, Jazona z Feraj, Agesilaosa ze Sparty oraz ponadczasowe studium tyranii – *Hieron* – którego bohaterem jest pierwszy tego imienia tyran Syrakuz. Ten surowy dialog uświadamia czytelnikowi, że tyran pozostaje zawsze zakładnikiem swoich wyborów, a jego życie, pozbawione miłości i przyjaźni, do końca przenika strach.

Przyjaźń to temat stale obecny we *Wspomnieniach...* Ksenofontowy Sokrates nie spekuluje na jej temat. W jego naukach widoczny jest ślad doświadczeń człowieka przez lata żyjącego wśród obcych. Dowiadujemy się z nich, że nie biesiady i wino, braterstwo dusz, filozoficzne dysputy, nadzieje i plany na przyszłość czynią ludzi przyjaciółmi, lecz prozaiczne życie, w którym po prostu wspieramy się – wzajemnie – w bieżących sprawach. Tamto, to tylko dodatek.

DZIKOŚĆ



FESTIWAL PRZESTRZEŃ SŁOWA

PRZESTRZEŃ SŁÓW

Coral Bracho (MX)
Michael Krüger (DE)
Erikur Örn Norðdahl (IS)
Gerardo Beltrán (MX)
Natalia Belczenko (UA)
Jurij Zawadski (UA)
Ryszard Krynicki

PRZESTRZEŃ MUZYKI

Spięty
Postman (UA)
1984
Alan Holmes (WU)
The Pau
Rdzeń 2
trio_io



Artwork: Alicja Ludwiczowska

Jacek Podsiadło
Julia Fiedorczuk
Małgorzata Lebda
Mariusz Grzebalski
Rafał Księżyk
Stanisław Kalina Jaglarz
Ariel Rosé

Radosław Młynarczyk / Marta Podgórnica / Joanna Mueller
Joanna Oparek / Grzegorz Jankowicz / Andrzej Wojtasik
Szymon Kloska / Agnieszka Czyżewska / Piotr Jasek
Paweł Lekszycki / Justyna Pietruczuk
Trupa NaDziko (Brzoska/Kobierski/Majzel/Melecki/Siwczyk)

12-27 października 2024

Zagłębiowska Mediateka / ul. Kościelna 11 / Sosnowiec
Biblioteka Śląska / pl. Rady Europy 1 / Katowice



ZNAJDZIESZ NAS NA:

www.biblioteka.sosnowiec.pl

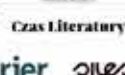
[mbpsosnowiec](https://mbpsosnowiec.pl)

www.bs.katowice.pl

[BibliotekaSlaskaKatowice](https://BibliotekaSlaskaKatowice.pl)



Prezydent Sosnowca
Andrzej Cichoński



Liudmyla Rashtanova. Air [Powietrze], 2022, olej, płótno

BASTIONS

**Artyści
ukraińscy
o wojnie**

**4.10.2024–
29.06.2025**

**Muzeum Śląskie
w Katowicach**



Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego



Województwo
Śląskie

Muzeum Śląskie w Katowicach jest instytucją kultury Samorządu Województwa Śląskiego współprowadzoną przez Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego



Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego

Wystawa objęta honorowym patronatem Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego - pani Hanny Wróblewskiej

Muzeum Śląskie w Katowicach

ul. T. Dobrowolskiego 1

40-205 Katowice

tel. 32 779 93 00

www.muzeumslaskie.pl